

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom pięćdziesiąty siódmy.

INFANTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Anna Jagiellonka).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

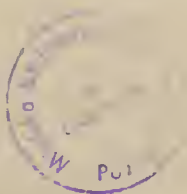
TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

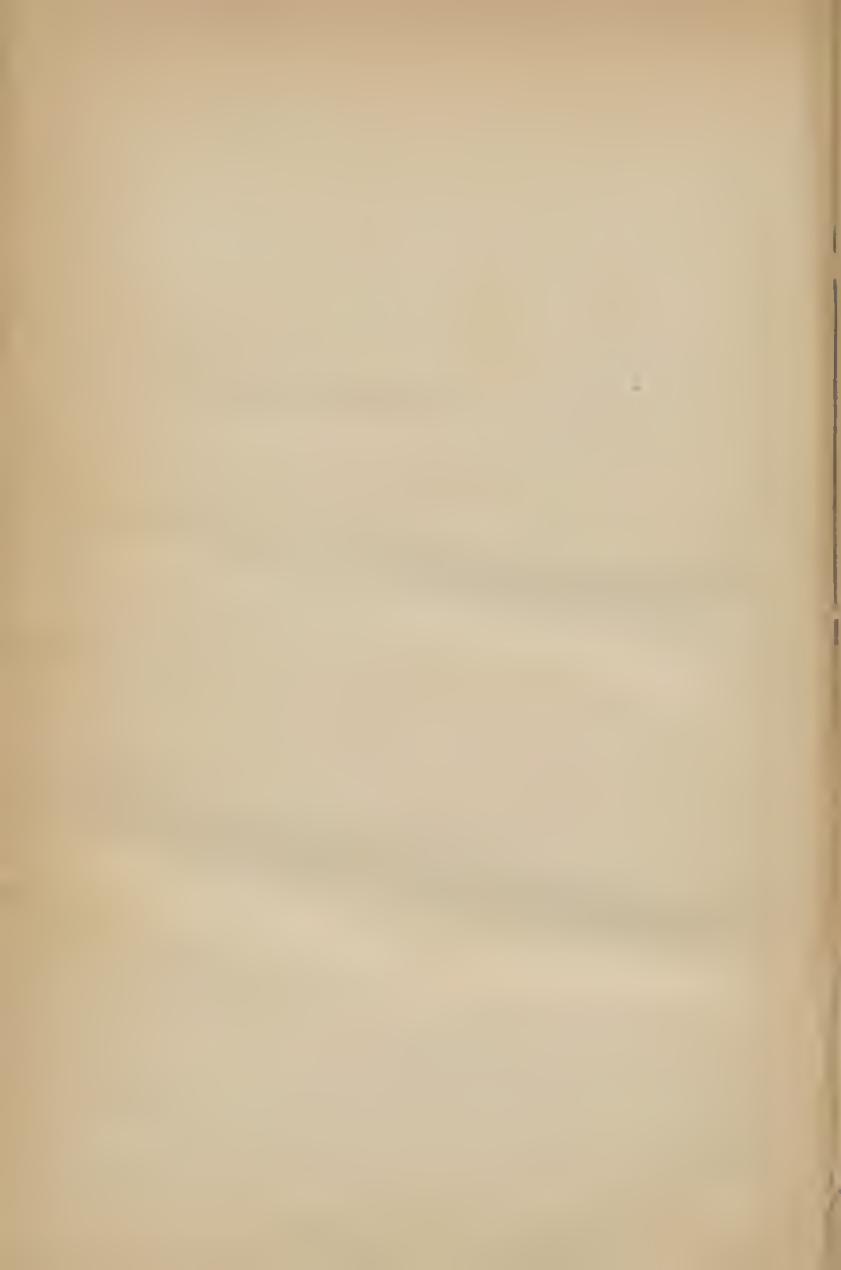
—
1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Июля 1890 года.



KSIEGA DRUGA.

MARZENIA.



Ksiądz biskup chełmski zwykł był codziennie zrana przybywać na zamek, pełniąc bardzo gorliwie swe obowiązki stróża, chociaż od czasu do czasu, jak je na niego włożono, znacznie był złagodniał dla królewnej. Krajczyna znajdowała, że dobry, uprzejmy, ale trochę bojaźliwy ksiądz Wojciech, coraz więcej się akomodował i ustępstwo czynił Annie.

Działo się to bezwiednie. Królowna coraz stawiała się energiczniejszą, biskup walczyć z nią nie mógł. Narzekał on na to przed wojewodą Uchańskim, ale oba razem bezsilnymi się czuli wobec Anny Jagiellonki, która z krwią zimną, ale z żelazną wytrwałością szła gdzie sama zamierzyła, niełatwo słuchając kogo.

Rosła w ich oczach ta pani niedawno jeszcze zapomniana, lekceważona przez brata i zalewająca się łzami. Naówczas nleżała ona choremu królowi, teraz sama się czuła tu pierwszą i nie ustępowała nikomu.

Jednego poranku jesiennego przybył ksiądz Starożrebski jak zwykle na zamek i zdziwił się mocno widząc, że podwórca część zajmowały powyciągane z szop wozy, paki i skrzynie; że tuż w improwizowanej kuźni konie przekowywano, a ludzi mnóstwo kręciło się pośpieszając tak jakby im bardzo było pilno.

Wyglądało to na przygotowanie do podróży. Biskup o żadnej nie wiedział.

Talwosz, którego w niedostatku innego tytułu nazywano sekretarzem królownej, stał właśnie wydając rozkazy; biskup, wysiadłszy z kolebki, powołał go do siebie.

— Cóż się to tak przygotowujecie? — zapytał — co się u was dzieje?

— Królowna wydała rozkazy, aby się gotowano do podróży — odparł sucho Talwosz.

— Gdzie? dokąd? do jakiej? — żywo przerwał biskup — ale ja o niczem nie wiem! Na rany pańskie! Ja tu przecie stróżem jestem!

Litwin słuchał obojętnie księdza biskupa i rzekł również zimno.

— Ja spełniam co mi przykazano, do mnie nie należy więcej nad to.

— Ale dokądże jechać myślicie? — zawołał biskup coraz bardziej poruszony.

Talwosz ruszył ramionami.

— Królowna się przedemną tłumaczyć nie potrzebowała — rzekł — a ja pytać nie śmiałem. Wiem tylko, że jedziemy.

Ksiądz biskup stał z załamanemi rękami; pocziwa jego twarz łagodna zmieniła się, zasepiła, posmutniała, widać było, że go to wiele kosztowało, iż zmuszonym został królownie czynić wyrzuty.

Zmieszany nie śpieszył na zamek, aby się rozpytać, bo chciał z pierwszego wrażenia ochłonać, lękając się narazić zbyt żywemi wyrzuty królownie, a był do nich obowiązany.

Panowie senatorowie postawili go tu na straży; królowna nie powinna była kroku uczynić bez ich wiedzy i przyzwolenia; biskup nie słyszał o żadnej podróży, a tu już czyniono, nie pytając, przygotowania do niej.

Talwosz pokłonił mu się i odszedł.

Ksiądz Wojciech postawszy chwilę jeszcze zakłopotany, powolnym krokiem wsunął się na pokoje Anny.

W posłuchalnym, w którym go zwykle przyjmowano, pusto było. Dosia tylko sprzątała po stolikach, i przyszła księdza w rękę pocałować. Nie śmiał się biskup jej pytać.

Wtem ze drzwi bocznych wyrzła krajczyna i znikła, a po chwili królewna Anna ukazała się w progu i weszła powolnym krokiem.

Biskup ją przywitał milczący, badając oczyma; w twarzy nie znalazł żadnej zmiany — spokojną była zupełnie i nie zdawała się zakłopotaną, gdy ksiądz Wojciech zmieszany był niezmiernie.

— Widzę na zamku jakieś przygotowania — odezwał się nieśmiało — tak jak gdyby do podróży. Czy wasza miłość odebrała jakieś wiadomości od panów senatorów?

— Żadnych — odparła Anna — ale powietrze się zbliża codzień do Płocka i ja tu na nie czekać nie myślę. Muszę szukać bezpieczniejszego schronienia.

— Ale to nie może nastąpić bez wiedzy panów senatorów — przerwał biskup.

— To wasza rzecz, mój ojcze, z nimi się o to porozumieć — rzekła spokojnie królewna — co do mnie ja niczyich rozkazów czekać nie potrzebuje, jestem przecież wolną.

Biskupowi pot z czoła spadał kroplisty, ocierał go ruchem gorączkowym rąk obu.

— Tak jest, tak jest — pośpieszył potwierdzić — lecz niemniej bez ich wiedzy by nie wypadało. I dokądże wasza miłość chcesz jechać?

— Sądzę, że w Łomży będę najbezpieczniejszą — chłodno, po krótkim namyśle odezwała się królewna.

Biskup ręce łamał, przyszło mu na myśl, że z Łomży łatwiej było z Litwinami się porozumiewać, że ztamtąd też królewna może miała jakie umówione drogi i posłów na zjazdy, które się zapowiadały.

— Potrzeba więc chyba natychmiast o tej woli miłości waszej dać wiedzieć arcybiskupowi, panu marszałkowi i wojewodom — mówił ks. chełmski,

i w ustach mu zasyczało, a głos jego coraz był słabszy.

— Nie nie mam przeciwko temu — odparła Anna Jagiellonka — ale zapóźno będzie o tem ich uwia-
damiać, gdy ja czekać na odpowiedź nie mogę. Po-
jedziemy jutro lub pojutrze

— Jestże to stałe postanowienie? — przerwał ksiądz Wojciech łagodnie. — Jabym się ośmielił miłości wa-
szej uczynić uwagę, że panów senatorów drażnić
i zniechęcać nie należałoby.

— Ale ani też im się poddawać i uniżać — od-
powiedziała Anna — boby ze mnie lalkę jakąś uczy-
nili, którą ja być nie mogę, znając krwi mej prawa
i dostojeństwo.

Chcę właśnie okazać, iż się nie uważam niewol-
nicą i podległą rozkazom uciżym. Rady chętnie
slucham, ale więcej nic. Jeśli się ona nie zgodzi
z mojem przekonaniem, odrzucić ją muszę.

Biskup ręce podniósł do góry.

— Ale wasza miłość nie widzisz chyba, że to wy-
powiedzenie wojny! że to opór jest przeciw woli na-
rodu.

— Szanuję ją, ale jej swojej poświęcić nie mogę
— rzekła królowna. — Wy, ojcze kochany, nie prze-
konacie mnie. Myślałam długo, wzywałam Ducha
świętego, a com postanowiła to uczynię i będzie co
Bóg da! Pojadę do Łomży.

Biskup milczał, królowna dodała łagodnie.

— Wy ze mną, nieprawdaż?

— Muszę — rzekł ksiądz Wojciech zeicha — choć
zaprawdę przeciwko tej podróży samowolnej prote-
stuję.

— Nie sądzę, abyście wy, mój ojcze, albo pan
wojewoda Uchański wstrzymywać mnie gwałtem za-
mierzali. Wy doniesiecie co ja czynię, a ja postąpię
jak mi lepiej.

— Powietrze jeszcze daleko! W Płocku o niem
nie słyhać! — odezwał się biskup.

— Nie czas będzie wyjeżdżać gdy nadejdzie — sucho rzekła Anna.

Książd chełmski nie odpowiedział, szukał w głowie co mogło spowodować to nagłe wyjazdu postanowienie; domyśleć mu się było trudno czegoś, prócz łatwiejszych z Litwą układów, gubił się w przypuszczeniach.

Cesarskich wysłańców, czy francuzkich może, królowna tem bezpieczniej myślała przyjmować?

Anna przechadzała się po komnacie, nie okazując najmniejszego wzruszenia. Weszła w tej chwili jedna z kobiet dopytując o jakieś rozporządzenia do podróży, które Anna wydała głosem śmiałym i bez namysłu, jakby oddawna je już miała w myśli przygotowane.

Biskup chełmski spróbował jeszcze na różny sposób królownę skłonić, jeśli nie do zmiany postanowienia, to do zatrzymania się z wykonaniem dopóki by on nie odebrał odpowiedzi, ale musiał się w końcu przekonać, że królowna nie da się zachwiać, westchnął, pożegnał się i pobiegł co prędzej do pana wojewody, który szczęściem znajdował się w Płocku.

Uchański o niczem dotychczas nie wiedział i jak biskup zdumiał się wielce, ale on także nie śmiał nawet ważyć się pomyśleć o tem, aby królownę siłą zatrzymać na zamku i nie dopuścić wyjazdu.

— Królowna ma wielu przyjaciół — rzekł — wszyscy się nad jej sieroctwem litują, uchowaj Boże rozterki z nią, pójdzie po świecie wieść, że ją krępują i w niewolę zaprzęgają senatorowie, szlachta się zburzy. Następstwa mogą być smutne.

Litwa tylko szuka przyczepki, gotowa się ująć za nią.

Ślij wasza przewielebność doniesienie, ale, jeśli jechać się nprze, niech jedzie, nam władzy nie dano, abyśmy ją zamykali, tylko dozór i czuwanie.

Rozmawiali tak jeszcze, gdy nadszedł referendarz Czarnkowski z pożegnaniem do wojewody. Wyjeź-

dzał i on jako wysłaniec od królownej, wraz z księdzem Janem Borakowskim, proboszczem łęczyckim, do prymasa i na zjazdy, w sprawie skarbów i innych ważnych interesów.

Biskup i wojewoda znali dobrze referendarza jako oddanego sercem i duszą nie tylko Annie, ale trzem Jagiellonkom wszystkim, wpadli więc na niego z góry, żądając tłumaczenia: co znaczyło nagle postanowienie.

Czarnkowski, który dotąd bezpiecznie na kilku stolkach siedział, służąc Annie, zaprzysięgając wierność Zofii, a nadewszystko pilnując sprawy cesarskiej, od niejakiego czasu poczynął wielce zdumiony dostrzegać, że co się spodziewał kierować królowną, zmuszony był jej ulegać i spełniać co mu polecała.

W oczach jego zmieniła się ta płacząca niegdyś i słaba kobieta w śmiałą, nie odsłaniającą całej swej myśli, energiczną panią.

Czarnkowski jej nie poznawał.

Na domiar zawodu, znajdował, że wcale się ku cesarzowi i cesarzewiczowi dziewiętnastoletniemu nie skłaniała. Uczyniła nawet uwagę referendarzowi, że młodzik taki dla niej nie przystał.

Na nieszczęście francuzki kandydat o kilka lat był starszy. Królowna nie mówiła o nim nic, ale Czarnkowski przeczuwał, że bodaj tam się jej serce pochylało.

Przyprowadzało go do rozpacz!

Wszystkie naówczas piękne obietnice cesarza w niewczyby się obróciły.

Gdy biskup i wojewoda napadli na niego jako na prawą rękę królownej, Czarnkowski poruszył ramionami, dłonie podniósł do góry i zawołał.

— Ale ja tak dobrze, jak miłości wasze, do wczorajszego dnia nie wiedziałem o niczem! Królowna się nikogo nie radzi, nie słucha nikogo. Jestem jej sługą nie mentorem, bo tych ona nie potrzebuje i nie przyjmuje!

Uchański i Starożrebski spojrzeli po sobie.

— Ale wy, panie referendarzu — odezwał się biskup — powinniście królownie przedstawić na co się naraża. Coby miała sobie panów senatorów pozyskiwać, zraża ich i nieprzyjaciółmi czyni!

— Wierzcie mi, ojciec przewielebny — odparł Czarnkowski — iż królowna Anna do zastraszenia łatwą nie jest. *Hic mulier!* gdy co raz powie, nie ustąpi, a i wymową z nią walczyć niełatwo. Zawsze była ze wszystkich sióstr najmądrzejszą i na swadzie jej nie zbywa. Jeżeli wydała rozkazy do wyjazdu, nie cofaie ich dlatego choćby, ażeby ludzie nie sądzili, że się komuś powoduje.

Ani ja, ani wy księżo biskupie, nie poradzimy nic. Trzeba się do Łomży gotować i po wszystkim, a gdy potem zażąda z Łomży do Warszawy, choćby czasu konwokacyi, choćby natenczas, gdy jej tam najmniej sobie życzyć będą, pojedzie nie pytając nikogo.

Westchnął biedny biskup.

— Wszystka wina spadnie na nas — zamruczał. Uchański dodał z uśmiechem.

— Ile nas jest, cośmy niegdyś widywali królownę, kiedy Mniszchowie ją z bratem poróżnili, a ona oczy wypłakując zносиła wszystko, nawet gdy jej Zajączkowską z jej pokojów gwałtem brano, omyliliśmy się na niej dużo. Ulegała bratu i królowi, lecz nikomu więcej się nie podda... Czuje się królową.

— Tak jest, niewątpliwie — potwierdził Czarnkowski. — Ja poświadczyć to mogę. Sądziłem niegdyś, iż mojej rady potrzebować będzie i iść za nią, a teraz jej słuchać muszę.

Kto tam u niej ma posłuch, kto przewagę, trudno dociec; pono wszyscy muszą się jej submitować i czynić co rozkaże.

Krótko tu zabawiwszy biskup, musiał pośpieszać gotować się też do podróży nieuniknionej i natychmiast gońce wyprawić do senatorów z oznajmieniem.

Czarnkowski z Borakowskim jechali do prymasa. Na zamku wszystko szło raz przez królowną wykreślonym trybem.

Mianowany ochmistrem Koniecki, który przy małej głowie nadawać sobie chciał wielką wagę i znaczenie, spróbował także reflektować królowną, która go zbyła kilku słowami i słuchać nie chciała.

Żalińska, bo i tej z Płocka nie było dogodnie ruszać się do Łomży, wpadła z narzekaniami i fukiem. Anna dała się jej wygadać, ale nie zmieniła rozporządzeń, odprawiwszy łagodnem ponowieniem rozkazów.

Tą mocą charakteru cieszył się Talwosz najwięcej może, bo do pewnego stopnia przypisywał sobie nakłonienie królownej, aby się nie oglądała na ludzi i śmielej poczyniała.

On i Dosia znajdowali, że królowna teraz dopiero mogła być pewną, iż pokrzywdzoną nie zostanie.

W chwili, gdy królowna i cały jej dwór z Płocka się wybierali do Łomży, Talwosz jednego dnia nagle z dwojgiem służby siadł na koń i pojechał w świat.

Był on tak czynnym i ruchawym, że gdy go nie stało, wszyscy to zaraz dostrzegli. Niektórym może lżej nawet bez niego było, ale ciekawym był każdy, dokąd ruszył tak nie opowiadając się nikomu.

Ochmistrz Koniecki kręcąc węża, powiadał, że za zezwoleniem królownej Talwosz pojechał krewnych na Litwie odwiedzić.

— Nie bójcie się — mruczał ironicznie — powróci on rychło, będziemy go mieli do syta.

Nie lubiono poczwiwego Talwosza, bo u królownej łaskę miał, a ruchawością i rzutkością w posługach innych przechodził.

Dosia Zagłobianka, którą też badano o Litwiną, bo się około niej nieustannie kręcił, mówiła obojętnie, że kiedyś na Litwę jechał. Być może, że i on sam przed wszystkimi się tak ze swej wycieczki wytłómaczył, lecz inny ona cel miała.

Dla niego i dla Zagłobianki nie ulegało wątpliwości, iż królowna więcej sprzyjała Henrykowi francuzkiemu, że marzyła o nim.

Talwosz, który służyć jej chciał po myśli, czy z jej przyzwoleniem, czy *proprio motu* ruszył na zwiady ku posłom, którzy już w Polsce znajdować się mieli.

Sprawa wyboru Henryka nie stała tak źle, jak się czasami referendarzowi Czarnkowskiemu zdawało. Firlej się z tem nie taił, że cesarzewicza prowadził, więc Zborowski, choć Commendoniemu także przyrzekł za cesarzem być, na złość i przekorę Francuza chciał popierać. Czynił to potajemnie, ale skutecznie.

Nie mógł też los lepiej Walezyuszowi usłużyć jak nastreczając mu za pierwszego sprawy jego rzecznika w Polsce Montluca biskupa Walencyi.

Był to człowiek stworzony na dyplomację owych czasów, przewrotny, rozumny, bystry, nieprzebiegający w środkach, gładki i słodki, w towarzystwie nprzejmy, znający ludzi i umiejący się do nich zastosować. Ci co z nim przybyli z Francyi i otaczali go, doskonale mu pomagali. Montluc u dawniej sobie znajomego Stanisława Wysockiego kasztelana łędzkiego pod Koninem znalazłszy gościnne przyjęcie, siedząc na wsi, jak pajak rozrzucał sieci niewidzialne dokoła, w które się ludzie łapali.

Zyskiwał Montluc kogo chciał, i kto mu się nastreczył, bo obiecywał co tylko kto żądać mógł. Nie kosztowało go to bynajmniej, gotów był zobowiązania podpisywać na krocie, chociaż grosza przy duszy nie miał i żył podobno pożyczkami, ciągle się pienędzy z Francyi spodziewając.

Obejście się jego z Polakami było całkiem różne, niż posłów i agentów cesarskich. Słodyczą jednał ich, a nawet różnowierców, choć sam duchowny i biskup, przyciągał głośno objawianą tolerancją. On i Bazin przy nim będący podówczas nie gardzili zdobyczą, najmniejszej muszki, przymilali się szlachcie, jednali

ludzi drobnych i małego znaczenia, dobijali się popularności.

Cesarscy posłowie zabiegali pocichu i tajemnie, oni działali otwarcie, mówili głośno.

Przybywającym do kasztelana Wysockiego w gościnę pokazywano dwa piękne wizerunki księcia Andegawenskiego, uśmiechniętego łagodnie, wyświeżonego, spoglądającego z serdecznością wiele obiecującą, z wyrazem dobroci ujmującej.

Ponieważ w cesarzu obawiano się nieprzyjaciela swobód, Montluc zaręczał, że Henryk gotów je jeszcze rozszerzyć i zobowiązać się do zachowania dawnych niełkniętemi.

Różnowiercom zapewniano swobodę sumienia; wszystkim najszcześliwszc, błogie, obfitujące w złoto panowanie, mlekiem i miodem płynące.

Młody pan lubił się bawić, nie obce mu były też sprawy rycerskie i żołnierzem być miał mężnym, wodzem rozumnym.

Dla wielu już to za nim mówiło, że Niemcem nie był; inni podnosili siłę i znaczenie Francyi, która w przymierzu z Polską w szachu mogła trzymać cesarstwo.

Każdy od Montluca wyjeżdżał rozmarzony, upojony, gorącym zwolennikiem Francuza.

Głoszono też pocichu, że królewna Anna, z którą Henryk miał się żenić, była za nim, a nie życzyła sobie zbyt młodego cesarzewicza, bo z rakuzkim domem połączenie zawsze nieszczęścia na Jagiellonów sprowadzało.

Po kraju chodziły wieści o tajemnych wysłańcach cesarskich, do których i Gastaldi należał; obudzało to obawy w panach senatorach, gdy ze strony Francuzów postępujących jawnie niczego się obawiać nie potrzebowano.

Wiele też przypisać było można staraniom i zabiegom Zborowskich, którzy nie odsłaniając się, różno-

wierców i cały obóz własny na stronę Francuza przerwucili.

Talwosz znikłszy ostatnich dni pobytu w Płocku, nie znalazł się, aż gdy królowna w Łomży już mieszkała.

Trafił na niezmierne zburzenie umysłów, niepokój i trwogę.

Jak ksiądz biskup chełmski przewidywał, wyjazd samowolny z Płocka niesłychanym na senatorów rzucił popłochem.

Sądził, w najlepszej wierze, iż królownę opanowali, że nią kierować będą, że uczynią z nią co zechcą. Wszystko to nagle okazywało się złudzeniem, Anna nie myślała ich słuchać i szła swoją drogą wcale się nie oglądając na senatorów.

Posądzano ją więc, że potajemnie musiała układać się i frymarzyć koronę, że mogła ją wydać cesarzowi, że gotową była związać się z Litwą przeciwko Polsce.

Najstraszliwsze widma trapiły przerażonych panów, którym z rąk się wyslizgała władza.

Obawiano się głównie cesarza i rozgalezionych jego zabiegów. W Osieku na zjeździe polecono dwom panom posłom Słupeckiemu i Sienieńskiemu do Płocka jechać i czuwać, aby cesarscy wysłańcy do królownej przystępu nie mieli i po kraju się nie kręcili bez dozoru.

W Osieku nie wiedziano wcale, że Anna już wyjechała do Łomży. Słupecki i Sienieński nie zastawszy jej tutaj, pognali do Łomży, dając znać do Warszawy na zjazd co się stało.

Popłoch to wywołało większy jeszcze. Zarazem jednak ulękli się Mazurowie cesarza i posłali zalecając swoim, aby szanowano cesarskich.

Przybiegłszy do Łomży, panowie deputaci naprzód biskupa chełmskiego i do ochmistrza Konieckiego się udali, składając swe listy i domagając się widzenia natychmiast z królowną.

Biskup począł się im tłumaczyć, że wyjazdu powstrzymać nie mógł, a Koniecki mu potakiwał. Trudno było mocą i gwałtem hamować.

Anna natychmiast dała tym ichmościom posłuchanie.

Wyszła do nich z powagą wielką i majestatem, jakby zdawna przygotowana, spokojna i sama zagaiła rozmowę.

— Dziękuję waszmościom panom, żeście mnie od panów senatorów nawiedzić raczyli, gdyż zdawna pragnęłam o wielu sprawach rozmówić się otwarcie, jako mnie i im przystało.

Słupecki dosyć gorący człek, wnet chciał zacząć o wyjazd i o dalsze panów senatorów względem Anny starania, ale królowna przerwała mu.

— Dzisiaj o tem mówić nie będziemy, spocznijcie waszmoście, ja też niedawno z podróży, potrzebuję trochę wytchnąć. Wieczór blizki, czasoby nam dziś nie stało na wszystko co omówić potrzeba, lepiej więc gdy to odłożymy do jutra.

Słupecki i Sienieński, z którymi i biskup chełmski przybył razem, musieli uleść. Podano im wino i słodycze, ile tam znaleźć było można w zapasach podróży-nych nieobfitych. Mówiono o drogach popsutych, o powietrzu po wszystkich ziemiach rozszerzającym się, o tem i owem, nie tykając nic ważniejszego.

Królowna w ten sposób czas do namysłu pozyskawszy, zatrzymała u siebie biskupa chełmskiego i potrafiła tego dokazać, czego się ksiądz Starożrebski po sobie nie spodziewał i nie przypuszczał. Wmówiła mu bowiem, że senatorowie go jej do boku dodali nie dla dozoru, ale do pomocy.

— Wy, mój ojczy, teraz i zawsze macie moje sieroctwo na sumieniu, powinniście bronić mnie. Ufam że jutro, gdy do rozmowy przyjdzie, na was rachować mogę. Przemówicie za mną, proszę o to.

Biskup chełmski zdumiał się w początku, nie zrozumiał, zmilczał, lecz w końcu i litością zdjęty i prze-

konany prostemi, ale serdecznemi słowy królewnej, z owego strasznego Argusa, zmienił się na rzecznika. Łzy miał w oczach.

Przeszedł, sam nie wiedząc jak, do obozu Anny. Zwycięstwo to prawie nic ją nie kosztowało.

Drugiego dnia rano biskup chełmski uprzedził posłów, czekał na nich, i gdy królowna wyszła, w jej imieniu przemówił z wielkiem namaszczeniem, użalając się, że jest zupełnie opuszczoną i zabytą przez panów rad koronnych, że w tym swoim sierocym stanie, nawet od nich żadnego dowodu troskliwości i współczucia nie otrzymała dotąd.

Słupecki i Sieniński, którzy wczoraj biskupa innym widzieli, słuchali go zdziwieni, gdy królowna sama dodała w końcu.

— Miałam pradziada, dziada, stryja i brata królami polskimi, których dobrodziejstw wasze miłości doznaliście dosyć, a ja dziś po nich sierota nie mam dowodu, abyście to mieli we wdzięcznej pamięci.

Ja w tej żalości mej, opuszczeniu i niedoli, niedostatek we wszem cierpiąc, zwątpiłam już o sercach ludzi.

Słupecki, który śmielszym był, zaledwie rozpocząć zdołał wymówki, iż panowie to złem okiem widzieli, jako królowna poza ich wiedzą się z cesarzem zносиła, gdy mu przerwała.

— Na Boga miłosiernego! czyż mi to może za złe być poczytanem, że mi cesarz powinowaty mój, słowa pociechy przez swych posłów przysłał, a nawet, że do mnie siostry, a ja do sióstr pisywałam!

Wszakże wszystkie te listy i pisma, jakiegokolwiek one były, dawałam czytać panu referendarzowi i tajemnic w nich żadnych nie kryłam.

Żadnych praktyk pokątnych mi waszmoście nie możecie zarzucić, bo ksiądz biskup chełmski wie co się tu dzieje.

Słupecki, który ciągle oratora na siebie urząd przyjmował, począł tłumaczyć, iż panowie senatorowie wca-

le o tem nie wiedzieli, że ksiądz arcybiskup zaniebdał po zgonie króla uroczyście pozdrowić królowną.

Złożył tedy winę na prymasa, i natychmiast co najpilniejszą była, imieniem panów rad domagać się począł, aby królowna do siebie przystępu wzbronila wszelkim obcym posłom i ludziom o konszachty podejrzany, a ze dworu swego oddała tych co im pomagają.

Mieli posłowie na myśli Gastaldiego, posądzając, iż się z królowną widywał.

Słupecki się coraz bardziej rozgorączkował, gdy mu Anna usta zamknęła.

— Cesarz JMość dobrze mi życzy, a za jego dobrą wolę dla mnie, ja mu nie mogę zniwagą posłów jego odpłacać. Na moim dworze nie dopuszczę jej, możecie waszmoście gdzieindziej ich szukać i ścigać.

Zbity na chwilę z tropu Słupecki, wnet znowu do Gastaldiego powrócił, i począł z jakichś listów jego przytaczać urywki, dowodząc niebezpiecznych praktyk.

Dała mu się królowna wygadać zpełna, lecz w końcu zimno i surowo z powagą zamknęła.

— Praktyk ja żadnych nie czynilam i nie czynię, świadkiem mi ksiądz biskup chełmski, więc i posądzaną o nie być nie dopuszczę.

— Za radą waszmościów gotowam iść—dodała—ale w niewolę się zaprzadz nie dam.

Ostatnie słowa dodała tak dobitnie, iż Słupecki zamilknąć musiał.

Chcąc naprawić co on popsuł, Sienieński rzekł łagodnie, że Rzeczpospolita jak zawsze panów swych krew i osoby do rodziny należące szanowała, a miała o nich pilne staranie, tak i o królownie zapomnieć nie chce i czuwać nad nią nie przestanie.

— Daj Boże, aby się to ziściło co powiadacie — odparła Anna — a przedewszystkiem proszę, abyście panom senatorom położenie moje i co się tu kolo mnie dzieje, opisali i zdali sprawę wierną.

Słupecki też łagodniejszych słów kilka dorzucił.

— Nie dziwujcie się waszmość — przerwała mu królowna — iż się uskarżam przed wami, gdyż godności mojej i krwi tej uwłacza w jakim stanie po dziś dzień, ja sierota i dwór mój nbogi.

W podróży wstyd mi moich kolebek i woźników. Co było ślepych i chromych szkap, to mi wydzielono, choć w Knyszynie kilkaset koni król zostawił. Nieboszczyk inaczej tem chciał rozporządzić.

Co za dziwo! Ci sami ludzie, którzy za życia króla starali się, abym pokrzywdzoną i zapomnianą była, po śmierci też woleli rozszarpać między siebie co zostało, niż mnie jako należne powrócić. Podzielili się tem łupieżce. Czasu swojego zdam sprawę z tego, co się działo, aby na jaw wyszło wszystko.

Trzymam to o panach senatorach, że i tego co ze mną uczyniono, i gwałtu jaki się stał ostatniej woli królewskiej nie pochwała.

Miała królowna przy sobie przygotowane już listy księdza Kłasińskiego i wojewody Firleja, które położyła przed posłami, żaląc się na nie, iż bez należnego poszanowania pisane były i domagały się więcej niż przystało.

Słupecki listów tych kopie miał i nie potrzebując czytać, rzekł iż tego samego co one zawierały i im się domagać kazano od królownej.

Anna przerwała mu, skarżąc się na to też, że jej do Knyszyna, do ciała brata nie dopuszczono, gdy je do Tykocina miano przeprowadzać.

Sienieński złożył to na powietrze, na zamieszanie, jakie w pierwszych chwilach po zgonie Augusta panowało, i wszczęła się poufalsza rozmowa, w której Anna wszystko co raz już zarzynała senatorom utrzymać się starała, zwłaszcza co do testamentu brata, iż go nie poszanowano.

A ponieważ testamentu tego miała wierzytelną kopię, w Warszawie sobie przez brata oddaną, wniosła ażeby był odczytany.

Słupecki i Sieński nie sprzeciwili się temu, i ksiądz biskup chełmski zasiadł do odczytania testamentu.

Zaledwie go jednak rozpoczął, gdy kapelan biskupa, Ruszczyk, zapukał do drzwi, chociaż rady nikomu nie wolno było przerywać.

Z twarzy jego, gdy wszedł, dorozumiał się, wielce już i bez tego utrapiony ksiądz Starożrebski, iż coś niedobrego przynosił.

Szeptał mu coś do ucha. Posłowie czekali ciekaw, królowna też, gdy ksiądz biskup odezwał się pomieszany.

— Gastaldi przybył tu do Łomży!

Nie była już więc pora ani testament czytać dalej, ani z królowną rozprawiać. Słupecki chwycił za kołpak i począł wołać, że go ztąd natychmiast uprzątnąć potrzeba.

— Nie zapominajcież przecie—odezwała się Anna do niego — iż posłem cesarza jest, którego drażnić nie przystało. Spadnie to na panów senatorów nie na mnie.

Biskup nicśmiało wyraził radę, żeby królowna odpowiedź cesarzowi na listy jego natychmiast dała Gastaldiemu i sama go odprawiła.

Godzili się na to posłowie.

Królowna im przerwała.

— Posłem cesarskim jest Gastaldi, to prawda, ale się chował na dworze ojca mojego i niejako Polakiem przez to się mieni, więc mu pobytu w kraju zabronić nie można.

— Indigeną przez to nie został—odparł Słupecki—choćby na dworze naszym jak długo chleb jadł; a pod ten czas my cudzoziemców u siebie cierpieć nie możemy.

Wszczęły się tedy spory jak Gastaldiego odprawić, co mówić z nim, jak się go pozbywać, do których królowna prawie się nie micszając, to tylko sobie zastrzegała, aby od niej się żadna obelżywość cesarskiemu posłowi nie stała.

— A co ichmoście uczynicie — dokończyła żegnając ich — to na ich odpowiedzialność niech spadnie.

Słupecki tedy i Sienieński natychmiast ruszyli szukać Gastaldiego, reszty zabywszy.

Gdy już ksiądz biskup chełmski razem z nimi się oddalał, bo go z sobą mieć chcieli, Anna szepnęła mu, iż wiedzieć pragnie, jak się z Gastaldim sprawa zakończy.

Ze dwojga—panów posłów i królewnej sądząc, łatwo potem rokować było, iż, choć przybyli aby Annie w jej położeniu swobody uszczuplić i przykrość uczynić, na końcu sami nie wiedzieli co dalej poczynąć i nie nie zyskawszy myśleli o odwrocie.

Widział to i ksiądz biskup chełmski, który teraz coraz więcej brał stronę królewnej.

Do utrudnienia panom posłom ich zadania przyczynił się też i Gastaldi, który wcale im ustępować i zastraszyć się dać nie myślał. Stał przed nimi jako dbały o cześć własną, człek rycerski i poseł cesarski, z godnością wielką i gotowością choćby gardło dać, a pocziwość obronić.

W końcu żwawych rozpraw, jak opowiadał biskup, Gastaldi w istocie rękę na gardło położył i rzekł do Słupeckiego.

— Com powiedział, tego dokonać muszę, pocziwość moja w tem i gardło.

Życie gotów jestem położyć raczej, niż się ztąd ruszyć bez wiadomości cesarza.

I Sienieński i Słupecki równie u królewnej, jak u niego mało co wskórawszy, uradzili wieczorem nie czekać dalej i nazajutrz wracać do senatorów z doniesieniem i listem królewnej, który wieczorem został przygotowany.

Tak z wielkiej tej chmury, deszczu było mało i Anna co miała utracić na przybyciu posłów, zyskała, utrzymawszy się przy swoim, a zjednawszy sobie biskupa chełmskiego.

Zaledwie posłowie z Łomży wyruszyli, gdy zapo-

biegając wszystkiemu co drażnić mogło, Anna posłała po Gastaldiego, prosząc go, aby się nie upierając dłużej, z listem, który mu dała do cesarza, nazad do niego powracał.

Musiał się na to zgodzić tem łatwiej, że inni posłowie cesarscy znajdowali się jawnie już tu przybywszy i tymczasowo zatrzymali się w Dziekanowie pod Warszawą.

Po wyjeździe Słupeckiego, królowna tem, że zwyciężko im czoło stawiała i nie dała się zastraszyć, ani przekonać, przy swoim stojąc, zyskała na energii i postanowiła niezłomnie trwać przy tem aby prawa jej poszanowane były.

Do sypialni czasem powracając wprowadzie, gdy jej nikt nie widział oprócz Dosi, modląc się zapłakała, lecz gdy trzeba było do obcych, a szczególnie do niechętnych wyjść, nie brakło jej nigdy na mocy, na wymowie i na męzkim prawdziwie charakterze.

Cudem to prawie nazwać było można co się z nią i w duszy jej działo. W oczach ludzkich rosła i potężniała.

Ksiądz biskup chełmski patrzył na nią z poszanowaniem i szeptał, że to było sprawą Bożą.

Co się potem działo w Warszawie za powrotem posłów i jak senatorowie przyjęli sprawozdanie a list królowej, opowiedzieć trudno.

Inaczej jak popłochem nazwać tego nie było można, lecz strach łączył się z gniewem wielkim, z odgrózkami, z przemyślaniami nad tem, jak tę biedną królową, sierotę będącą na łasce narodu zmusić do posłuszeństwa i poddania się.

Tymczasem zwołany był zjazd szlachty do Kask, na który Anna wysłała listy od siebie, a w nich oświadczyła, wprowadzie domagając się zezwolenia,

lecz razem stałe objawiając postanowienie przybycia na sejm do Warszawy!

To dopełniło miary! Senatorowie strwożyli się mocniej jeszcze.

Przybycie na sejm oznaczało zajęcie niezależnego stanowiska, pozyskanie ludzi, zdobycie wpływu na sprawę, którą kraj sam chciał rozstrzygnąć.

Potrzeba więc było królowną zatrwożyć, zagrozić jej, zmusić do posłuszeństwa.

Radzono nad tem.

Sprawa Henryka i Francuzów dotąd mniej głośno, lecz daleko szczęśliwiej się zdawała rozwijać niż cesarska. Montluc zyskiwał z dniem każdym serca; Zborowscy potajemnie szerzyli propagandę, która szła tem lepiej, że i katolików zaspokajała, a pociehu mówiono, iż papież ją popierał.

Wszystko tedy zdawało się iść jak najszczęśliwiej dla Francuzów, gdy jak piorun nadbiegła wieść orzezi św. Bartłomieja.

Na odgłos o niej, z Niemiec tu przyniesiony, wszyscy innowiercy naraz odpadli z oburzeniem, i Montluc znalazł się opuszczonym. Sprawa się wydawała już przegraną.

Królowna odebrała o tem wiadomość w Łomży i poszła się zamknąć zelzami swemi, aby nie okazać jak ją okrutnie dotknęła.

W całym kraju jedno się powtarzało, iż nikt nie zechce kata, zbrczonego krwią, widzieć na tronie.

Obwiniano nietylko Karola IX, ale królowę matkę i księcia Andegawęńskiego. Cesarz mógł się radować gdyż najniebezpieczniejszy ze współzawodników zdawał się nnicestwionym.

Na zjazdach szlachty, wszędzie gdziekolwiek doszły relacye o rzezi, a były i przesadzone i namizętne zaprzysięgano Francuza odpychać i nie dać się nim, odzywać nawet jego stronnikom.

Zborowscy też w początkach umilkli przybieci; lecz nie darmo biskup Walencyi był wysłanym do Pol-

ski, a jeden z najzdolniejszych owego czasu pisarzy w pomoc mu był dodany.

Zaczął od tego Montluc, iż napadających na niego o cierpliwość prosił, dopóki by z Francyi nie odebrał wiadomości wiarogodnych. Zapewniał z uśmiechem, że przeczuwa potwarze i złośliwości, iż król i królowa matka oczyścić się potrafią z zarzutów mordowania własnych poddanych.

Pibrac już przygotowywał swój list do Elvidiusa; pisano memoryały, mające wprędce nadejść do Polski, w których dowiedzionem było, że król wcale winien się nie czuł. Owszem okazał największą litość dla ranionego admirała Coligny, gdy się dowiedział, iż on i Hugonoci na życie jego sprzysięgli się i tejże nocy na Luwr napaść mieli. Musiał się więc król bronić i dozwolił Gwizyuszom uprzedzić spiskowych. A potem, potem sam lud ujmując się za pana swojego, oszalały dokonał reszty.

Winnemi więc byli sami Hugonoci, którzy na życie rodziny królewskiej czyhali.

Wszystko to jasne było, jawne, dowiedzione jak na dłoni.

Tysiącami relacyj tych nowych o rzezi św. Bartłomieja rozsypano natychmiast w całej Polsce. Drukowano je w Niemczech i w Krakowie.

Montluc pokazywał słodko uśmiechnięty wizerunek Henryka, pytając czy młodzieniec tak śliczny, tak łagodny posądzonym być mógł nawet o okrucieństwo.

Oprócz tego owa rzeź—dodawał biskup Walencyi, była w ustach niechętnych przesadzona, powiększona, padli tylko winni i zdrajcy.

Na gorętszych różnowiercach pisma Pibraca, opowiadania Montluc'a, szczegóły, które przynosili jedni za drugimi przybywający z Francyi wysłańcy, nie czyniły zrazu wrażenia. Nie wierzono im, wołano: Precz z Francuzem! Lecz tu, jak zawsze i wszędzie, tłumy się dały ciągnąć przewódzcom, a Zborowski przeciwko Firleja stojąc, gotów był raczej swoje ró-

żnowierstwo narazić, niż ustąpić mu i uznać się pobitym.

Począł dowodzić, że od wszelkiego prześladowania różnowiercy się zabezpieczyć potrafią, przysięgę wymódlą, prawo postanowić!

Gwałtowne wrzenie z wolna łagodzić się i ostygąć zaczęło.

Królewna oplakawszy zrazu pogrzeb swych tajemnych nadziei i marzeń, czekała niecierpliwie wieści z Francji. Przysłano i do Łomży owe listy Pibraca i mnogie inne objaśnienia, które w zupełnie nowem świetle ukazywały tę straszną rzeź nocy św. Bartłomieja. Król był do niej zmuszonym w obronie własnego życia, a lud, lud wszędzie jest okrutnym.

Skłonna do uwierzenia wszystkiemu, co nadzieje jej żywić mogło, królewna z wdzięcznością opatrności przyjęła tę wiadomość pocieszającą. Zdawało się jej to prawdziwem, niewątpliwem.

Chmurne czoło wypogodziło się znowu.

Niezwykła była ona nigdy odzywać się z własnem zdaniem, gdy mówiono o cesarskich i francuskich kandydatach, milczała i słuchała, lecz poznać mogli otaczający ją, że się radowała oczyszczeniem od zarzutów rodziny panującej we Francji.

Talwosz i Dosia; którzy usiłowali z twarzy jej czytać, aby odgadnąć myśli i wedle niej postępować, utwierdzili się w przekonaniu, że królewna sprzyjała Henrykowi.

Litwin biegał poszukując świstków i relacyj, któreby uspokoić mogły.

Anna niemająca dotąd wprost od panów rad wiadomości o tem, co postanowić chcieli względem niej, wiedziała tylko przez pilno rozwiadującego się Talwosza, a potrosze i przez pozyskanego sobie biskupa chełmskiego, że się na nią groza i burza gotowały.

Upprzedzano ją, że panowie nietylko do Warszawy

dozwolić jej nie chcą przybyć, ale myślą gdzieś dalej od granic, od stolic wyznaczyć rodzaj więzienia.

Przebąkiwano o Łęczycy, o Krasnymstawie.

Gdy jej o tem napomknął ksiądz Starożrebski, nie spostrzegł najmniejszej zmiany w twarzy, odpowiedział mu zimno ale stanowczo.

— Nie pojadę tam, przeniosę się gdy zechcę i gdzie zechcę. Gwałtu mi uczynić nie mogą, a ja do niewolniczego posłuszeństwa nie jestem obowiązana.

Starcie się z panami rad zdawało się nieuchronne.

Siedziano w Łomży, ale Talwosz miał wydane rozkazy, aby do podróży, na wszelki wypadek, gotowość była zawsze.

Ponieważ odgródki i wareczenie przeciw królownie z Kask dochodziło, gdzie miano coś postanowić, aby wiedzieć czemu się i jak opierać, Anna wyprawila potajemnie Talwosza, języka potrzebując.

Człowiek to był do wszystkiego, który zniknął i powracał cndownie, odbywał podróże z pośpiechem niesłychanym, docierał wszędzie, umiał się dowiedzieć tajemnic i nigdy z próżnemi nie wracał rękami.

Królowna, którą wielu zawiodło, miała w nim nieograniczone zaufanie, a gdy Zagłobianka podjęła się pośrednictwa i zaniósła mu rozkazy, Anna pewną być mogła, iż pójdzie w ogień i w wodę.

Sprawił się i tym razem Talwosz żywo, a nie wrócił z niczem; ale złe przywiózł wiadomości, których przed Anną ukrywać nie było można. Wiedział on o tem, że chciała być o wszystkim zawiadomioną, bez oszczędzania strapić, aby zawczasu do oporu przygotować się mogła.

Talwosz ze smutkiem przyznać musiał, że się tak bardzo sierzono i odgrażano tam na królownę, że postanowiono ją wysłać do Łęczycy lub Krasnostawu, a do Tykocina wyprawić dla zagarnięcia skarbów, które testamentem do niej i do sióstr należały, o czem senatorowie słuchać nie chcieli.

Wszystkie te pogródki i posądzania, że królowna

z Gastaldim potajemnie i cesarzem miała jakieś układy, że samowolnie coś poczyniała, gdy Talwosz jej przyniósł, wysłuchiwała ich bardzo cierpliwie, jakby zawczasu przygotowana, podziękowała mu za gorliwość i odeszła słowa nie rzekłszy, ale nie okazując, aby się tem zakłopotala.

Talwosz nie śmiał powtórzyć Annie co mu powiadano jako niepewne jeszcze, że senatorowie mieli żądać wydania kluczków od tykocińskich skarbów i że dla pilniejszego dozoru nad osobą królowej wyznaczeni byli w Krasnymstawie oprócz biskupa chełmskiego, pan Andrzej z Tęczyna kasztelan bełzki, a w Łęczycy Andrzej Dembowski kasztelan sieradzki.

Talwosz powiadał Dosi, że natychmiast chciano Annę z Łomży wyprawić.

Wszystko się to sprawdziło wkrótce i jednego dnia dano znać królownie, już na wszystko przygotowanej, że posłowie od panów senatorów biskup kujawski Karnkowski i wojewoda łęczycki Jan z Bogusławic Sierakowski do Łomży zawitali. Pobiegl na spotkanie ich biskup chełmski.

Wybór tych posłów wskazywał, że chciano powagą ich większy nacisk na wymagania położyć i zapobiedz wszelkiemu ze strony królowej oporowi. Rozumem i dostojenstwem odznaczał się Karnkowski, nie ustępował mu Sierakowski, zręczniejszy i żywszy od niego.

Wiadomość o przyjeździe ich nietylko że nie przstraszyła Annę, ale zdawała się jej wielce pożądaną.

Biskupowi chełmskiemu dała wiedzieć natychmiast, że przyjmie biskupa i pana wojewodę jak tylko odwieźć ją zechcą.

W kilka godzin też potem Karnkowski z wojewodą przyszli powitać Annę, która przyjęła ich z wielkim majestatem, ale nader zimno i obojętnie.

Na zapytanie z czemby do niej wysłani byli, biskup kujawski oświadczył naprzód tylko, że żądano,

aby królowna z Łomży wyjechała natychmiast do Krasnegostawu lub do Łęczycy.

— Dlaczegoż po mnie tego wymagacie?—spytała zimno.

— Otwarcie powiem — przerwał Sierakowski—iż, niesłusznie pewnie, boją się panowie senatorowie, aby tu Litwa nie zabiegła i nie starała się skłonić miłość waszą do działania na zerwanie Unii.

Anna uśmiechnęła się ironicznie i poruszyła ramionami.

— Posądzenie to dla mnie obelżywe jest — rzekła—ale ja przebaczyć muszę. Co się tyczy Krasnegostawu lub Łęczycy—dodała—stanowczo wam oświadczyć muszę, że ani do jednego, ani do drugiego mi wyznaczonego miejsca nie po-ja-dę.

Tak, nie pojadę. Wybiorę się tam, gdzie mi się zda znajdować, bo niewolnicą uczynić się nie dam.

Wojewoda zbladł, biskup spuścił głowę, nie odezwali się już ani słowa. Sam ton jakim wyrzeczone były wyrazy te przez Annę, nie pozostawiał wątpliwości, iż się skłonić nie da do posłuszeństwa bezwarcunkowego.

Uzbrojona była do walki z senatorami.

Dnia tego biskup Karnkowski już nawet nie rozpoczynał nalegania, i krótko zabawiwszy pożegnał królownę.

Powrócili do niej nazajutrz z wojewodą. Karnkowski na nowo oświadczył, iż z Łomży oddalić się Anna musi, bo panowie senatorowie mają wiadomość o tem, iż Litwa zmierza do zerwania Unii i będzie się starała nakłonić ją ku sobie. Sama więc królowna dla spokoju własnego powinna była uniknąć nacisków, którym możeby się oprzeć nie potrafiła.

Nie przyznała się Anna, iż Chodkiewicz ją już kuśił wyborem na W. księstwo, ale odpowiedziała zimno, że niesłusznie ją posądzano, jakoby bez rady panów mogła i chciała jakieś z Litwą czynić układy.

Wtem wojewoda chcąc odrazu pozbyć się wszyst-

kiego co najcięższe mu było, dodał że kazano im się domagać kluczków od skarbów tykocińskich, w których skrzyniach znajdowały się też przywileje koronne.

Anna spojrzała z góry na niego.

— Pojedziemy więc razem do Tykocina—rzekła— i przy mnie otworzymy skrzynie, aby szukać przywilejów, o których ja wiem tylko tyle, że ich tam niema!

Sierakowski i Karnkowski zaniemieli, królowna siedziała naprzeciw nich majestatycznie, dumnie, po królewsku zbywając się natrętów.

Biskupowi zrobiło się nad wyraz przykro, widział się w konieczności wytoczenia wojny ze słabą niewiastą, do której przygotowanym nie był. Niemilem mu było stawić się nieprzyjacielem tej ostatniej gałązki Jagiellońskiego szczepu.

Począł więc, po chwili milczenia i namysłu, z goryczą i żalem wywodzić do jak wielu posług go Rzeczpospolita zażywała, jak je sprawiał zawsze ochotnie i szczęśliwie, jak i teraz z chęcią i wolą dobrą jechał tu do królowej dla porozumienia się bez sporu, dla dobra obustronnego.

Nie zbywało na wymowie biskupowi, a gdy raz rozpoczął, niełatwo się powstrzymać mógł, mówił więc długo, z uczuciem. Tłómaczył dlaczego wyjazdu domagano się, gdyż przejęto listy Litwinów i wiedziano o ich intrygach.

Łatwo było się domyśleć, że odmówienie kluczków i wydanie przywilejów tak dobitne, strwożyło też księdza Karnkowskiego. Z niezmiernym zapalem, w uniesieniu zbytecznem może, przypuszczając, że zabiegi jakieś są na opanowanie gwałtowne tronu z pomocą i za wiedzą Anny, zawołał.

— Jako senator i jeden z rady koronnej obowiązany jestem miłości waszej oświadczyć uroczyście, że cudzoziemcy napróżno tu przebywają w Polsce i różne starania czynią; ani W. Kr. Mość, ani nikt w świe-

cie tego nie dokona, aby nam przeciw woli naszej panna narzucił.

Pierwej ciała i szaty nasze krwią się opluczą, niż my tego dopuścimy!

Uniósł się jeszcze więcej biskup i nierozważnie dodał.

— O tem W. Kr. Mość myśl i my się o to starać będziemy, co jest z wolą Bożą, zgodą powszechną, ale tego nie dokażesz ani praktykami, ani dumą swą i zginiesz... z żalością to mówię i z płaczem.

Królewna słuchała blada i poważna, a Karnkowski raz za daleko się posunąwszy, nie wiedział teraz jak złagodzić wrażenie swych gróźb; mówił więc ciągle, nie mogąc poprzestać, o przyjętych skryptach, o praktykach tajemnych, o tych których Anna do pomocy używała... i skonkludował, iż w Łomży dłużej pozostać nie mogła.

— Słuchaj W. Kr. Mość nas, zaufaj nam—mówił—Bogu na chwałę a sobie i nam na pożytek. Miejsce tu ku mieszkaniu niebezpieczne jest, obrony nie masz, zawarcia żadnego, ludzi około miłości waszej niewiele. Obcy przybiegają, wciskają się, ztąd niebezpieczeństwo i podejrzenia i złe mowy.

Książę Lignicki przejeżdża się po kraju, książę Pruski pomoc cesarzowi obiecuje.

Powtórzył wreszcie biskup wymagania wyjazdu i wydania przywilejów koronnych z Tykocina.

Zdało się jemu i wojewodzie, że wymową tą, zakłęciami, groźbami pokonał Annę, lecz okazało się, że trwała niewzruszona przy swoim.

Napróżno zeszło godzin kilka i posłowie nie dokonawszy odejść musieli. Dostało się tedy księdzu biskupowi chełmskiemu, a potem ochmistrzowi Konieckiemu za tą, że musieli dopuszczać do Anny ludzi, którzy ją podbudzali, utrzymywali w oporze, bo nie mogli przypuścić, aby tę siłę charakteru sama z siebie brała.

Wygadał się z tem Karnkowski przed ochmistrem

który Bogu ducha był winien, że Litwa jakoby chciała się pozbyć Anny osadzając ją na księstwie Baru we Włoszech, a Korona lepiej o niej myślała.

Trwało parę dni naleganie i stateczny opór królowej, która oświadczyła ponownie, iż ani do Krasnegostawu, ani do Łęczycy nie myśli i nie pojedzie, choćby dlatego, iż potrzeba było przebywać w podróży zapowietrzone jawnie okolice.

Zgadzała się zaś na to, aby w bliskości Warszawy osiąść tymczasowo w Piasecznie, choć tam odpowiedniego pomieszczenia spodziewać się nie mogła.

Biskup i wojewoda, którym jadąc zdawało się, że z jedną osieroconą niewiastą łącznie trafią do końca, pracowali nadaremnie kilka dni, i musieli się uznać pokonanymi.

Miała tę wyższość osobliwą nad wymownym biskupem Anna, że mówiła i odpowiadała spokojnie, bez namietności, bez gniewu, nie unosząc się, ale nie dając się złamać.

Nie brała za złe Karnkowskiemu jego występów gwałtownych, odzywała się jak przystało do duchownego, z pokorą, łagodnie, lecz nie ustępując ani na włos z tego co postanowiła.

Biskup i wojewoda zgodzili się, radzi nie radzi, na Piaseczno.

Było to jedno co zyskali u królowej i wyjeżdżając musieli powiedzieć sobie, iż powracali tak jak z niczem. Jagiellonka odniosła zwycięstwo, choć radości zbytniej z tego nie okazywała.

Miała wiele innych powodów do trosk i smutku. Ta Litwa, którą posądzano, iż w spisku z nią była, odgrażała się, że wcale testamentu króla uznawać nie chce i nie myśli, że jego spadkobiercami nie rodzeństwo ale kraj być powinien.

Panowie koronni, równie łaknący grosza dla opróżnionego skarbu, gotowi byli na współ z Litwinami przystąpić do podziału.

Zgodzono się obejrzyć i sprawdzić co i jak się tam w Tykocinie znajdowało.

Wiemy już z opowiadania tego, iż król powierzył straż skarbów tykocińskich rotmistrzowi Bielińskiemu, którego wierności ufał, a kazał mu powiedzieć i wy-mógł na to przysięgę, że kluczków nikomu nie da, ani przystępu, oprócz królewnej Anny.

Gdy do Łomży doszła wiadomość, że się Litwini i panowie koronni wybierali do Tykocina, pobiegł zaraz Talwosz rotmistrza Bielińskiego od królewnej zakląć, iżby zaufania w nim położonego nie zawiódł.

Poselstwo to wcale nie było potrzebnem. Gdy Talwosz nadbiegł, już po wszystkim znalazł, a Bielińskiego tak spokojnego, jakby wcale mu nic nie zagrażało. Stary wojak był jednym z tych ludzi, którym ani wojewodowie, kasztelanowie, ani biskupi powagą swą senatorską imponować nie mogli. Cześć swą i słowo rycerskie stawiał tak wysoko, iż za nie gotów był dać życie.

Z zimną krwią zdał relacyą Talwoszowi, iż w istocie z Litwy wyznaczeni starosta żmudzki i Wojna pisarz litewski, wraz z wojewodą sandomierskim i kasztelanem gnieźnieńskim przyjechali byli do Tykocina w zamiarze opatrywania owych skarbów. Tym zaraz na wstępie bez ogródki oświadczył Bieliński.

— Obejrzyjcie waszmoście czy jest należyty porządek około ciała królewskiego i około sklepów opieczętowanych, ale nie żądajcie odemnie, abym złamał słowo. Jestem człowiekiem sędziwym i rycerskim, nieboszczykowi królowi przysięgałem, a prędzej życie stracę niż przysięgę moją naruszę.

Panowie tedy zażądali, aby on i wszyscy na zamku w Tykocinie nową przysięgę złożyli Koronie i Litwie, Bieliński się oparł.

Poswarek się stał i zamięszanie z tego powodu, rotmistrz trwał przy swoim nieporuszony.

Grożono mu pozwaniem na zjazd do Warszawy,

nie pomogło i to. Gwałtu popełnić nie ośmielono się i sklepy zostały nienaruszone.

Talwosz przywiózł pocieszającą tę nowinę w chwili, gdy już się wybierano do Piaseczna.

W ten sposób królewna szczęśliwie się przy swem utrzymała i miała się zbliżyć do Warszawy, do której chciała się dostać, choćby to panom senatorom niebardzo miłym być miało.

Wśród zimy, po najgorszych drogach, z niewygodami wielkimi puściła się królewna w tę podróż, do której była na pozór zmuszoną, a w istocie odpowiadała ona jej życzeniom: zbliżała ją do miejsca, gdzie zjazdu odbywać się miały i czynną być mogła.

Dotąd wiodło się wszystko, choć zdobywać musiała przebojem stanowisko, które zająć potrzebowała. Od śmierci króla owa sierota bezsilna już doszła do tego, iż straszną się stała, i swoją wolę mieć mogła. Panowie musieli się z nią rachować.

Co się tam działo w duszy jej? jak potrafiła utrzymać się na zdobytym stanowisku, nie mając pomocników, oprócz maluczkich sług wiernych? Jeden Bóg wiedział.

Widząc ją tak śmiało kroczącą coraz dalej, nie dającą się zastraszyć, ani zbić z raz wyznaczonej drogi, panowie nie pojmowali, aby tę siłę w sobie samej czerpała; roilo się im, że była w zмовie z cesarzem i że im chciała pana narzucić, nie dopuszczając elekeyi.

Więc poprzysięgano, zaklinano się, że nie dozwolą, aby im panował, kogo sami nie wybiorą.

Ponieważ ani głupawego Konieckiego ochmistrza niepodobna było posądzać o posiłkowanie królewnie do tych urojonych spisków, ani biskupa chełmskiego, ani Czarnkowskiego, który za sobą zacierał tropy, na Talwosza się zwróciły oczy, jemu przypisywano wszystko: opór, konszachty potajemne...

Żądano od Anny aby go oddaliła. Królewna w chwili wielkiego zburzenia umysłów sama nie wie-

działa co począć i potajemnie kazala Litwina przywołać, który już o wszystkim wiedział.

Nie mu to nie zachmurzyło czoła, choć ode dworu królowej odejść nie rad był dla Dosi.

— Co ja pocznę, Talwoszu mój — odezwiała się do niego Anna wzdychając — oczy mi tobą wykłają.

— Jeżeli W. Kr. Miłość dla mnie mizernego służki swojego cierpieć masz — rzekł Talwosz kłaniając się — proszę usilnie rozkażcie mi precz iść, ja nie mnij gorliwie służyć będę.

Lza się zakręciła królownie w oczach.

— Uspokoić potrzeba panów senatorów — dodała — ale się nie oddalajcie z Warszawy. Da-li Bóg, ja wiernie służby nagrodzę.

Jaka nagroda najmielszą mu była, nie powiedział Talwosz, odszedł na wszystko gotowy.

Nazajutrz Anna przy biskupie chełmskim przywołać go kazala i oświadczyła, że dla spokoju i nalegania panów żąda, aby od niej odjechał.

— Stanie się po woli miłości waszej — odpowiedział kłaniając się Litwin — dziękuję za wszystkie laski jakich doświadczyłem i odchodzę życząc tylko, aby miłości waszej drudzy równie wiernie jak ja służyli.

Urzędownie tedy Talwosz został odprawiony.

Wesoło jednak poszedł do towarzysza Boboli.

— A col druhu miły! — rzekł — mnie kazano precz! Wyście szczęśliwi, że panowie senatorowie was w posądzeniu nie mieli i zostajecie.

Bohola uszom nie dowierzał. Zdawało się nie tylko jemu, ale nawet Konieckiemu, Żalińskiej nawet, która go nie lubiła, niepodobieństwem ażeby się na dworze bez Talwosza obejść mogli.

Teraz dopiero okazało się, jaką on tu niepokazną, cichą, a czynną był wszystkiego sprężyną.

Nigdy z tego chluby nie szukał, nie wynosił się, łaskami nie chwalił, wpływem nie nadymał, ale wszę-

dzie go było pełno, każdemu dobrą radę dał, karku chętnie nastawił, a gdy niejasno w czem było, on najlepiej dojrzał drogi.

Dla królowej był to służka nieopłacony, nieoszacowany, ale wyrzekając się go, wiedziała że nie straci.

Z dobrą miną tegoż dnia poszedł Talwosz na pożegnanie do dobrego, łagodnego księdza biskupa chełmskiego, który go też lubił i miał tęsknić po nim.

— Przyszedłem najprzewielebniejszego ojca pożegnać — rzekł całując w rękę — pędzą mnie ztąd, niema rady. Kiedy już Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie być ma przez Talwosza, trzeba ją ratować! więc choćby głową w przerebę.

Biskup stał zafrasowany.

— Kochanku — rzekł — wierzaj mnie, jam temu nie winien nic. Ochmistrzowi Konieckiemu byłeś solą w oku, ten na ciebie zrzucił wszystko.

Śmiał się Talwosz.

— Gdy ja pójdę precz — rzekł — nie przeto on więcej tu znaczyć będzie.

Ksiądz biskup westchnął powtórnie.

— Dokądże ty? na Litwę? — spytał.

— Bóg jeden wiedzieć raczy — odparł Talwosz.

— Człowiek czasem swobodę odzyskawszy, nie wie co z nią robić, tak i ja. Na wsi mi się nie chce siedzieć. Siła jest panów, do których dworów człowiek się zda, ale nic do każdego rad pociągnie. Czas jakiś pewnie zostanę w Warszawie.

Pobłogosławił go ksiądz Wojciech i tak się rozstali.

Koniecki ochmistrz, gdy z nim przyszło się żegnać, z kolei poprzysięgał, iż on weale przyczyną nie był odprawy, że złe języki mogły to składać na niego, ale się czuł niewinnym.

— Albo ja miłość waszą winuję? — odezwał się Talwosz — Boże mnie uchwaj! Przyszedłem tylko

z przestrogą, że co dziś mnie, jutro może miłość waszą spotkać. Nie stanie Talwosza, a zrobi się co nie po myśli, zrzuca teraz na ochmistrza.

Zasępił się Koniecki, ale nadto ufał wysokiemu urzędowi swojemu, ażeby się uląkł bardzo. Nosił się z godnością tą, pewien będąc, że nawet złe języki dosięgnąć nie mogły wyżyny, na której się znajdował.

Żalińska gderliwa tem czulszą chciała się okazać dla Talwosza, im się w duszy cieszyła więcej z tego, że się go pozbędzie. Miała nadzieję, że syn jej skorzysta z tego i zbliży się swobodniej do Zagłobianki, która patrzeć nań nie chciała.

Najcięższe było pożegnanie z Dosią. Talwosz nie mógł dotąd zbadać dziewczęcia i na przemiany to nadziejami najslodsze się ludził, to rozpaczał. Dosi ani on, ani nikt w świecie zrozumieć nie mógł.

Dumna, zimna, szyderska, obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami tak, jakby z nich żadnego siebie godnym nie uznawała.

Spotykało to Talwosza co innych. Czasami słuchała go cierpliwiej, okazywała przyjacielską, ale za ledwie z tego zapragnął skorzystać, aby się zbliżyć i spoufalić, natychmiast oblekła się dumą i stawała nieprzystępną.

O miłości ani mówić nie dozwalała.

Talwosz, zamożny po rodzicach szlachcie, pięknego imienia, był dla niej pożądanym mężem, ale o wyjściu za mąż słuchać nie chciała.

Korzystając z tego iż pożegnać ją miał, Litwin postanowił raz jeszcze spróbować rozmówić się z nią stanowczo.

Dosia, która pierwsza wiedziała tu wszystko, tak iż powiedzieć było można, iż myśli królowej odgađywała, o odprawie Talwosza była uwiadomiona wcześniej. Nie zdziwiła się, gdy wypatrzywszy chwilę, samą ją w komorze królowej zastał i oświadczył, że przyszedł z pożegnaniem.

Zagłobianka, która około krosien jakichś zajęta była, rzuciła je i podeszła ku niemu.

— Panno Doroto — odezwał się Talwosz — serce mi się kraje. Mało mi nieraz było raz lub dwa widzieć ją we dnie, a teraz Bóg wie, czy raz w tydzień mnie to szczęście spotka.

A gdy Dosia milczała dodał.

— Niechże choć przy tem rozstaniu wolno mi będzie raz jeszcze powtórzyć, żem ja sługą jej wiernym do grobowej deski, a siebie i co mam u nóg waszych składam.

Zagłobianka się cofnęła, twarzyczka jej zbladła i brwi się ściągnęły.

— Dalibyście pokój temu — odpowiedziała. — Wszyscy wy mężczyźni, gdy się lichko podoba toż samo oświadcacie i mówicie... a no na lodzie nie budować.

— Jam tedy nie więcej wart niż drudzy w oczach waszych, panno Doroto? — zapytał smutnie Talwosz.

— Nie mniej nad innych, ale pono i nie więcej — powtórzyła Zagłobianka. — Albo waszmość znasz sam siebie? Ja to tylko wiem, że pókim młoda, a krasa trochę jest, ona za wszystko płaci, nie stanie jej, pocznie się wypominanie, żem ani mienia ni imienia nie przyniosła, a ja na to się narażać nie chcę, i za mąż iść nie myślę.

Talwosz głową zawahał.

— Muie się zda, że gdzie wielka miłość jest, tam ani imienia ani mienia nie potrzeba.

— Tak to się waszmości zda — rozśmiała się z przymusem Dosia — a nie dosyć was, rodzinę macie, ojca, matkę, braci, siostry, powinowatych, ci oczy sierocieby wykałali. Proszę więc nie mówmy o tem.

Jeżeli drugim tak samo jak mnie odpowiadać będziecie — odezwał się Talwosz — gotówem czekać aż się o wiernej miłości mej przekonacie.

Zagłobianka zwróciła rozmowę.

— Więc was odprawiono — rzekła — ale wy się odprawiać od królownej nie powinniście.

— Aui też myślę — odparł Talwosz.

Zostanę w Warszawie. Z Piaseczna niedaleko do mnie będzie, gdybym się miał zdać na co. Zresztą widzi mi się, że i królowna rychło do Warszawy się przeniesie.

Gdybyście mnie na co potrzebować mieli — dodał w końcu — kaście szukać w gospodzie pod Białym koniem u Barwinka, za krakowską bramą.

Ponieważ Zagłobianka nie odchodziła, wniósł Talwosz, że mu ma jeszcze coś do powiedzenia; czekał rad, iż się rozmowa przedłużała.

Dosia cichym głosem poczęła.

— Nieprawdaż? mnie się zdaje, że choć panowie senatorowie naszą panią posądzają o to, iż z cesarzem jest w potajemnej zмовie i z nim spiskuje, myślą się bardzo. Więcej ona sprzyja Francuzowi.

Talwosz głową dał znak potwierdzający.

— Najlepszym dowodem tego było — dodała Dosia — gdy wiadomości nadeszły o tej rzezi okrutnej, zgryzła się tak, że po całych dniach słowa od niej dopytać nie było można. A potem, jak począł biskup Walencyi rozsyłać pisma, które oczyszczały króla i królowę, naczytać się ich nie mogła. Kazała mi sobie po nocach raz i drugi odczytywać i tłómaczyć.

Spojrzała na Talwosza.

— Jam też domyślił się, że z cesarzem nasza pani dlatego tylko umyślnie zdawała się na dobrej stopie, aby strachu senatorom napędzić i nie dopuścić lekceważenia.

— No, to powinniście, jeżeli tak mniemacie — wtrąciła Dosia — powinniście wiedzieć, co czynić. Królowna znaku nie da, ażeby Francuza popierano, bo się wstydzi, ale przyjaciele jej odgadłszy myśl, starać się powinni podług niej się sprawiać.

— Ani słowa — odparł Talwosz — tylko tacy przyjaciele a słudzy jak ja, nie wiele mogą.

— Nieprawda — przerwała Dosia gorąco — kto chce, ten może wiele, a mali ludzie czasem nieznacznie sprawy wielkie popierają skutecznie, tyle tylko, że potem ich robota na cudzy idzie rachunek.

— A ja się też chwalić i korzystać z niej dla siebie ciągnąć nie myślę — odpowiedział Talwosz. — Byle naszej pani usłużyć, zapłaty, ani chwalby z tego nie szukam.

— Bóg wam to nagrodzi — dodała Dosia uprzejmie. — Wiecie więc co czynić... róbcie.

— Nie omieszkam — rzekł kłaniając się zabierającej do odejścia Talwosz. — Pozwolicie abym, gdy potrzeba się okaże, zgłosił się do was?...

— Czemuż nie — cicho szepnęło dziewczę — ale o tem zapominać nie trzeba, że ludzie mnie i was będą szpiegowali. Ostrożnym musisz być. Bóg z wami.

Talwosz skłonił się raz jeszcze.

— A! jak wy, panno Doroto, nielitościwi jesteście!

Położyła palec na ustach piękna Zagłobianka, twarz jej posmutniała.

— Ani słowa!

I odeszła żywo.

Królewna mieszkala w Piasecznic. Ze wszystkich tych pustych zamków i dworów, które dotąd od śmierci brata zajmowała czasowo, dwór tutejszy najnędziejszym był.

Królewna musiała zajmować izby nieopatrzone, zimne, wiejące, w których pieców brakło, ław i stołów, a nie wszędzie tokowisko zastępowały podłogi. Dla niej i dla kilku osób ze dworu jako tako pootykano ściany i okna, ale reszta służby gorzej niż na obozowisku cierpiała, a zima była ostra.

Żaden z tych panów senatorów, którzy ją tu siedzieć zmuszali, nie byłby wytrwał w takiej obrzydłej

dziurze. Królowna zносиła nie uskarżając się, a gdy Zalińska i Zagłobianka lub Koniecki poczynali piszczyć, zamykała im usta. Miała w tem myśl jakąś. Właśnie to nędzne pomieszczenie posłużyć jej najlepiej mogło dla wytłómaczenia przeniesienia się do Warszawy.

Nie pytając o pozwolenie, już razy kilka z Piasieczna jeździła do miasta, zatrzymywała się tu po dniu i więcej. Za każdym razem przyjazd jej popłoch obudzał, lecz w końcu ludzie się z tem oswoili, a królowna obracała się swobodnie.

Dosia spostrzegła, iż miała wielką ochotę przenieść się stale na zamek, ale się jeszcze wahała, jakby sposobnej wyczekując chwili.

Nie zwierzała się ze swych zamiarów nikomu.

Sprawami cesarskich posłów i innemi, o które ją posądzano, że się niemi porała, nie zdawała się bynajmniej zajmować. Cała jej troska i staranie zwrócone było na most na Wiśle pod Warszawą.

Było to wielkie, ulubione dzieło Zygmunta Augusta, które on rozpoczął z gorącym pragnieniem widzenia jeszcze za żywota ukończonem. Leżało mu ono na sercu, dopytywał o nie na śmiertelnem łożu, dawał na to pieniądze ze swej szkatuły, a powierzywszy dokonanie staroście warszawskiemu Wolskiemu, do ostatniej godziny troszczył się o nie.

Na owe czasy było to dzieło trudne, kosztowne, wielkie.

Most ten, któryby był jakby wcieleniem idei Unii dwóch narodów, mający połączyć dwie połowy Rzeczypospolitej i ułatwić wymianę ludzi i zasobów, rozpoczęty został jeszcze w roku 1568, 26 czerwca, gdy pierwszy pał pod niego wbito. Król okupił dwoma wioskami, Przekorą i Dobrą Wolą prawo przewozu od Jeżowskich, spłacił dzierżawcę przewozów Erazma z Zakroczymia i jemu powierzył budowę stałego mostu, który miał się oprzeć i wylewom i lodom, łącząc stale dwa brzegi.

Kilkadziesiąt ogromnych baszt drewnianych, z prastarych, niezmiernej grubości belek wznoszonych, miało go bronić rozbijając kry i lody. Drzewo spuszczano z królewskich lasów z Korony i Litwy, nieustannie pracowali nad nim cieśle w wielkiej liczbie i budowa mająca 1150 kroków długości, już bliska była dokończenia. Starosta Wolski przejął gorąco myśl króla i dokończenie przyśpieszał, a Anna się nią zajmowała tak pilno, iż za każdą wycieczką do Warszawy jeździła na miejsce, kazała sobie pokazywać ile roboty postąpiły, zagrzewała do nich, naostatek ze swych bardzo szczupłych zapasów pieniądze dawała na opłatę robotnika. Wolski, który najlepiej wiedział, że królownie o pieniądze było trudno, bo z Tykocina nie jej nie dawano wziąć dotąd, oprócz pary srebrnych lichtarzy, nie rad przyjmował, zmuszała go przecież Anna, aby dokonanie mostu przyśpieszyć.

Wiadomem było, że tu się Litwa i Korona dla narad nad przyszłym wyborem króla zjechać miały.

Starosta warszawski rad też był temu, aby wiekopomne owe dzieło doprowadzić do skutku, a królowna jeszcze animuszu mu dodawała. Ze swemi basztami już teraz prawie gotowemi, most oparty na niezmiernej grubości palach, związany z takich belek, jakich dziś już nasze lasy nie mają, ukrzepiony mnogimi kłami żelaznemi, które go spajały, przedstawiał widok wspaniały.

Królowna dla pamięci brata była nim dumną, cieszyła się i patrząc nań płakała. Wolski pysznił się też, że jemu danem było ostatnią rękę przyłożyć do budowy jedynej wówczas w kraju.

Za każdą podróżą do Warszawy jechała Anna na brzeg w towarzystwie starosty, kazała sobie ukazywać wszystko i nagliła o wykończenie.

Podróże te w porę zimową, na którą nie zważała królowna, a bardziej podobno pobyt w Piasecznie, gdzie nocami woda w pokojach zamarzała, wilgotno

było i niewygodnie, poczynął już na zdrowie wpływać. Anna była cierpiąca na ból głowy, oczów i miała gorączkę częstą, ale nie zważała na nią wcale.

Czas było nareszcie z Piaseczna mimo panów senatorów przenieść się do Warszawy, choć przewidzieć było łatwo jaką to wrzawę wywoła.

Panowie senatorowie jeszcze się byli po długich naradach nie rozjechali z Warszawy, gdy w piątek przed zapustami (23 stycznia) wcale się nie oznajmiwszy im, nie pytając o pozwolenie, królowna z całym dworem i taborem w biały dzień wprost zajęła na zamek.

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie.

Był jeszcze w Warszawie prymas Uchański, biskupów siła, był Firlej marszałek koronny i inni senatorowie świeccy.

Zmiarkowali oni, że zamiast walkę rozpoczynać, która się dotąd nie wiodła, należało królownę przyjąć ze czcią jej należną. Pośpieszył więc Uchański, okazując wielkie poszanowanie dla krwi królewskiej, Firlej, biskupi i świeccy panowie na powitanie uroczyste.

Królowna wyszła bynajmniej nieustraszona, z pogodną twarzą i wszystko się odbywało jak najuroczyściej, najspokojniej, bez wymówek, bez żalów.

Witał prymas, przemawiał wojewoda krakowski, dziękowała sama Anna, odzywali się inni z wiernością swą i przywiązaniem dla rodu królewskiego. Nikt nie śmiał ani spytać Anny, jak się ważyła na krok tak samowolny, ani jej wyrzucał, iż lekceważyła radę.

Królowna w kilku słowach napomknęła o tem, jak pobyt w Piasecznie był niemożliwym.

Rozgospodarowano się więc na zamku na dobre, widocznie już nie myśląc ztąd dać wyrugować.

Koniecki, który teraz sam jako ochmistrz na zamku rozkazywał, nabrał jeszcze większej powagi i pewnością siebie.

Działo się to w piątek. Ponieważ Uchański i Firlej już na wyjeździe byli i pośpieszyli z powitaniem, nie mogli wszystkim oznajmić o tem i wielu się do nich przyłączyć nie mogło.

Litwini, którzy po odrzuceniu przez Annę ich ofiar do rozerwania Unii dążących, najnieprzyjaźniejsi się dla niej okazywali, godzili na testament króla i na prawa Anny, nie pokazali się dnia tego. Nie przyszedł też przeciwnik Firleja Zborowski, może dlatego, iż z nim razem nie chciał się tu znajdować.

Dotąd stawał on także dosyć nieprzyjaźnie względem królownej.

W sobotę potem zdziwiła się ona wielce, gdy zrana Koniccki jej przyszedł oznajmić, iż pan wojewoda sandomierski o posłuchanie prosił. Nie zawahała się ani na chwilę z przyjęciem tego, który się głosił jej nieprzyjacielem.

Wielki a dumny pan, Zborowski różnił się od tych ówczesnych czynnych w Rzeczypospolitej magnatów jak Firlej, którzy z myślami i zamiarami swemi ukrywać się starali niezręcznie i sądzili, że świat oszukają.

Zborowski większy frant od nich, mówił głośno co myślał, udawał otwartego i namiętnego, krzyczał i unosił się, chociaż przy tem wszystkiem doskonale pamiętał z czem się mógł wydać, a co miał utaić.

Z nim i sprawa i rozmowa szła inaczej, nie politykował on jak Uchański, nie kłaniał się jak Firlej, rubasznie się tłómaczył, chciał, aby mniemano, że nie do ukrywania nie miał.

W istocie, obok przebiegłości wielkiej, temperament gwałtowny nie dozwalał mu całkiem się powściągać. Puszczał więc wodze sobie, mówił wiele, obchodził się z ludźmi rzeźko.

Królowna Anna po wczorajszem powitaniu prymasa i wojewody, nie wiedziała czego się ma spodziewać od Zborowskiego, który się nie tał z tem dawniej, że przeciw niej godził.

Wyszła naprzeciw niego z małym dworem, przywołać kazawszy biskupa chełmskiego.

Zdumienie było wielkie, gdy wojewoda zobaczywszy ją wychodzącą, bardzo grzecznie, uprzejmie i z poszanowaniem należnem zaczął witać nie tylko imieniem swem, ale i innych panów, którzy przybyć tu nie mogli.

Co więcej, ofiarował jej pokorne służby swe, przypominając jako przodkowie jego wiele z łaski Jagiellonów dobrodziejstw otrzymali. Nie przepomniawszy ubolewania nad tem, co królowna za życia i po śmierci brata ucierpiała, obiecując na przyszłość pomoc czynną i opiekę i t. p.

Mowa Zborowskiego była tak niespodziewaną, a tak pocieszającą, iż na królownie uczyniła wrażenie jakiegoś cudu. Rozjaśniło się jej oblicze. Zbliżyła się dziękując wojewodzie z wyrazem takiego przejęcia i rozrzewnienia, że Zborowski poruszył się więcej jeszcze.

Wymieniono słów kilka uprzejmych i Anna uczuła się zniewoloną pana wojewodę prosić, aby z nią obiadować przyszedł. Zborowski przyjął wezwanie ochocho.

Jaką myśl miała Anna, rozkazawszy Konieckiemu do stołu swojego zaprosić jawnie sobie też nieprzyjaznych Litwinów, Ostafiego Wollowicza i Pawła Paca, trudno było księdzu biskupowi chełmskiemu zgadnąć. On i pan Zygmunt Wolski mieli się także u stołu znajdować.

Tak owa prześladowana, pędzana z miejsca na miejsce, córka królewska, która miała pod ścisłym dozorem siedzieć w Łęczycy lub Krasnymstawie, teraz, dzięki energii swej i silnej woli, przyjmowała na zamku królewskim nieprzyjaciół, którzy się jej kłaniali nisko i oświadczały z pomocą i służbami wiernymi.

W Zborowskim domyślać się można już naówczas powziętej myśli, użycia Anny w pomoc do elekcji

Henryka. Mówiło mu coś, iż cesarzowi nie była tak oddaną jak głoszone. Być może, iż oznakę jakąś uchwycił i nie omieszkał z tego korzystać.

Zeszli się wszyscy na obiad tak dobrej myśli, tak pokorni i ochotni, że przy stole rozmowa żartobliwy i wesoły obrót wzięła.

Zborowski miał to w naturze swojej, iż mówił ni-by otwarcie, co myślał, śmiało, chociaż nigdy nadto się nie zdradził.

Królewna znając to, iż ludzie przy kieliszkach radzi się otworzystszemi stają, nalewać kazała a Koniecki do picia zapraszał i naglił, czego pan wojewoda nie potrzebował zresztą, bo pił zwykle dużo i wcale go obecność królowej nie hamowała.

Usta mu się czy pozornie czy rzeczywiście szeroko bardzo rozwijały.

Przyszło do tego, że śmiejąc się wyznał przed Anną, iż pogłoski chodziły, jakoby ona zamiar miała struć kazać księdza Krasińskiego biskupa krakowskiego, Firleja i jego.

Mówił to w sposób żartobliwy ni-by, lecz powtarzał, co wieść roznosiła przez tych szerzona, którzy w Annie chcieli widzieć drugą Bonę.

— Wojewodo mój — odparła zimno a smutno — na nicby się nie zdało do takich środków uciekać przeciwko wam, a Bóg mi świadek, iż nikomu, nawet nieprzyjaciółom źle nie życzę. Ludziom na rękę różnić nas, mnie czernić, aby w mętnej wodzie swą rybę łowić.

Gdybyście lepiej mnie znali, śmielibyście się z tych potwarzy, a ja niemi garlżę.

Zborowski podchwycił gorąco, iż onby się nie ważył powtarzać baśni złośliwych, gdyby do nich przywiązywał wagę.

Królewna tedy, choć ciężko jej mówić było, dodała.

— Wierzcie mi panie wojewodo, iż przed własnym interesem moim, kraju tego dobro w sercu przoduje. Nie pragnę dla siebie nic, tylko co dla Rzeczypospo-

litej z korzyścią jest i sławą. Nie upominam się jeno o to, coście wy sami sobie winni i godności waszej.

Obwiniono mnie o jakieś spiski z cesarzem, o których nie myślałam nigdy, o chęć narzucenia wam pana, gdym ja nad sobą najcięższego ucisku doznawała.

Panowie litewscy, którzy przewidywali iż się na rozerwanie Unii zwrócić może królowna, nie chcieli dopuścić tego i przerwali zapewnieniami przywiązania do panów swoich. Zborowski już dobrze napity, czy też napitego udający, aby się tem szczerzszym wydawał, począł, z kielichem przyklękając przed królowną, przy czem go z dwu stron przytrzymywać musiano, poprzysięgać, iż na przyszłość w zgodzie z nią będą działali dla dobra wspólnego.

Dziękowała Anna, przyklaskiwali wszyscy. Zborowski kielich po kielichu wychylał, język mu się plątał, ale serca okazywał coraz więcej i tak obiad się skończył przy powszechnem rozrzewnieniu.

Biskup chełmski, starowina, płakał także. Litwa więcej mileżąca, wtórowała tym wynurzeniom miłości i przywiązania dla królownej.

Na klęczkach tedy ucałowawszy podaną sobie rękę królownej, gdy ta z pokojów wyszła, bo czas było myśleć, jak Zborowskiemu odwrót zapewnić, Koniecki z Rylskim musieli pod ręce go wziąć, aby ze wschodów prowadzić, gdyż chodzić już nie mógł.

A że konia też dosiąść nie było o czem myśleć, kolebki zaś nie miał pogotowiu wojewoda, musiano go z zamku końmi królownej odesłać.

Wróciwszy do swojej sypialni, Anna we łzy się rozlała.

Wszystko wprowadzić obracało się na dobre, na pozór wychodziła zwyciężko, ale to były dopiero początki, a przyszłość stawiała się przed jej oczyma z całą swą grozą niepewności.

Wspomnienie trucizny, potwarze te, które ją czyniły w oczach narodu poczwarą jakąś, gotową nieprzyjaciół

nieprzyjaciół pozbywać się wszelkimi środkami, zaboląły mocno.

Musiała wejść w siebie, ażali jej postępowanie nie usprawiedliwiała tych domysłów i przypuszczeń. Stała twardo przy prawach swych, ale one razem były prawami sióstr jej i krwi tej, które ona jedna tu reprezentowała.

Nie mogła się dać zgnieść i usunąć a zasłonić—nie dla siebie, ale dla krwi, jaka w jej żyłach płynęła.

W chwili tej wszelkie marzenia, jakie karmiła potajemnie w głębi duszy, rozwiały się i rozpieczęły. Nie szło jej już o siebie i szczęście własne, ale o pamięć przodków, o ich sławę i cześć.

Każde słowo i myśl Zborowskiego rozpamiętywała i rozbierała, badając, co się w nich kryło.

Upojenie owo i mniemane wylanie się pana wojewody wcale jej nie uwodziło, czuła, że człowiek ten choć się na nogach nie trzymał, na wodzy miał myśli swoje. Co znaczył ten nagły zwrot jego, czułość, wylanie się, obietnice...

Wiedziała, że Firlej potajemnie sprzyjał i prowadził cesarzewicza. Commendoni zaręczał, że Zborowski zgodnie z nim miał także prowadzić Ernesta.

Na te łzy weszła Zagłobianka i przyklęknęła przed panią swoją. Wiedziała już ona przez Ryłskiego, co się przy obiedzie działo, ale więcej też od innych.

Zrana Talwosz przyszedł oznajmić jej, że z najbliższymi powiernikami Zborowskich zawarł ściśle stosunki i wiedział na pewno, że wojewoda pozornie cesarzewicza zalecając, pilno się starał o pomożenie Francuzom, że sam słał do Francyi, Montlucowi pieniędźmi pomagał i—nawet wrażenie rzezi św. Bartłomieja zatrzcć się starał.

Z tą wiadomością przybywszy Dosia, szepnęła ją Annie, aby postępowanie Zborowskiego wytłómaczyć.

Nie godziło się jej okazywać, że potajemnie życze-

nia pani swej odgadywała—mówiła więc o tem obojętnie, jako o wiadomości tylko, którą Talwosz jej przyniósł i za pewność zaręczał.

Anna słuchała ciekawie. W istocie tłómaczyło to postępowanie Zborowskiego niezrozumiałe z początku.

Gdy prymas Uchański i Firlej w piątek pośpieszyli uprzejmie witać królownę, nie mógł Zborowski dać się im zatrzeć i pozostać obojętnym na stronie.

Pośpieszył więc w sobotę do Anny. Zważył, że w królownie była jakaś siła i prawo, którego lekceważyć nie należało.

Ztąd jego wylanie się, oświadczenia i zaręczenia opieki na przyszłość.

O wyjeździe z Warszawy już potem mowy nie było. Nikt nawet nie śmiał zagać o tem.

Koniecki i przybyły świeżo, wylany dla Jagiellonów pocziwy sługa ich Rylski, z resztą dworu poczęli się rozmieszczać na zamku, tak, aby za długo doznawane niewygody pobyt teraźniejszy wynagrodził. W pomoc ich przychodził Wolski, a i z pomniejszych, chętnych sług nie brakło.

Królowna rozpoczęła tu toż samo życie, jakie dotąd prowadziła.

Dnie całe schodziły na pisaniu listów, szczególnie do Zofii Brunświckiej, którą w pomoc sobie sprowadzić chciała koniecznie.

Siostry się dosyć kochały, szczególnie Anna wylaną była dla Zofii i Katarzyny, one zaś odpłacając ją wzajemnością, więcej jednak myślały o sobie, o spadku, o wspólnych interesach, niż o sprawie biednej, osieroconej i osamotnionej siostry.

Polepszyło się jej położenie na pozór, wszyscy, nie wyjmując najnieprzyjaźniejszej Litwy, czuli, że miała pewne prawo i reprezentowała siłę, którą się posłużyć mogli; kłaniali się więc, ale szczerze, serdecznie mało kto myślał pomagać.

Litwa dla siebie, cesarscy zwolennicy sobie, Mont-luc dla Francyi chcieli się nią posłużyć.

Stała na świeczniku, a nie miała biedna czem świecić! Pieniędzy ciągle brakło, dwór należało pomnożyć. Urzędników przybywało, fraucymer mnsiał się dla okazałości zwiększyć, gości trzeba było przyjmować, nie mając sreber stołowych opieczętowanych w Tykocinie. Podskarbi nie dawał pieniędzy, bo skarb był wyczerpany, pożyczyć było trudno.

Królewna pocichu gryzła się i martwiła, pisała do Zofii prosząc o zasiłki nadaremnie, użalała się przed bliższymi napróżno. Przywiązani do niej biegali, sturali się i najczęściej wracali z jakąś nieznaczącą kropelką, która wsiąkała w najniezbędniejsze życia powszedniego potrzeby.

Tyle trosk i niepewność przyszłości, doznane niewygody, pomieszczenie w Piasecznie, oddziaływały też na zdrowie tak, że Anna chorzeć zaczęła. Gdyby nie krajczyna, nie miałyby nawet około siebie litościwego serca, prócz Dosi, bo Żalińska w chorobie stawiała się zgryźliwszą jeszcze.

To co zdobyła sobie siłą charakteru Anna, było jeszcze małym w stosunku do tego co zostawało do zdobycia.

Zbliżał się ów sejm elekcyjny, który o losach kraju miał rozstrzygać; umysły się przygotowywały do niego. Annie nie wzbraniano wprowadzie pobytu w Warszawie, przekonawszy się, że ona sobie nie da rozkazywać, ale panowie trwali w nadzorze pilnym nad nią, wymagali, aby bez ich wiedzy nie przyjmowała nikogo, nie czyniła nic.

Wprowadzie umocowany przez nich dobry i łagodny biskup chełmski nie stawał tak dalece na zawadzie, i łatwo go było wyminąć, ale musiała się królewna mieć na baczności.

Każdy krok, każde słowo trzeba było obrachować, wyważyć, a nawet z przyjacielem domu, z tym wyłanym i zaklinającym się, że gotów był na wszelkie

ofiary Czarnkowskim, królowna dyssymulować wiele, przemileczeń i taić musiała.

W miejscu referendarza zjawił się teraz jako doradca na dworze, Solikowski, zdolny, ambitny, zręczny, umiejący się przypodobać, odgadujący usposobienia, człowiek, który wiele obiecywał, i dla siebie też spodziewał się wiele.

Solikowski, który się od pierwszego widzenia podobał królownie z taktu, z powagi, i z pewnej zgodności pojęć, widział w Annie ostatnią spadkobierczynię dynastyi i, zdaje się, że przeceniał nawet wpływ jaki ona mogła mieć w przyszłości.

Ofiarował on usługi swe królownie, która, że potrzebowała kanclerza dla siebie, zrobiła mu wkrótce nadzieję, iż miejsce to będzie mógł zająć.

W istocie szukała ona kogoś, coby jej zastąpił referendarza, którego daleko lepiej przeniknęła, niż on się domyślał. Poznała, że był ciałem i duszą oddany cesarzowi, a miała wstręt od wszelkiego związku z domem rakuzkim.

Solikowski w pierwszych zaraz chwilach zdradził się z tem, że sprzyjał wyborowi Henryka.

Anna nie wydając się ze skłonnością i marzeniem o nim, dlatego jednego dała pierwszeństwo Solikowskiemu, który się stał domownikiem i doradcą pożądanym.

Młody jeszcze, żywego temperamentu, pragnący wywyższenia, Solikowski nie mógł nawet się stawić w jednym szeregu z ks. biskupem chełmskim, dobrodusznym, łagodnym, ale krótkowidzącym.

W miarę jak na zamku więcej się spoufalał i częstszym stawał Solikowski, Czarnkowski mniej się tu okazywał.

Miał nadzwyczaj wiele do czynienia, razem z innymi gotując ową elekcję cesarską, do której większość szlachty wstręt miała. Popierali ją magnaci, złudzeni obietnicami, kupieni lub wzięci na pochlebstwa; ogół się obawiał już ukrócenia swobód.

Kandydatury pomnażały się, nie licząc główniejszych i oddalonych i niemożliwych, jak szwedzkiego króla. Kielkowała myśl wybrania jakiegoś Piasta, a nim niby miał być wielkiego rodu, bogaty, spokrewniony świetnie Rosenberg, Czech nie Polak. Obok niego stawały mało znane postacie różne, aż do śmiesznego Słupskiego Bandury, którego przezwisko samo pobudzało do szyderstwa.

Jedni mówili za Piastem, a tych było bardzo niewiele, drudzy się oburzali na myśl, aby wczoraj równemu sobie kłaniać się i posłuszeństwo poprzysięgać mieli.

Na prowincjach rozlegały się najrozmaitsze echa stolic i grodów.

W Wielkiej Polsce i wielu innych województwach chciano wybierać samą Annę, a mężowi jej potem dać koronę, którąby ona mu przyniosła. Myśl ta miała zwolenników wielu.

Cesarzewicz głosił przez usta swych posłów, że syn jego Annę zaślubi, Montluc i Francuzi co do tego drażliwego punktu milczeli, ani przyrzekając ani się opierając. Mówili dwuznacznie, dawali się domyślać, nie chcieli zobowiązywać.

Biskup Walencyi Pibrac i wszyscy Francuzi znający rozpustnego Henryka, kochającego się w piękności, strojącego jak lalka, wybierającego sobie i najładniejszych chłopców na przyjaciół i najpiękniejsze panie na kochanki, wiedzieli dobrze, że ożenić go z niemłodą, poważną, smutną polską królewną byłoby nadzwyczaj trudnem.

Zdawało się im, że Annie zapewniając stanowisko, dochody, poszanowanie, stawiając ją obok tronu, niekoniecznie Henryk żenić się potrzebował. Była to zawada, nieprzyjemna przeszkoda, lecz z czasem dająca się usunąć i uprzętnąć.

Po miastach nigdy może jak tej zimy nie zjeżdżano się tłumnie, i nie naradzano wrzawliwiej. Szlachta polska naówczas nie grzeszyła zbytnią znajomością

stosunków europejskich, a nawet krajów o granicę położonych.

Przyjaciele cesarza rozpowiadali dziwolagi o jego potędze i środkach jakich mógł użyć do zdobycia Korony, o Erneście (Rdeście, mówiła szlachta) chodziły też baśnie różne, cóż dopiero o Henryku, o carze, o Janie Szwedzie i kilkoletnim synku jego, o wszystkich innych aż do Słupskiego Bandury!

Cesarscy, choć nieobficie potroszę pieniędzmi rozdawanymi cicho, zyskiwali sobie, Francuzi więcej obietnicami zobowiązaniami na piśmie, w których stały złote góry.

Montluc dawał na papierze co kto chciał.

Na całe województwo często potrzeba było jednego tylko wygadanego a żwawego szlachcica, aby za sobą tłum poprowadził i skuteczną szerzył propagandę. Mówca taki na zjeździe, na odpuszcie, czasu jarmarku często kawał kraju usposabiał do przyszłego głosowania.

Tam gdzie się dwa wpływy ścierały, rzadko cesarz zwyciężał liczbą. Miewał za sobą magnatów, mniejsi się go lękali i niedowierzali.

Duchowieństwo wahało się między Henrykiem a Ernestem. Różnowiercy szli za Żborowskim, pomimo rzezi św. Bartłomieja, choć gorętsi się go wyrzekali i ani słuchać nie chcieli o nim.

Taki rozerwany był stan umysłów w przededniu zwołania sejmu elekcyjnego, którego następstwa nikt przewidzieć nie mógł. Pobożni rachowali na Opatrzność i Ducha św. a w istocie tam, gdzie tłumy głosować miały pod wpływem namiętności i rozdrażnień chwilowych, żaden rozum w świecie odgadnąćby nie umiał, kto się utrzyma.

Jeden wykrzyk nierozumny, gwałtowny mógł wszystko zachwiać, albo niespodzianie wywołać skutki.

Nie dziw też, że ludzie poważniejsi, których los kraju obchodził, chodzili zasepieni, z trwogą wyglądając godziny ostatniej.

W chwili zwołania sejmu, gdy się już Mazury ścigać poczęli do Warszawy, a za nimi i z dalszych ziem i województw zjeżdżała szlachta i senatorowie, nasz Talwosz oddawna był na stanowisku.

Nie mieszkał on na zamku, aby się nie narażać tym, co go z ztąd wywołali, a bardziej dlatego, ażeby królownie nie przysparzać troski; ale nie było dnia, żeby się tu nie znajdował, nie widział z Dosią i nie dostał języka.

Anna wiedziała o nim, może go czasem potajemnie przypuszczała do siebie, ale nie wspominała i obchodziła się bez usługi.

Jako sekretarz zastępował go inny, jako kanclerz tymczasowy był ks. Solikowski.

Niemniej Litwin był niesłychanie czynnym, a że Dosia i on przekonani byli, iż Anna sobie życzyła wyboru Henryka, chociaż się z tem odzywać nie mogła, Talwosz biegał jednając mu zwolenników.

Ponieważ pierwsi stawili się na placu Mazurowie, Talwosz poznawał się z nimi i puścił pomiędzy nich hasło, że trzeba było głosować za Francuzem, cicho dodając, że to było życzenie, rozkaz raczej królownej.

Podawano to sobie z ust do ust jako tajemnicę, ale wszyscy bardzo rychło się nią podzielili.

Mazury widywali częściej Annę, polubili ją, żalowali, chcieli pomódz i pójść za jej myślą.

Gdziekolwiek się ich gromadka zebrała Talwosz znalazł się pewnie między nimi i nie było rozmowy, któraby się nie skończyła na tem, że wedle woli Anny, na Francuza głosować potrzeba.

Nie był też bez wpływu ten wikary od P. Maryi ks. Stępek, któregośmy już widzieli, gdy o zastaw

sreber chodziło. Talwosz z łatwością go pozyskał dla osieroconej pani, której pobożność, dobroczynność, prostotę obyczajów i zacność Stępek znał oddawna.

Widział ją cierpiącą i upokorzoną za życia króla i tego starczyło, aby dla niej współczucie gorące wyrobić w wikarym.

A przytem Henryk, jak wiedziało duchowieństwo był wiernym synem Kościoła.

Słowo ks. Stępka znaczyło wiele, bo mówiło do sere w imię Boga.

Mazurówie zaledwie się powoli tu ściągać zaczęli, już hasło było dane, a nowo przybywający przyjmowali je z łatwością.

Obok Henryka szeptano imię Anny. Szły one razem.

Nadchodząca wiosna piękna, ciepła, dla szczęśliwych wesółą, na zamku zapowiadała się smutną. Królowna leżała prawie ciągle chora, zmuszona nie wstawać z łóżka dla febry, która przez dzień ją trzęsła, a niczem się pokonać nie dawała. Miała tyle siły, że wolna od paroksyzmów wstawała, wychodziła, przyjmowała, zajmowała się sprawami bieżącymi, lecz z każdym dniem wyczerpywał się zapas życia, a choroba przeciągała się uparcie.

Ani lekarze, ani sławione leki starych bab, ani modlitwy nie pomagały. Do blizkiego już nawet kościoła, pobożna pani, która nawykła była wstawać na jutrznię i iść modlić się, nie mogła już chodząc i mszy słuchać.

Choroba niby nie groźna, z czasem jednak wycieńczyła straszliwie. Cera żółkła, oczy zapadłe świadczyły o cierpieniach.

Dosia, Zosia Łaska, krajczyna i inne panie miały się u łóżka królownej, służąc jej, obiecywano sobie polepszenie ciągle, ale ono nie przychodziło.

W dniach wolnych, gdy się zjawił Czarnkowski, gdy przyszedł ks. Solikowski, gdy oznajmiono szlachtę lub panów chcących się pokłonić swej pani, mu-

siała osłabiona zwlec się z łóżka, odziać żałobnie (bo dotąd dwór i ona w kirze chodziła) i przyjmować przybywających i uśmiechać się, aby nie stękać przed niemi.

Oprócz tego trudu, miała królowna niezbyty, a codzienny, starania się o pieniądze, zaciągania pożyczek, ratowania tymczasowo wszelkimi środkami od spowiewierania i głodu.

W tem pomagał usłużny i pocziwy, a niezmordowany Ryłski, gotów był każdego dnia jechać na koniec świata, byle się to na co przydało, kłócić się, walczyć i zdobywać posiłki dla biednej swej pani.

On i starosta Wolski, ks. Solikowski, potroszę biskup chełmski dopomagali Annie całem sercem, ale trosk jej odjąć nie mogli.

Królowna, pomimo choroby i znużenia spraw pilnych zaniedbywać nie chciała. Zrywała się z gorączką, z bólem głowy, aby potem osłabła, podtrzymywana przez Dosię powrócić do łóżka.

Pociechą jedyną dla niej było to, że wszyscy zdawali się nawracać ku niej i do niej garnać.

Talwosz świadczył o tem.

Stał on już teraz gospodą nie pod Białym koniem u Barwinka, bo tam tak było pełno dostojniejszych, że on się docisnąć nie mógł, ale na mieście u rzemieślnika, u którego izbę najmował. Na pozór nie miał żadnego zajęcia, był zupełnie swobodnym, ale od rana biegał, kręcił się, podsłuchiwał, naprawiał co gdzie zepsutem znalazł, a w godzinie wieczornej przeciskał się na zamek, gdzie miał swoich starych przyjaciół i prawie codzień widywał z Zagłobianką. Nie przychodził do niej z próżnemi rękami nigdy, coś miał zawsze do doniesienia lub ostrzeżenia. Na pozór próżniacze jego życie całe schodziło na usługach prawie królownej.

On pierwszy powziąwszy wątpliwość o szczerości Czarnkowskiego, ostrzegał o tem Annę i zapobiegł, aby mu się nie zwierzała.

Talwosz umiał bardzo zręcznie odegrywać różne role, wystąpić jako możny szlachcic i półpanek, bo był w istocie nim, lub jako skromny szaraczek. Bywał u pana starosty Wolskiego, u niektórych senatorów, a gdzie się Mazurowie ubodzy skupili przy dzbanku na gawędę, gdy się czuł potrzebnym, znalazł się także.

Wieczorem przy kaganku lub łożówce, a często do późnej nocy siedział za stołem w swej izdebce i przepisywał pilno chodzące po rękach listy, odezwy, paszkwile, które później rozdawał między ludźmi a oni je rozrywali, bo każdy się czegoś chciał nauczyć o Rdeście i o Francuzie, o Rosenbergu i Bandurze.

Czasem musiał przedsiębrać wycieczki, bo poselstwa różne zbliżać się zaczęły i zjeżdżać. Niespracowanym był i niezmordowanym, chociaż piękna Dosia wychwalając go przed królowną, oddając mu sprawiedliwość należną, sama go wynagrodzić za te trudy weale nie myślała.

Dopóki jej mówił o tem co zrobił, czego się dowiedział, słuchała go z zajęciem, uśmiechała mu się uprzejmie; jak tylko zaczął wzdychać i zagaił o swej miłości dla niej, odwracała się zaszepiona i zamykała mu usta.

Potrzeba było i człowieka tak cierpliwego i miłości tak uporczywej, aby się tem nie zrazić, nie ostygnąć i nie wyrzec nadziei.

— Panna Dorota w końcu się przekona — mówił często, gdy go odprawiała z niczem — że na takie poczeiwe przywiązanie jak moje rachować można i polegać na niem, ale panna niema ani litości, ani serca.

Dosia czasem odwracała się z uśmiechem dziwnym i odpowiadała mu gorzko.

— Serca ja może nie mam! Nie wiem., albo mi go Bóg nie dał, lub za młodu wyszło. Cóż począć na to? Głowa mi się nie zawraca.

— Ale kiedyś przyjdzie pora, że się serce odezwie—mówił Talwosz—tylko nie dla mnie może, ale

dla jakiegoś Żalińskiego, albo jemu podobnego gołowaśa.

— Bądź waszmość spokojny — odpowiadała Dosia.—Nie dam się ja wziąć łatwo.

— A cóż będzie później... później..?

— Na starość?—przerywała Zagłobianka.—A cóż ma być? posiwieję i będę pani mojej służyła jako dziś.

— Ale królowna, Boże nam ją uchowaj nie wieczna—mówił Talwosz.

— Albo to klasztorów niema dla takich, jak ja, co rodziny nie mają? Pan Bóg im ojcem, a klauzura domem i przytułkiem.

Tak się najczęściej kończyły niefortunne zaloty Talwosza, który wzdychał, ale kochać nie przestawał. Dosia coraz mu się wydawała piękniejszą, nawet w tej załobie niewdzięcznej, która oprócz grubego kiru okrywała dwór rodzajem płaszców z płótna zgrzebnego, szarego, obyczajem zdawna przyjętym.

Okrycia te płócienne, nieforemne, doprowadzały do rozpaczki kobiety dworu, więcej dbające o swe wdzięki; lecz musiały brać je codzień, bo i królowna się tak przyodziewała do gości szczególniej.

Litwin się zaklinał, że Zagłobiance nawet w tym worze, jak on go nazywał, było cudnie do twarzy.

Biedny rozmiłowany Talwosz, nieczułości dla siebie pięknego dziewczęcia szukając przyczyn, wpadał na tę myśl ciągle, iż kogoś innego kochać musiała. W razie, gdyby się o tem przekonał, możeby był zalotów zaprzestał, ale z równą zręcznością szpiegując Dosię, jak cesarskich pomocników, nie potrafił dotąd nawet pozoru znaleźć do posądzenia jej.

Zagłobianka spędzała dnie całe na usługach królownej, a jeśli nic do czynienia nie miała, chwytiała książki, których była cheiwą tak, że ją z tego wyśmiewano.

Niewiele naówczas kobiet zwykły były zabawiać się czytaniem, a jeśli z nich która miała w niem upo-

dobanie, zatapiała się w książkach pobożnych. Zagłobianka zaś czytała wszystko, co się jej do rąk dostało, nie czyniła wyboru i mądrzejszą też była od innych. Czy przez to szczęśliwszą? rzeczą jest bardzo wątpliwą.

Nauka jest jak napój, który obudza coraz większe pragnienie i rodzi niepokój nienasycony. Niema jej końca, więc kto raz wszedł do tego labiryntu, już po nim życie całe błądzić może, nie znajdując spoczynku.

Dla Dosi była ona jedyną rozrywką, a odrywała ją od świata i stawiała, jak naówczas, zupełnie osamotnioną, bo z bardzo małym wyjątkiem, na dworze nawet o tem co ją zajmowało, mówić z kim nie miała.

Duchowni, gdy który z nich przypadkiem słowo jakie z niej wyciągnął, dostrzegłszy w niej niepokój ducha, karcili tylko i zdrożną ciekawość umysłu naganiiali.

Zamykała się więc w sobie.

Czy się jej serce nigdy nie odezwało, a przywiązanie Talwosza nie czyniło w istocie na niej żadnego wrażenia, trudno było odgadnąć. Jeśli miała dla niego uczucie jakie, kryła się z niem jak najtroskliwiej, nie chcąc mu zawiązywać świata.

Czuła się sierotą, a miała nadto dumy, aby nic nie przynosząc oprócz serca, zgodzić się na ofiarę szczęścia i losu, których, wedle swego przekonania, nie miała czem opłacić.

To pewna, że gdy czasem Talwosz w wycieczkach swych opóźnił się z powrotem, gdy wieczorem go nie było na zamku, gdy go długo nie widziała, tęskniła za nim żywiej, zarumieniona podawała mu rękę trochę drżącą, witała głosem poruszonym, uradowana widocznie.

Pierwszych dni kwietnia Warszawa już była przepełniona, każdy dom niemal miał gości. Tam, gdzie dla panów nie było izb wygodnych, cisnęła się liczna ich służba, a wozy i kolebki, które się pod szopami i w podwórcach pomieścić nie mogły, koczowały pod domostwami na ulicach. Sypiała na nich czeladź, bo i tej nie było gdzie się schronić.

Nigdzie próżnego nie znaleźć było kąta, a gwar i ruch dniem i nocą nie ustawał. Za liczną gawiedzią dworami, panami ze wszech miast znaczniejszych w Koronie, z blizkiego Szlązka, z sąsiednich Niemiec pozwlekała się liczba niezmierna kupców, przekupniów, ludu różnego, na tłum rachującego, który nie znalazłszy miejsca w sklepach miejskich, na furach i pod szalasami w rynkach na prędce skleconemi frymarchyli różną kupią.

Klasztory musiały też swym dobrodziejom otworzyć gościnne wrota. W niektórych mieścili się biskupi z dworami swemi, w innych senatorowie świeccy, którzy lepszych gospód znaleźć nie mogli.

Tacy jak Firlej, jak Zborowscy panowie, nietylko dwór, czeladź z sobą ciągnęli bardzo liczną, ale zbrojnych ludzi siłą, niektórzy nawet jak na wojnę, działka i moździerze prowadzili.

Obraz, jaki naówczas przedstawiały targowiska i ulice miasta, przedmieścia i okolice, był niezmiernie malowniczy i ożywiony.

Każdy orszak inaczej z cudzoziemska strojny był i zbrojny. Niektórzy z brunświcka, inni z włoska, po tatarsku, po staropolsku, po rusku byli poubierani i orężem różnym opatrzeni. Każde niemal województwo można było odróżnić, a cóż dopiero Litwę, Podole, Wołyń, Ruś czerwoną, Krakowskie i Sandomierskie albo ziemie pruskie.

W mowie też było odmian wiele, bo Kaszuby, Mazury, śpiewająca Litwa, Małopoleanie, każdy po swojemu kłął i śpiewał.

W gospodach nie mogli nastarczyć piwa, miodu

i różnych napojów, które pod wystawami w ulicach, wprost z beczek toczono tłoczącym się gościom. Tak samo jadło w kotłach po podwórkach gotowano i tuż na stołach ławami obstawionych, na prostych misach przynoszono łaknącym. Łyżkę za pasem naówczas nosił każdy i na nożu nikomu nie zbywało. Gdziekolwiek płachty na drągach porozwieszane zastępowały namioty, bo kwietniowa aura niepewna, nieraz dokuczała szronem, deszczem i krupami.

Wieczorem po szynkach grały gdzieś gdzieś popijającym muzyki niewytworne, kobzarze, skrzypki, gęśle, serby, którym śpiewami wtórowano.

Lecz w mieście stali tylko wielcy panowie i ich dwory, dokoła pola elekcyjnego mieściła się pod namiotami najrozmaitszemi, szałasami i budkami szlachty ziem różnych, które się każda z osobna kupy trzymały.

Olbrzymich rozmiarów namiot, tak zwany królewski, który stał po środku, a przeznaczony był dla senatorów na główne i uroczyste narady, mógł w sobie pięć do sześciu tysięcy głów pomieścić. Dokoła niego stały cztery mniejsze, jakby baszty, połączone z sobą drewnianą zagrodą i opasane rowem głębokim.

Dalej województwo każde miało dla narad namiot osobny, przy którym chorągiew jego powiewała. Dalej jeszcze niezliczona moc małych różnej barwy namiotów zalegała szeroką równinę.

Było się tam napatrzyć wszystkiego, poczynawszy od najkosztowniejszych namiotów, wschodnich, aż do bitych zwojłoków, zszywanych z płótna i sukna, łatanych ze zgrzebna i przystrajanych kobiercami.

Czeladzie sobie kuchnie w ziemi wykopawszy doły na ogniska, przyrządzały, inni kłecili i opilków i tarcic, z dranie i kłoców budy i szopy.

Byli i tacy co się na wcale schludne domostwa wysadzali, w których nawet okien z błonami nie brakło, ale takich tu znajdowało się niewiele.

Jak się konie biedne mieściły, smutno pomyśleć,

żał było patrzeć, bo ani żłobów, ani pokrycia nad sobą nie miała część ich większa, tyle tylko, że je derami osłaniano i stawiano tak, aby wiatr nie dukał im bardzo.

Pomimo wszystkich tych niewygód, a przewidywania, że i sejm i elekcyja musiały się długo przeciągnąć, ludzi tylu razem w kupie, czując się między swemi gromadą, wesoło i ochoczo się zabawiali. Piosnka i śmiech rozlegały się po obozie, chyba tylko kłótnią i brzękiem a szczękiem szabel przerywane. Ścinano się nie jeden raz i krew pociekła często, ale gdy się rana założyła pajęczyną, chlebem i hubą, a zawiązała szmatką, ochota i zgoda powracały.

Wpółśród tej różnobarwnej szlachty, liczbą i ubożuchną, prostą powierzchownością swą, strojem niewykwintnym, szabelkami niepoczesnymi, które u wielu kije zastępowały, odznaczała się szlachta mazowiecka. Było jej tu za to, na własnych śmieciach daleko więcej niż z innych województw.

Mogły się z nich śmiać drngie ziemie, którym butniej stały kołnierze, ale Mazury przez to nie traciły poczucia swej siły i gospodarzyły tu jak w domu, a mieli to do siebie, że się jak jeden trzymali kupy. Najnboższego zaczepiwszy, zaraz ich cały rój się zlatywał, aby się ująć za niego, a dziesięć kijów starczyło za kilka szabli. Wywijali niemi młyńce dziełnie i tłukli bez miłosierdzia.

Mazowsze, można powiedzieć, było już wówczas gniazdem szlachty, która rozrodziwszy się po wszystkich ziemiach aż do kresów, słała kolonistów i mało gdzie powinowatych nie miała. Szaraczki te za pan brat potem z karmazynami spokrewnionemi chodziły, niewiele do serca biorąc ich szkarlaty a swoje ubóstwo.

Zaczepić też Mazura nie było bezpiecznie, choć się małym wydawał.

W mazowieckim obozie, z wyjątkiem kilku namiotów pokaźniejszych, nie było zbytku, konie i ludzie

nie bili w oczy. Znaczniejsza część koczowała przy wozach i na nich spędzała noce lub pod niemi. Czasu posiłku zbierali się do większych kociołków, do beczek i przekarmiali kosztem zamożniejszych. Każdy z nich czuł, że gdyby więcej miał, tak samoby brata przyjmował i do misy swej zapraszał, jak się teraz do niej garnał.

Z czapką na bakier, przeżegnawszy się, zasiadano do jaglanej kaszy i klusek. Wielkim festynem było, gdy się gdzie na drążku baran przed ogniem obracał, którego potem do białych kóstek obgryzano. Piwa nastarczyć nie mogły browary warszawskie, więc go i ze Szlązka i z innych miast siła przywożono.

Tu, pomiędzy Maznrami, znajomy nam Talwosz był jak u siebie. Wiedziano, że królownie służył, że myśl jej znał i słuchano go tak, jakby ona sama przez usta jego słała rozkazy.

Zawczasu tu Henryk Francuz, którego tytuł Andegaweński srodze przekręcano, był jednomyślnem hasłem, ale do czasu każdy go zapazucha trzymał.

Obozowisko to ogromne, po obu brzegach Wisły, łączył most nowy, wspaniały, na którym królowna pięćdziesiąt straży zbrojnej postawić musiała dla utrzymania porządku, gdyż dzień i noc przecisnąć się było trudno wśród wozów, konnych i pieszych.

W tym tłumie, którego tło stanowiła gawiedź polspolita, zawsze najliczniejsza, od czasu do czasu zjawiały się poczty, jakby na okaz, które sobie palcami okazywano. Wyjeżdżała bogatsza młodzież postrojona i uzbrojona jakby do popisu, na koniach najpiękniejszych, w rzędach najbogatszych, z mieczami w pochwach wysadzanych, z tarczami malowanemi u sio-deł, łukami złożonemi, koleczanami szytemi bogato.

I było na co patrzeć, gdy taki panek ciągnął z czeladzią z cudzoziemską, przystrojoną w jednej barwie, który często i psy pstre, osobliwe z sobą prowadził i sokoly nieść kazał.

Każdy się rad był pochwalić z tem co miał naj-

lepszego, a innym patrzeć było miło na swoich, że tak występowali, nie dając się cudzoziemcom w Kamysz zapędzić. Tłumy zbiegały się też przyglądać, gdy posłowie różni w początku sejmu ścigać się zaczęli.

Cesarscy posłowie prześcigali innych wspaniałością orszaku i liczbą dworu. Oprócz Rosenberga i Pernsteina, a stu dwudziestu szlachty za niemi, mieli z sobą posła Filipa drugiego i deputowanych miast Imperium, ale im wspanialej wyglądało poselstwo, tem większą obudzało trwogę.

Szlachta się lękała Rakuszan. Francuzcy posłowie odznaczeni się mniejszym orszakiem, ale wielką wykwintnością strojów i szlachetnością postaci, na których widać było wickową cywilizację, która ludzi wydelikaciła i potroszę zuiewieściła, zarazem czyniąc piękniejszymi i miłszymi nad innych.

Montluc, Poix de Sechelles, dwaj opaci towarzyszący biskupowi Walencyi, kawalerowie do poselstwa należący, wyglądali jak postrojone laleczki, na które patrzeć brała ochota. A nie było ludzi, coby się ładniej, niżej, uprzejmiej kłaniali i uśmiechali słodziej i kochali wszystkich łatwiej i serdeczniej. Czarowali oni każdego co się zbliżył do nich.

Inne poselstwa przy tych dwu daleko mniej na siebie zwracały oczy i równać się z niemi nie mogły.

Było wszakże na co patrzeć, gdy przybył kardynał Commendoni w towarzystwie towarzyszącego mu uroczyście duchowieństwa, posłowie szwedzcy, wysłańcy pruscy i t. p.

Pomimo ogólnie wesołego usposobienia, na twarzach senatorów, od których zdawały się zależeć losy Rzeczypospolitej, widać było zadumę i niepokój o przyszłość.

Jedno słowo wymowne Jana Zamojskiego, młodego naówczas wychowanka włoskich humanistów, rozstrzygnęło o sposobie wybierania królów. Nie powie-

rzono elekcji wyborowi najdoświadczeńszych i najwykształceńszych panów, ale zdano na okrzyk tłumów, z tą wiarą niezmierną w natchnienie Boże, w Ducha świętego, która pobożność głęboką znamionowała.

Tłumy te prowadzić, kierować niemi, mógł sobie pochlebiać tylko ten chyba, który nigdy z niemi do czynienia nie miał.

Na placu, w gwarze, wśród rozstoju, można było dopiero zważyć, że elekcya zdana była na Opatrzność w istocie, bo nikt w świecie ani pokierować nią, ani pewnym być nie mógł jej wypadku.

Ci, co jak nasz przebiegły referendarz Czarnkowski chcieli zbadać przyszłość, wyrozumieć następstwa, odchodzili z placu, zmuszeni powiedzieć sobie, iż w tym wrzasku nie dojrzeć nie było podobna.

Jedne Mazury tylko cicho siedziały, wiedząc zawczasu co czynić mają i o drugich się nie troszcząc, gdy po innych województwach i ziemiach starszyzna jeszcze kazania prawda i nawracała.

Pilno baruzo Talwosz codzien ogromne obozowisko po obu brzegach rzeki objeżdżał, zaglądając to do Mazurów, to do swojej Litwy, to po innych kątach.

Martwiło go to długo, iż starosta Chodkiewicz w początkach stawał przeciwko królownie, potem się na nią dąsał, że Unii zrywać nie chciała, ale umiejętnie chodząc około tej sprawy, potrafił to, że pani starościna żmudzka, z domu Zborowska, przybyła do Warszawy, że królowna Anna posłała ją przywitać, czem ujęła sobie Chodkiewiczowę.

Musiała na zamek podziękować królownie, a tu się przyjazne zawiązały stosunki i żona męża za sobą pociągnęła.

Przyczynili się do tego może i Zborowscy, którzy za Henrykiem byli, a Anny usposobienie dla niego przeczuwali.

Litwa teraz garnęła się do królownej.

Chora pani miała do czynienia dosyć, bo żadne

poselstwo przybyć ani odjechać nie mogło, nie powitawszy jej i nie żegnając.

Występowała naówczas uboga sierota królewska w swej żałobie zgrzebnej z dwudziestu czterma pannami, z biskupem chełmskim, z ochmistrzem, z Solikowskim, z paniami towarzyszkami uroczyście, aby słuchać grzeczności i przez usta swoich odpowiadać na nie. Posłowie napróżno, wpatrując się w jej lica, badali wyraz twarzy, starali się odgadnąć uczucia i myśli. Anna miała nad sobą mocy tyle, że się nigdy nie zdradziła. Z równą uprzejmością przyjmowała cesarskich posłów, Montluca i Francuzów, Szwedów, i ile się tam na zamek przyciągnęło.

Pomimo to, referendarz Czarnkowski, który często na zamku przebywał teraz, usiłując trochę ostygłą królową znowu sobie pozyskać, był niespokojny. Zdawało mu się, że Rosenbergowi nie dosyć okazywała uprzejmości, a Montlucowi zanadto.

Montluc oprócz tego pozyskał sobie panów wielu nadzwyczajną powolnością w zastosowywaniu się do ich żądań, w uprzedzaniu życzeń, gotów będąc jechać, zostać, oddalić się, czekać, gdzie i jakby mu wyznaczono, gdy cesarscy dumą i potęgą pana swego przejęci stawili się butnie, a zniechęcali pokątnemi intrygami, które się co chwila zdradzały.

Trzy pierwsze tygodnie zeszły na przygotowaniach, rozmowach z posłami, na usposobieniu umysłów, a wszystkim pono stronnictwom zdawało się, że sobie grunt przysposabiały, gdy w istocie pozostał on czem był, zamkniętym placem, na którym jakiś Leszek nowy miał trafem swych współzawodników prześcignąć.

Gromadząc się na zjazd szlachta rachowała, że już do Świątek pana sobie obierze i spokojnie się po domach rozjechać będzie mogła. Tymczasem upływało trzy tygodnie, nie uczyniono tak jak nie. Obozującym przykrzyć się zaczynało. Firlej, na którego naciskano, aby do głosowania przystępować, zwlekał z dnia na dzień. Zdawało mu się, że dla cesarza,

którego pożądał, dotąd za mało zrobiono. Odczuwał się kto za nim, natychmiast go zakrzyczano, zawsze jednym, że swobody odbierze i w kajdany zakuje.

Firlej rachował już tylko na to, że gdy się na innych nie zgodzą, rozdwoją ci co Francuza jedni, drudzy Piasta prowadzić chcieli. Cesarz potem wygra na złość jednym i drugim.

Powszechnemu więc domaganiu się czyniąc zadość, Firlej w niedzielę przy trąbach po mieście i przedmieściach kazał obwołać, że nazajutrz głosowanie się ma poczynać.

Radość była niezmierną! Okrzyki, wystrzały, bębny, trąby, rozlegały się dokoła.

Naostatek dobiegano do pożądanego końca.

Talwosz wpadł na zamek pierwszy z tą nowiną, która tu więcej pono trwogi niż radości obudziła. Królowna z krajczynią Łaską poszła się modlić.

Nazajutrz, trzeciego maja, obozy na polu inną postać uroczystsza jakąś przybrały. Wszyscy czuli chwilę stanowczą, w której losy ojczyzny rozstrzygać się miały.

Talwosz, który od rana już biegał między Mazurami i Litwą, trafił pod namiotami ich na nabożeństwo.

Wszyscy jakby jedną myślą natchnieni, dzień ten rozpocząć chcieli modlitwą.

Było w tem coś tak uroczystego, wielkiego iż za wszelkie płochości tłumu tego płaciło, który padał na kolana, losy swe składając w ręce Boże.

Talwosz kląkł razem z Mazurami, pokrzepiony tą oznaką pocieszającą.

Księża czytali modlitwy, wzywając Ducha świętego, indziej śpiewano *Veni Creator Spiritus*. W chwili gdy każdy miał prawo podnieść głos, ulękli się wszyscy doniosłości jego.

Nigdy pole cichszem nie było, a ludzie spokojniejszemi.

Po ukończeniu modlitw długi czas żadne województwo poczynać nawet nie chciało.

Oglądały się jedne na drugie.

Czas upływał na takim rozsluchiwanu się i rozpatrywaniu.

Czarnkowski, który około marszałka się kręcił, dostał od niego języka, iż lepiej się było nie śpieszyć z cesarzem, a na koniec go zostawić, gdy wszyscy inni odejdą z niczem.

Wysłani na wywiady od namiotu do namiotu ludzie, przysłuchiwali się napróżno. Szeptano wszędzie i naradzano się pocichu.

W królewskim namiocie też mowy tylko prawiono rozwlekłe, których konkluzji nie mogąc się doczekać szlachta, odchodziła znnadzona.

— A co? — pytał Talwosz stojący przy Mazurach.

— Wolę warzą panowie! — odparł powracający szlachcic.

Wtem, a było to już nad wieczór, Mazurowie poszeptawszy między sobą, zebrali się do gromady i dosyć nieśmiało glosy poczęli wołać: Henryk! Henryk!

Na głos ten zewsząd się zbiegali ciekawi, ale nikt nie poszedł za nim, przebrzmiał bezskutecznie i szaraczki zawstydzeni, że się tak wyrwali nadaremnie, zamilkli.

W innych ziemiach i województwach dnia tego nie odezwano się z nikim jeszcze. Umysły były zaniepokojone i niepewne tego co czynić.

Nie udało się Mazurom wprawdzie, ale wcale tego do serca nie wzięli. Owszem wesoło im było, że uprzedzili innych.

Jeden do drugiego mówił.

— Jutro hukniemy głośnie. Niech drudzy kogo chcą obwołują, my przy swoim zostaniemy. Królowna tak rozkazała.

Na zamku wiedziano zaraz o wypadku dnia tego. Królowna wyszła do Talwosza, który przybiegł zdyszany, rozgorączkowany, upadający na siłach, ale wesoły, wysłuchiwała relacji, ale na bladej twarzy jej nie poznać nie było można, tak nad sobą panowała. Nie

odezwiała się ani słowa, chociaż pani krajczyna i inne panie zaczęły zaraz rozpytywać, wykrzykiwać, cieszyć się i niepokoić.

Widząc Litwina niezmiernie znużonym, ocierającym pot z czoła i śpieszącym napowrót do obozu, bo i nocą musiał pracować na jutro, kazała mu podać kubek wina Dosi, podziękowała za wiadomość i zadumana, wolnym krokiem odeszła do sypialni, gdyż godzina paroksyzmu się zbliżała.

Ledwie Talwosz zniknął, zostawiając po sobie nadzwyczajnie poruszone umysły całego dworu, gdyż nie wszyscy byli wtajemniczeni w to, czego sobie życzyła Anna; gdy referendarz Czarnkowski zjawił się chmurny jak noc, i znalazłszy krajczynę w izbie samą, natarczywie się dopraszać zaczął, aby z Anną mógł widzieć i mówić, dodając, że pilno mu tego było potrzeba.

— Ale królowna nasza bodaj już w łóżku, i ta nieszczęsna febra lada chwila nadejdzie.

Czarnkowski począł dowodzić, że był sługą domu, i że królowna bodaj leżąc przyjąć go mogła.

Pobiegła więc dać znać Annie Zosia Łaska, bo krajczyna nie odstępowała referendarza, chcąc z niego więcej coś dobyć niż z Talwosza.

Czarnkowski był widocznie zgryziony i zafrasowany tak, że nie zawsze odpowiadał do rzeczy.

Przyczyną troski było, iż kręcąc się dnia tego po elekcyjnem polu, tu i owdzie, między Mazurami też, języka gdzieś pochwycił; iż za rozkazem królownej na Francuza głosy dawać miano.

Inne też oznaki zaczynały mu teraz wyjaśniać, że Anna dla Ernesta, którego on prowadził, nie zbyt była życzliwą. Chciał wiedzieć, jak istotnie rzeczy stały. Miało to dla niego tem większą wagę, iż mogło mu dowieść, że on, który sobie pochlebiał, iż miał całe zaufanie królownej, w istocie je już utracił.

Chytry i przebiegły człeczek postanowił przed

dniem jutrzejszym wiedzieć, jak stoi, i wedle tego zastosować dalsze swe postępowanie.

Nie myślał dla królowej poświęcić Ernesta, bo cesarzowi był zaprzędanym, ale zmienić taktykę musiał i iść ostrożniej.

Zosia Łaska, która pobiegła do sypialni za królową, znalazła ją jeszcze nierozzebraną, i gdy jej o Czarnkowskim znać dała, Anna, choć nie bardzo chętnie zwróciła się ku posłuchalnej komnacie nazad, aby się z referendarzem zobaczyć.

Zastała go roztargnionego, znużonego, narzekającego na ciężki trud i niepewność, ale razem sypiącego czułościami i zaręczeniami usług wiernych i t. p.

Anna podziękowała zimno.

Czarnkowski wtrącił zaraz o „ślepych“, jak ich zwał pogardliwie, Mazurach, że się pierwsi wrywali; narzekał na wszystkich panów, iż sobie ze szlachtą rady dać nie umieli, dając zakrzyczeć i skończył na zwrocie ku Ernestowi, o którym mówiąc, oczy miał ciągle w królową wlepione.

Słuchała go cierpliwie, ale nie więcej; twarz najmniejszej nawet nie zdradzała ciekawości.

Krajczyna, Zosia Łaska i inne panie, niechcąc poufałej rozmowie być na zawadzie, usunęły się do drugiej komnaty tak, że królowa sam na sam z referendarzem pozostała.

Coraz żywszym głosem i w tonie napastliwszym Czarnkowski swój panegiryk wygłaszał, ale bez najmniejszego skutku.

Naostatek, gdy już tak dobre ćwierć godziny prawił, włożył rękę za żupan i szukać tam czegoś począł.

— Nie wiem, czy miłość wasza—dodał—widzieliście nawet, jak Rakuzki Ernest wygląda. Śliczny młodzieniec, znać w szlachetnych jego rysach krew, która w żyłach płynie. Tak pięknego księcia nicma drugiego Europa.

Właśnie oto nadesłano mi wizerunek udatny z Wie-

dnia, i gdybyś miłość wasza zezwoliła, mógłbym go tu jej zostawić.

Usłyszawszy to Anna, cofnęła się jak przestraszona.

— Panie referendarzu — zawołała żywo — bardzo proszę, ani mi go pokazujcie, ani myście, abym ciekawą była i mogła go zatrzymać. Nie przystało mi to i nie uczynię tego.

Czarnkowski, który już pugilaresu z zamkniętą w nim miniaturą dobywał, zatrzymał się i spojrzał. Anna miała surowo zaciśnięte usta.

— Ale cóżby w tem było zdrożnego— począł dalej—gdybyś miłość wasza chciała lepiej się mu przypatrzeć, ja w tem nie widzę nic.

— Nie chciałam innych wizerunków przyjmować i nie byłam ich ciekawą—odparła królowna—dlaczegożbym Ernesta miała czynić wyjątkiem?

Referendarz uparcie trzymał w ręku przyniesiony wizerunek i badał twarz królownej, która się wielką oblekała powagą. Zamilkł chwilę.

— Przecież — dodał — znasz mnie W. Kr. Mość, wiernym sługą jestem. Zostałoby to między nami, a zaprawdę nie wadziłoby lepiej poznać i przypatrzeć się Ernestowi, boć gdy go obiorą, on się przyrzeka żenić, gdy Francuz o tem mileży.

Zarumieniła się Anna.

— Nic pora o tem mówić—odrzekła cicho.—Proszę was, nie namawiajcie mnie do tego, czemu się bronić muszę.

A po chwili dorzuciła.

— Sądziecie więc, że Ernest ma widoki jakie? że się powie dzie cesarskim?

Z głosu referendarz nie mógł się domyśleć, czy pytanie było natchnione trwogą, czy nadzieją, ale coś mu mówiło teraz, że jego Ernestowi tu nie sprzyjano bardzo. Dla lepszego więc wybadania królownej dorzucił.

— Sądzę na pewno, że cesarscy innych przeważają. Kupka Mazurów, która się dziś wyrwała, niepoparta,

nie dokaże sama nic, a co było niepewnego, widząc że Francuz pada, do cesarza się obróci.

Czarnkowski mówił to bez przekonania, bo troskę miał wielką. Popatrzał na królowną, która rzekła zimno.

— Tak wnosicie?

— I zdaje mi się, że się nie mylę — dodał referendarz — dopiero, gdy się pole z ładajakich kandydatów oczyści, cesarscy górę wezmą. Szlachta znudzona, cztery niemal niedziele stoi w polu a nic nie zrobiono. Rozstrój dziś w umysłach większy niż był; w końcu wezmą choćby Bandurę, aby raz do domu powrócić.

Posmutniała jakoś królowna.

Czarnkowski raz jeszcze żartobliwie napomknął o wizerunku, że wartoby go zachować, choćby dla nasycenia ciekawości fraucymeru, lecz królowna mówić mu nie dała. Kilka więc słów jeszcze dorzuciwszy na pożegnanie, pokłonił się Czarnkowski nierad z tego, co wynosił od królownej i z nieczem szedł do marszałka Firleja.

U niego i u Zborowskich mało nie przez całą tę noc przy kubkach radzono i słuchano, co przynosili na zwiady wysłani.

Nikt z panów nie był pewien, że swojego elekta przeprowadzi, troskę czytać było można z każdego czoła. Firlej zwłaszcza niecierpliwił się i niepokoił, twierdząc, że cesarscy nie umieli sobie poczynać, a nadto ufali w swoją siłę.

U Zborowskiego znowu panowie dyssyndenci, którzy się zgodzili na wybór Francuza, objawili wielki niepokój o to, aby się w Polsce rzeź św. Bartłomieja nie powtórzyła. Wojewoda poprzysięgał, że takimi artykułami zwiąże elekta, iż mu pęta nałoży i nie dopuści tknąć wolności sumienia.

Nazajutrz daleko spokojniej niż dnia pierwszego szlachta się do namiotów swoich pościagała, czuć było wydane rozkazy; rachuby, jakieś wyczekiwanie, politykę.

Mazury tylko, jak wczoraj, wołali za Henrykiem, tak bałaśliwie, tłumnie, uparcie domagali się go znowu.

Płocczanie i szlachta rawska przyłączyła się do pierwszych. Jednogłośnie tu głosowano za Francuzem.

Czarnkowski, który się wsunął ku namiotowi, dopytując, czego by się tak spieszenie przed innymi wyrwali, otrzymał na ucho odpowiedź; iż to było hasło z zamku im dane, któremu posłuszni być chcieli.

Jednego tylko biskupa płockiego potrafił referendarz skłonić, spodziewając się, że to może na Mazurów oddziała, ażeby w głos i otwarcie przemówił za Ernestem i za nim wotował.

Długiej mowie jego szlachta z początku cierpliwie się przysłuchiwała, potem niektórzy niewyspani głośno ziewać zaczęli i krzyże sobie na ustach pisać, wszczął się szmer i mało już kto zwracał na biskupa uwagę.

Poparł biskupa tylko podkomorzy warszawski Grzybowski, ale we dwu nie pociągnęli nikogo więcej za sobą.

Rawianie z biedy jeżeli nie Henryka, woleli już Szweda.

Dzień ten spelił na niczem.

Mało które województwo zgodziło się na jednego jak Mazury; panowie przemawiali każdy za innym kandydatem i do głosowania nie przychodziło. Zdawało się, że czas zamiast skupiać i jednać, coraz silniej rozdwajał i rozstrajał.

W niektórych województwach głosy się tak gwałtowne odzywały, że niemal boju się można było spodziewać. Szlachta się lżyła i do szabel rwała. Rdest, Szwed, Piast Bandura, Piast Rosenberg, Francuz mieli zwolenników tu i owdzie; kto ich miał największą liczbę, trudno było policzyć, a Czarnkowski z boleścią widział, iż cesarska sprawa stała we czwartek gorzej niż w poniedziałek, gdy Henrykowa zdawała się polepszać. Prostudusze Mazury stali przy swem, wołali Henryka kupą, głos się ich rozlegał i miał ja-

kaś siłę pociągającą. Zaczynały i inne ziemie za Francuzem się ogłaszać.

Czas było kończyć!

Czarnkowski widząc co się święci, obrachował, że trzeba zamęt wzniecić; dał swoim znak, aby głosowano na Piasta. Sam zaś on głosił się za Szwedem.

We czwartek tedy na polu było, jak się wyrażali niektórzy, istne piekło. Ryk, krzyk, wrzask, przekleństwa, kupa przeciwko kupie. Niektórzy kije, inni szable, nie dobywając ich, z pochwami podnosili do góry, popychano się, naciskano. Przejeżdżających panów obstępowały tłumy. A pókiż to tego będzie. Złośliwsi wołali, że siano niezgodę umyślnie, aby w mętej wodzie łowić, i bodaj siłą narzucić despotę. Wieści chodziły najdziwniejsze.

Wzięli się niektórzy mówić, iż cesarz oręźnie i zbrojno chciał wtargnąć; że cesarsey chcą szlachtę rozpedzić i t. p. Wielkopoleanie dla ładu, którego nie było, spisać kazali wszystkich kandydatów, bo ich się namnożyła moc wielka, pod imieniem Piastów. Zaczęto czytać głośno wszystkich po kolei, nad każdym złośliwe czyniąc komentarze, które jak z samopałów strzelały z kup otaczających. Gdy naostatku ktoś wykrzyknął jako kandydata Słupskiego Bandurę, buchnęły śmiechy i zaraźliwie poszły po całym polu, że ich przeszło godzinę utamować nie było można.

Pocziwy i zacny Wojciech Słupski pogrzebał wszystkich Piastów z sobą.

Nadszedł nareszcie piątek już, a króla jeszcze nie było. Znużenie i niecierpliwość malowały się szczególnie na twarzach wodzów. Firlej burzył się z gniewu, Zborowski potroszę szydersko uśmiechał się, ale wcale nie tracił animuszu. Pilno było i jemu, ale stał tak, że z omyłek cesarskich korzystać i na nich budować musiał.

W piątek wszyscy niemal panowie senatorowie zgromadzili się pod wielkim namiotem królewskim, który obstarpił wysłani od województw deputaci.

Przewidywano dnia tego stanowczą walkę, jako też mowy się rozpoczęły zawczasu.

Jakim sposobem pocziwe Mazury Henrykowe i ich sprzymierzeńcy w przemagającej liczbie, bo ich rachowano do trzech tysięcy, oblegli nieznacznie dokoła namiot wielki, to tyłkoby może niewidoczni tacy sprawcy jak Talwosz wytłomaczyć umieli. Drobną szlachtą zawczasu dobrze nakarmiona, ze wszech stron spływała jakby przypadkiem i ustawiała się jak od niechcenia, ale w końcu żelaznym obręczem objęła panów senatorów i stała sobie spokojnie.

Ale działy się rzeczy osobliwe. Gdy który z panów senatorów przemawiał za Franczem, cisza była taka, jak mak siał; począł inny o Erneście, o Szwedzie, wszczynał się szmer, ze szmeru wrzawa, hałas. gwar, iż słowa nikt usłyszeć nie mógł.

Przychodziło to niby trafem i przypadkiem, lecz zwalczyć nie było podobna losu.

Wtem podniósł się do głosu starosta Chodkiewicz, którego cesarz, jak wiemy, zdawna pewien był, i z nim też całej Litwy, bo on głową jej się stał. Nie wątpili Firlej, Czarukowski i cesarscy, że za Ernestem da głos, gdy, o cudo, oświadczył się pan starosta za Henrykiem, dodając.

— Henryk się ożeni z królowną Anną, a tak i krwi naszej stanie się zadość.

Jeszcze nie skończył Chodkiewicz, gdy Podole wołać zaczęło

— Henryk z Anną! Henryk z Anną!

Pierwszy raz tak jawnie wystąpiło życzenie narodu, aby ostatnia szczepu gałązka marnie nie uschła. Przemówiło to do serc.

Wprawdzie Ernest także mógł i obiecywał się że nieć z Anną, ale ten Niemcem był, a bądź co bądź, w każdym Niemcu starego widziano nieprzyjaciela.

Głos Chodkiewicza uderzył jak grom na cesarskich, Podole i Braclawszczyzna zrobiła po Litwie początek, dalej poszły za niemi Łęczyckie, Lubelskie,

Bełzkie, Pruskie województwa, znaczna część Krakowian, Sandomierzan, Sieradzian.

Wielkopolska głosowała za Anną samą.

Jawnem i oczywistem było, że Francuz weźmie górę.

Już była noc, gdy wszyscy znużeni rozplywać się poczęli; Czarnkowski głowę tracił, rękami w powietrzu młyńce kręcił zrozpaczony i wołał, że Francuzi Litwę przekupili, że ogromnemi jurgeltami, przyobiecaniem panom, zyskali ich sobie.

Na zamku dnia tego napróżno jego i Talwosza do późna oczekiwano, królowna się musiała do łóżka położyć, gdy Litwin nadbiegł z radością na twarzy i przywitał wychodzącą naprzeciw Dosię ręką podniesioną do góry.

— Francuz tak jak wybrany!

Królowna w ciągu dnia odbierała już wiadomości o tem, co się pod wielkim namiotem działo, ale pełna nikt sprawy nie zdał; dopiero Talwosz przyniósł lepszą wiadomość, a to samo, że Czarnkowski się dnia tego nie pokazywał, miało wielkie znaczenie.

W milczeniu przyjęła to królowna i teraz jeszcze nie objawiając radości, ale otaczający ją zmiarkować mogli z rozbudzenia żywszego, iż rada być musiała.

Talwosz przy drzwiach stał.

— Kiedyż się to skończy? — słabym głosem spytała Anna.

— Bogu wiadomo, bo opór jest silny — rzekł Litwin—więc gdy przeszkodzić nie mogą, przeciągnąć radzi, a nuż coś im z nieba spadnie. Ale wszystko to próżne, mądrzy oni, my też nie obrani z rozumu.

U Firleja całą noc niemal jedni drugim czynili wyrzuty, kto był winien, że się Ernestowi nie powiodło, dociec nie mogli. Jeden na drugiego zrzucał, ale skutek był ten, że Francuz wziął górę. Przy znużeniu wielkiem przewidzieć było łatwo, że ci co się wahali przystaną dla dobicia się rychlejszego do końca.

Marszałek Firlej bąkał gniewny o użyciu siły,

o rozpędzeniu tłumów, wyrwały mu się wyrazy nieopatrzone; ale on sam nie wierzył pewnie w to, ażeby przemocą można co dokazać.

Tymczasem słowo nieostrożne, raz wyrzucone, w świat poleciało.

Szeptano sobie do ucha, że pójdą działa i moździerze na namiot i poczty zbrojne się gotują.

W sobotę przed Świątkami namiot znowu był oblężony, od rana mowy głoszone, jedne po drugich, ale ich tak jak nikt nie słuchał.

Prymas pocichu szeptał, wzdychając.

— Vox populi, vox Dei.

Już tylko pięć województw i kawałek Prus opierał się jednomyślności, reszta jednogłośnie się Henryka domagała.

Senatorowie oblężeni w namiocie pod wieczór zażądali, aby szlachta się rozeszła i osobno województwami głosowała; ale nic to nie pomogło. Zborowscy i wszyscy Henrykowi zaczęli na prymasa nacierać, aby króla ogłosił, gdyż jawnem było, za kim stała i kogo chciała większość narodu.

Cesarskim zostawała jedyna nadzieja w niedzielę, która narady przerwać miała uroczystością, bo w Zielone Świątki nikt o niczem, prócz nabożeństwa, myśleć nie mógł.

Wszystkie namioty już były w zieleń postrojone, w mieście kościoły woniały młodą brzezina, każdy dom zdobił się w drzewka i gałęzie.

Była to jakby przepowiednia szczęśliwego końca, błogich lat pokoju i pomyślności.

Z obu stron nalegano na prymasa, jedni, aby okrzyknął króla, drudzy, aby się wstrzymał dla nocy, bo pod namiotem ciemno już było.

Uchański niepewien co ma czynić, skłonił się do odłożenia ogłoszenia na po Świątkach.

Na drugi dzień w poniedziałek, w ostatek miało się wszystko rozstrzygnąć. Jak?

Nie było prawie wątpliwości. Cesarsey chodzili po-

grążeńi w smutku, gniewni, zrozpaczeni. Nie było ratunku. Firlej, wołali niektórzy, powinien był niesforne rozpedzić tłumy.

Lecz łatwiej to powiedzieć, niż się ważyć na to...

Noc była wesola! Święto każde u nas prowadzi za sobą zawieszenie wszelkich czynności, a nawet troski wszelkiej na kolku. Pana Boga chwalić i dobrej myśli zażywać potrzeba.

Mało komu, szczególnie z bliższych Warszawy, żony z domu nie przysłały na Świątki kołaczów, placzków, mięsiwa, kielbas, jaj i beczulek. Było się więc czem posilać i na co sąsiadów prosić. Odżywało ciało i duch się krzepił.

Kościół pełne były przez dzień cały. Modlił się każdy, a szlachta spotykając pocieszała tem, że króla tak jak miała.

— Bogu dzięki! do domu człek pojedzie! żonę i dzieciska uściska. A! pora!

Z południa zjawił się referendarz na zamku, ale królewna chora leżała i widzieć się z nim nie mogła. Wylał swe żale przed panią krajczyną.

— Uciśnioną była wolność, przemocą Zborowscy prowadzili Henryka. Lękali się cesarza różnowiercy, religia była zagrożoną. Dyssydenci teraz mieli wziąć górę, kościoły zabierać, duchowieństwo obdzierać, ojczyznę zgubić.

Łaska starała się go tem uspokoić napróżno, iż Francuz przecież panem katolickim był i nie mógł dopuścić, aby wiara święta uciśniętą została.

Referendarz nie dawał się pocieszyć. Był to koniec świata! Wszystko zgubę zapowiadało.

Z tem wyszedł nieszczęśliwy.

Nazajutrz rano ściągali się wszyscy pewni tego, że już tylko ogłoszenia króla słuchać będą, gdy pod namiotem na nowo mowy się rozpoczęły. Wszystkie swe boleści wylewali cesarscy.

Gdy się to działo pod królewskim namiotem, Pan Bóg wie, kto puścił wieść.

— Wojewoda Firlej z działami, ze zbrojną siłą ciągnie na pole i wszystko chce w niwecz obrócić.

Co się w tej chwili stało nagle, opisać niepodobna. Jakby grom w ten tłum uderzył, ruszyło co żyło ze wrzawą, hasło dając do oręża! Ułękli się panowie senatorowie nie umiając sobie wytłómaczyć co się stało.

Tymczasem zawrzało okrutnie dokoła.

Henrykowi wszyscy rozbiegli się po oręż i niebawem uzbrojeni namiot otaczać poczęli.

Widok był osobliwy, jakby się na bitwę zanosilo: błysły broje na piersiach, podniosły się samopasy, hakownice, przyciągano moździerze, dobywano szable, dźwigano dzidy.

Nie upłynęła godzina, gdy kilka tysięcy koni uszykowało się na równinie, piechota przy nich, stając w obronie namiotu, którego nikt napadać nie myślał.

Od pocztu do pocztu biegali konni, roznosząc rozkazy, rozstawiając ludzi, wysuwając jednych naprzód, drugim cofać się każąc.

Wojewoda Firlej i zastęp jego przyjaciół nawet tym okazem siły nie dał się zwyciężyć. Rozprawiano, krzyczano, opierali się cesarscy.

Niektórzy rozpaczliwie wyrzekając, zjechali w końcu precz, inni pozostali protestując. Zgody nie było. Czarnkowski ochrypl, dowodząc przemocy.

Zbliżał się wieczór. Zborowscy poczęli na prymasa nalegać, aby znowu wahaniem się nie dawszy nocy nadejść, nie zwłóknął niepotrzebnie tego, czemu już zapobiedz nie było podobna.

Zmierzchało, gdy prymas złamany w końcu, mimo oporu Firleja, mimo wołania Czarnkowskich, stał i donośnym głosem Henryka księcia andegaweńskiego, królem polskim i Wielkim książęciem Litwy okrzyknął.

Gdy otaczający namiot usłyszeli to, w mgnieniu oka cała równina rozległa się jakby jednym wielkim głosem, który przebiegłszy ją wcisnął się do miasta, i brzmiał długo ponad stolicą Mazowsza.

Na polu radość była niezmierna, wielka, nie do opisania; ale też rozpacz i gniewów Firleja i Czarnkowskich wyrazić niepodobna.

Referendarz stał jak zdrtwiał, słuchając okrzyku prymasa. Pięść zaciskał, usta się krzywiły.

— Nie koniec jeszcze — mruknął. — Co myślał i z czem późno potem z pola zszedł, ciągnąc do Warszawy, on tylko i kupka co mu towarzyszyła wiedziała.

Nim Talwosz mógł królownie przybiedz zwiastować szczęśliwą nowinę, na zamku już wiadano o niej. Przyniósł ją naprzód ten okrzyk, który zamek otoczył i aż do komnat jego wcisnął, potem mnodzy dworzanie, znajdujący się w mieście, poczęli wbiegać każdy sądząc iż pierwszym był.

Królowna odmawiała wieczorne pacierze, gdy krajczyna przypadła niosąc jej do kolan wieść o Henryku. Serce Anny już przeczuło ją wprzód; lecz nawet przed krajczyną swą nie mogła się z tem wydać jak ono biło i jaka je radość, nadzieja, marzenia przyszłości przepełniały.

— Bogu dzięki — odparła Anna po chwili — kraj odżyje w spokoju, a i ja odetchnę i zwłoki króla narreszcie dostaną się na to miejsce wiecznego spoczynku, na które dotąd czekają.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Doba ta w życiu Anny Jagiellonki, która nigdy szczęśliwą nie była, może się nazwać istną męczeństwem kroniką. Cierpieć ona musi za grzechy ojców, za słabość sióstr swych, za rodzinę, za kraj i za siebie.

Obok niej stoją tylko pomocnicy serca dobrego a bezsilni i tacy jak Czarnkowski przekupnie frymarczący sumieniem, którzy sobie nie jej radzą, o sobie nie o niej myślą.

Ona jedna pamiętną jest wielkiego dostojęstwa swojego, krwi, która w żyłach jej płynie; ona jedna, gdy idzie o zerwanie Unii, powiada, że woli zginąć, niż dzieło brata nadwerżzyć, a gdy ją chcą ze spadku po zmarłym wyposażyć siostrą zatrzymując ich działy, woli cierpieć ubóstwo, niedostatek, niż je skrzywdzić dla siebie.

Całe jej postępowanie nacechowane jest najwyższą szlachetnością. Leje łzy, bo jest kobietą; ale znosi upokorzenie, ucisk, zawody, nie dając się złamać.

Kraj cały okazywał wstręt do domu rakuzkiego, który jej obiecywał oswobodzenie i zameżcie; odrzuciła je stosując się do życzeń ogółu. Myśl i serce jej przywiązało się naówczas do Henryka, jako do wybranego przez Opatrzność dla niej wybawiciela.

Jest to jedną, jedyną słabością tej wielkiej duszy, że marzyła chwilę o szczęściu z Henrykiem, nie znając go, wyobrażając sobie dobrym, łagodnym, szczerym, takim jakim go ludzie jej starali się przedstawić.

Kochające to serce widziało w nim rodzinę, podpórę, choćby błysk jakiś krótki szczęścia, którego ona nigdy nie doznała.

Nadzieja przebija się w tej chwili życia, jak słońce przez chmury, zdradza mimowolnie, ale Anna stara się ją utrzymać w sobie, zamknąć w głębi duszy.

Zaledwie mgnienie oka ma trwać to złudzenie i wkrótce w jednym z tych bolesnych listów do siostry, które świadczą co wycierpiała, wyraża się z przejmującą goryczą.

„O szczęśliwe a błogosławione siostry moje, że tego nie doczekały, czegom ja nieszczęśliwa dożyła.“

Moment, w którym ten wykrzyk miał się wyrwać z jej piersi, nie nadszedł jeszcze. Anna łądzi się Henrykiem jako przyszłym małżonkiem, obiecuje sobie odetchnąć, marzy.

Wszystko, co jej ludzie i pisma przynoszą o tym narzeczonym z Opatrzności, chwyta chciwie. Głosy

są zgodne, pochwalne. Na wizerunku ten zepsuty i rozpieszczony syn przewrotnej matki wygląda tak łagodnym, tak miłym, jak był w istocie chytrym i zwodnikiem.

Miedzy nim a nią są podobieństwa losów, pochodzenia. Bona Sforzia przypomina Katarzynę Medycejską.

Czasem Anna wyrzucać sobie musi te marzenia spóźnione licząc lata swoje i jego, zwątpienie i rozpacz ją ogarnia. Miałaby i ta ostatnia zawieść nadzieja?

Co naówczas? Gdzie się schronić? Jaką pochwycić nadzieję zbawienia? Z potrzeby kochania, myśl jej leci za morze do kolebki siostrzana Zygmunta.

Radaby go przybrać za syna, jemuby chciała tron zapewnić.

Jak? — nie wie.

Pomiędzy Henrykiem a tym Zysiem drogim, ciągle kołysze się biedne serce starzejącej królowej, której Bóg odmówił rodziny, macierzyństwa, przywiązania i dał jej tak nędznie usychać na lodydze.

Kobieta walczy w niej teraz z królowną.

Nadchodzi chwila stanowcza, Henryk wybrany. Warunek ożenienia został wciśnięty, mimo posłów oporu. Anna w niepewności wyczekuje, jak ten narzeczony znajdzie się względem niej? Odepchnie ją czy przyjmie? Pozna się na sercu, czy odrąci smutną niewiastę.

Od dnia do dnia zwlekała Anna wyjazd za ciałem brata z Warszawy do Krakowa. Chciała mu towarzyszyć koniecznie, uważała za obowiązek stanąć przy tej trumnie, gdy więcej nikogo z rodziny nie było. Tymczasem słabość pół roku ją trzymała przykutą na zamku warszawskim.

Z dnia na dzień wyjazd się odkłada, aż do stycznia 1574.

Ten pochód żałobny, za którym Infantka jedzie z całym swym dworem, ma przesunąć się przez zna-

czną część kraju, musi więc być uroczystym, ostatnim królewskim pochodem.

Króla zmarłego pożegnać powinni raz ostatni wszyscy co go kochali. Jagiełłów ród z nim schodzi do grobu. Ona za trumną, to przypomnienie tego co kraj winien jest jej.

Na podróż potrzeba pożyczać pieniędzy, królewnej brak ich ciągle, panowie niechętnie dają, podskarbi nie zawsze może. Pożyczać potrzeba na most, na podróż, na pogrzeb, na chleb powszedni.

Naostatek zwlekać już dłużej nie było podobna; Henryk oznajmywał, że przybywa, a pieszczony i przesądny nie chciał zaczynać panowania od pogrzebu, wysłał więc zastępców za siebie, aby uniknąć żałoby.

Królewna z ogromnym poczem dworzan, którzy się zbiegali zewsząd, aby ostatnią oddać panu posługę, wyjeżdżała z Warszawy.

Z nią ciągnęli dworscy, komornicy, urzędnicy z ogromnemi pocztami, słudzy króla z chorągwią jego, drabanci.

Zwłoki wieziono na okrytym wozie żałobnym, za którym tłumy ubogiego ludu ciągnęły, obdarzane koszttem skarbu jałmużną i strawą.

Wszystkie naprzód stanowiska były wyznaczone; na każdym zamku i dworcu, w którym się zatrzymywano, czekała izba obita kirem. Przed nią zatrzymywał się wóz, nie zdejmowano ciała. Na trumnie kładziono koronę, berło, jabłko i miecz, zapalano świece i pochodnie, stawiono straż z dwu komorników, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgeltników złożoną i kapelani przez całą noc śpiewali psalmy.

Nazajutrz po mszy żałobnej w kościele, na którą szła Anna ze swym dworem, ruszano dalej ku Krakowu.

Droga szła na Radom i Miechów i zabrała dni jedenaście. Wszędzie na spotkanie ciała wychodziły procesye, bito w dzwony, dworzanie zsiadali z koni,

nakładali kaptury, oznakę żałoby, brali świece i przeprowadzali przez każdą wieś i miasto zwłoki, idąc przy nich pieszo.

Toż samo często czyniła Anna z dworem swoim, jeżeli przykra roku pora dozwalała.

Z Warszawy co żyło, wszystko się przyłączyło do swej pani, która miała w Krakowie zająć wyznaczone sobie mieszkanie starej królowej Bony i być przyjętą ze czcią należną.

W oczekiwaniu pogrzebu i koronacyi, jedna część panów i szlachty już zapełniała starą stolicę, inni gotowali się na granicy państwa witać przybywającego monarchę.

Poprzedzony przez mnogich posłów, przez służbę swe, niezliczonych Francuzów, których nowy kraj pociągał ku sobie, jechał Henryk przez Niemcy, nie śmiejące mu wzbronąć przejazdu. Z dobrą czy nie dobrą wolą przyjmowano go jak króla.

Tymczasem w Krakowie i wszędzie, gdzie się Francuzi pokazali, zbiegano się do nich, usiłując odgadnąć pana ze służby. Znajdowano ich zabawnymi, grzecznymi, ale razem tak czasem lekceważącymi krajowców, tak nie umiającymi się do ich obyczajów zastosować, tak dumnymi, gdy co miłość własną podrażniło, iż u wielu szlachty rodziły się już niesmaki.

Najwzględniejsi nawet z Francuzów zdawali się dawać do zrozumienia Polakom, że sobie powinni być wieszować, a Henrykowi wdzięczni być, iż raczył przyjąć koronę.

Otwarta, szczerą, wesołą rubasznosc polską odbijała jaskrawo obok galanterii chytrej, ironicznej, pogardliwej Francuzów, którzy się kłaniali szydząc i zdawali drwić ze wszystkiego.

Ani jadłem, ani napojem dogodzić im nie było podobna, prykali na wszystko, dziwili się rzeczom najprostszym, a szwargotu ich, ani nawet łaciny nikt prawie nie rozumiał.

Biednym zimno tu było, głodno i smutno; na twa-

rzach zsiniałych małoowało się więcej podziwienia, zdumienia niż radości.

Z tych wszystkich wrażeń, jakie czynili Francuzi przybywający, nie spowiadano się szczerze przed królowną.

Dwór jej, szcędząc biedną panią, przynosił tylko to, co ją pocieszać mogło.

Na prawdę szlachta kręciła węża i myślała w duchu, że lepszymby był może jaki taki Piast, albo i Szwed nareście.

Ale potęga Francyi coś też znaczyła.

Zapał dla Henryka, gdy się o Francuzów ocierać zaczęto, ostygł znacznie.

Dla królownej Anny podróż żałobna, zimą, powolna, smutna, będąca niemal jednym nieprzerwanem nabożeństwem za duszę brata, była męczarnią tem większą; że prowadziła do miejsca, gdzie się jakieś nowe, nie dające obrachować życie rozpocząć miało.

O małżeństwie natychmiastowem, któreby koronację poprzedziło, mowy nawet nie było. Zostawało ono w cieniu i mrokach jakiejś niepewności, odłożone do nieoznaczonego terminu.

Mówiono o niem tylko półgębkiem. Anna nie wiedziała sama, czy ma się go spodziewać, czy wyrzec i całą miłość przenieść na siostrzeńca, na tego Żysia (Zygmunta), którego myślą za morzami szukała czasem, pragnąc mu się stać matką.

W Miechowie, w kościele Bożogrobców złożono zwłoki, które nazajutrz uroczyste wiodła siostra na Prądnik do biskupiego dworu, gdzie przez dzień cały spoczywały.

W Krakowie przygotowywano pogrzeb wielce wspaniały. Od Henryka miał się na nim marszałek de Retz znajdować, razem z dawniejszym posłem panem Rambouillet.

Pomimo ostrej roku pory uroczystość, wedle tradycyjnych form, odbyła się z wystawą i przepychem nadzwyczajnym.

Na Kleparzu, przed kościołem św. Floryana czekali na wóz żałobny posłowie: cesarski, francuzki, węgierski, szwedzki, wenecki, ferrarski, brandenburgski, brunświcki, pruski i pomorski.

Gdy po nabożeństwie odbytem tu ruszył pochód, końca mu nie było. Poprzedzało go duchowieństwo, studenci szkół różnych, zakony, tłumy ubogich i ludu. Szli dalej arcybiskup i biskupi pontyfikalnie ubrani, za nimi przeszło tysiąc ludzi w czarnych kapach i kapturach z zapalonemi świecami. Chorążowie wszystkich ziem i województw jechali z chorągwiami i pocztami.

Królewską niósł wielką Maciejowski chorąży nadworny.

Trzydzieści koni w kapach czarnych jedwabnych poprzedzało trzydzieści mar okrytych jedwabnemi oponami złotem szytymi.

Za nimi ten, któremu Anna przebaczyła, a kraj darować nie mógł ostatnich chwil króla, krajezy koronny na koniu pięknym, we zbroi pańskiej, miał szczęście przedstawiać Persone, to jest widmo jakby króla samego. Za nim jadący Garnysz był w szatach króla, drugim takim osoby zmarłego wizerunkiem żywym.

Senatorowie szli za nimi pieszo, a za nimi oznaki królewskiego majestatu. Zborowski wojewoda Sandomierski niósł miecz, Piotr Zborowski jabłko, Firlej wojewoda krakowski berło.

Po obu stronach wozu, na którym spoczywały zwłoki, szło piętnastu dworzan króla ze świecami. Następowali cudzoziemscy posłowie i przez posłów cesarskiego i francuzkiego wiedziona Anna Infantka, a za nią szereg długi pań i panien.

Ten dzień po złożeniu zwłok w kościele św. Stanisława na Wawelu był tylko jakby początkiem obrzędu pogrzebowego.

Nazajutrz takim samym porządkiem obchodzono inne kościoły.

Nie poetyczniejszego, majestatyczniejszego wyobrazić sobie nie można nad te pogrzeby królewskie dawne, które stworzyło poszanowanie dla swych panów, miłość dla nich i boleść po stracie.

Te masy zapelniające kościół, ten katafalk okryty koroną, przy których z kolei kruszono wszystko, co służyło zmarłemu, miecz, tarczę, hełm, włócznię, pieczęcie, laski, naostatek rycerz konny przedstawiający króla, zapadający się w ziemię u stóp trumny, wywoływały płacz i jęki.

Nie można było wyraziściej, dobitniej ukazać znikomości wszech ludzkich rzeczy, potęgi wszelkiej i niezblaganego losu skazującego na śmierć wszystko co żyje.

Potrzebaż mówić, ile siły ducha musiała mieć Anna, aby przybywszy z pogrzebem dotrwać do tego ostatniego aktu, gdy widmo brata zapadło się w ziemię w jej oczach, a z niem cała przeszłość.

Jutro stało przed nią mgliste, niepewne, straszne, a choć przyjaciele i przyjaciółki dodawali jej otuchy, bić musiało serce obawą i przeczuciem.

Godność tylko Infantki w Krakowie poszanowaną została.

Wyznaczono jej pokoje Bony i dworu dla licznego francymoru, sześć tysięcy nadwornego wojska miała przy sobie, postarano się o to, aby na zamku srebro i sprzętu nie brakło.

Łaska i Świdnicka, starsze panie uśmiechając się napomykały, iż zawczasu po francuzku uczyć się zacząć było potrzeba. Nie wątpiły one, iż Henryk przybywa ażeby Annę poślubić.

Znaczna część panów była tego przekonania, że dla utwierdzenia się na tronie będzie musiał to spełnić.

Że dworu i francymoru Anny z tym językiem przyszłego króla jedna tylko Dosia była obeznaną. Chorobliwe jej niemal pragnienie uczenia się ciągle czegoś nowego skłoniło ją dawniej do obeznania się

z mową, która teraz cudownie okazała się dogodną.

Anna miała w niej gotowego tłumacza, na którego rachować mogła.

Wprawdzie syn Włoszki, jak ona, Henryk musiał z macierzystą mową oswojonym być od kolebki; zaręczano, że po włosku umiał, ale jeden z posłów wygadał się nie opatrzenie, iż nie bardzo wprawnie mową tą władał.

Na dworze zaś jego, większa część, nawet najwykształceńszych Francuzów, oprócz własnego, żadnego innego nie umiała języka. W Polsce, gdzie łaciński tak był naówczas pospolitym, iż cudzoziemcy znajdowali woźniców, z którymi się po łacinie rozmówić mogli, wydawało się to również dziwnem, jak we Francyi, iż posłowie polscy wszyscy prawie kilku językami władali.

Dosia, biedny Talwosz to znajdował, zmieniała się jakoś w oczach. Zawsze była dumną i nieprzystępną; teraz, gdy poselstwu francuzkiemu parę razy za tłumacza służyła, a z Francuzami zachwyconymi jej pięknością spotykać się zaczynała coraz częściej, piękna główka jej się zawracała.

Czuła tu wyższość swoją, siłę i, choć się z tem nie wydawała, posądzić było można, że zabierała się z tego korzystać.

Od pierwszych Francuzów Montluca do ostatnich marszałka de Retz i pana Rambouillet, Dosia po kolei wszystkich sobie ujęła i podbiła. Mówiono o niej jak o gwiazdzie dworu Infantki; zachwycono się nie tylko jej wdziękami, ale rozumem, umiejętnością języka, wyższością nad innemi niewiastami. Przy niej gościł nawet majestat królowej.

Którejżeby kobiety oddawna jej cześć nie upoiła?

Francuzi, którzy tylko na migi z innemi rozmawiać mogli, oblegali to zjawisko z zapalem, z uwielbieniem właściwem ich temperamentowi.

Zbiegali się, aby ją widzieć kłaniali do ziemi, wyprzedzali w usługach. Tracili głowy.

Śmiała się niby Zagłobianka z tych hołdów, lecz kadziło takie z czasem zawsze działać musi.

Talwosz pierwszy spostrzegł, że w obejściu się z nim przybrała ten ton nowy, z jakim do Francuzów występowała. Patrzała nań z góry.

Dotknęło go to mocno, uczuł coś nakształt politywania, pierwszy raz w tem bóstwie dopytawszy słabostki ludzkiej, ale milczał.

W Krakowie Dosia stała się tak nadzwyczaj potrzebną, iż się na chwilę bez niej obejść nie można było. Wołano ją do tłumaczenia kartek, pism, do porozumiewania się z nadjeżdżającymi Francuzami.

Obok niej zjawił się tu jako pośrednik karzeł Krasowski, który poprzedził króla i ofiarował usługi swoje infantce.

Przyczyniwszy się, jak przyznawali wszyscy, do zalecenia Polsce Henryka i do jego wyboru, Krassowski dumny był z tego, a teraz cały się chciał Annie poświęcić. Codzień prawie przychodził na pokoje, zawsze prawie go przypuszczano i słuchano z zajęciem opowiadającego o Henryku.

Na sercu mu leżało równie jego zalecić Annie i Polakom, jak ją i ich jemu w najlepszym przedstawić świetle.

Żywy, gorący, dowcipny, na pół Polak, pół obyczajem i długim pobytem we Francyi, Francuz, Krasowski najlepiej rozumiał jak wiele tu ostrych kantów potrzeba było zaokrąglić, aby bez szkody zetknąć się mogły.

Każdy niemal dzień nowe sprowadzał trudności i zadania dla niego. Skarżyli się przybywający Francuzi, żalili przyjmujący ich Polacy. Krassowski jak mógł i umiał szepcił porozumienie i zgodę.

Niczem były te drobnostki obok tego, co posłowie po króla wyprawieni do Paryża mieli tam do przebycia, nim na artykuły i wymagania ich zgodzili się

doradcy Henryka. Dochodziły o tem głuche tylko wieści, a ostatecznie wiadano, iż król podpisał, przyrzekł, przyjął czego żądano, i choć się z podróżą ociągał, choć mu bardzo żal było Francyi porzucać, narreszcie do granic Polski się zbliżał.

Ogromny zastęp wszystkiej szlachty najzamożniejszej, najświetniejszej, mogącej wystąpić, z niesłychaną świetnością i przepychem oczekiwał na niego w Międzyrzecu.

Piętnaście tysięcy jezdnych rozstawionych po otaczających pagórkach, wybór i czoło rycerstwa polskiego witało młodego króla.

Henryk, któremu niezbyt okazałych trzy tysiące Niemców towarzyszyło aż tutaj, stanął niemal osłupiały widokiem, jaki się oczom jego przedstawiał. Ohok tych żołnierzy na koniach ciężkich, odzianych czarno i szaro, nieodznacających się niczem, rycerstwo polskie wydało się idealnym jakimś obrazem.

Największa różnorodność uzbrojeń, strojów, barw, oręży, kosztowne i najpiękniejsze w świecie konie, rzędy świecące klejnotami, okrycia szyte złotem, skrzydła u ramion jeźdźców, malowane ich tarcze, kołczany, pióropusze kosztowne składały się na zachwycającą barwami i wspaniałością całość.

Taż sama różnorodność twarzy, nakryć głowy, postawy, bród i wąsów, siwe włosy obok puklów młodzieńczych zdawały się mówić, że kraj wysłał tu na spotkanie co miał najlepszego.

Król, który niemal całą podróż odbył z uśmiechem szyderskim i znudzonym na ustach, nie kryjąc się przed Pibrakiem i innymi ulubieńcami, iż wszystko niepospolicie go nużyło, po raz pierwszy wykrzyknął, okazując szczere zdumienie i zachwycenie.

Powtarzano, iż miał się wyrazić, zapewne mimowolnie:

— Po raz pierwszy w tej chwili uczułem się królem w istocie.

Nie mniejsze wrażenie mogło na nim uczynić po-

selstwo panów senatorów, od którego przemawiał tu do niego poważny Karnkowski. Na łacinę jego zmięszany król kilku słowami włoskimi odpowiedziałszy, zdał resztę na Pibraka.

Na zamku w Międzyrzeczu, potem w parę dni w Poznaniu przyjęcie było ochocze, głośnie, wesołe, a tak radosne i szczere po polsku, iż Francuzom niemal zanadto się serdecznem wydało.

Po polsku też zasypano króla mowami długimi, których on ani ocenić, ani na nie odpowiadać nie umiał.

Z Kurnika na Częstochowę, wszędzie przyjmowany równie serdecznie i huczno, wprost przybył król 14 lutego do Balic pod Krakowem.

Tegoż dnia wiedziano o tem na zamku, i królowa, do której krajczyna przybiegła z oznajmieniem, iż nazajutrz ujrzy Henryka w Krakowie, potrzebowała się zeprzeć na krzesło stojącem blisko, tak słabą się uczuła i strwożoną. Słów jej zabrakło, chustkę przyłożyła do ust, objęła Łaskę i na jej ramionach złożyła głowę, ukryła oczy.

— Al co nam przyszłość gotujel—szepnęła łkając.

A po chwili dodała.

— Ja jutro tego wszystkiego widzieć nawet nie będę mógł! Jak mu się wyda ta nasza biedna Polska po Francyi.

Krajczyna wiele czasu potrzebowała na to, aby zwolna uspokoić Annę i dodać jej odwagi, a wlać w nią to przekonanie, iż Opatrzność nie darmo zrządziła cudowny wybór Henryka, który z sobą Polsce i jej szczęście przyniesie.

Anna chwilami zdawała się mieć tę nadzieję, ale wprędce doznane zawody, długie cierpienia odbierały jej ją i szeptała krajczynie.

— Może się Bogu podobalo dlatego tylko dać mi teraz otuchy trochę, abym tracąc ją niecierpiała boleśniej.

Co moment teraz przybywał ktoś na zamek albo

z Balic, lub co młodego pana w podróży widział, i opisywał jego dwór, znajdowanie się Francuzów, ich stroje i t. p.

Rozumie się, iż do królownej nie dochodziły te wrażenia, któreby ją zawczasu mogły zasmucić. Nie dopuszczały ich otaczające ją panie.

Tego wieczora obficie było gości, opowiadań i sprzecznych poglądów.

W mieście panowało poruszenie nie do opisania, gorączka popisu radość razem i niepokój. Nazajutrz na powitanie króla występowało co żyło z okazałością niesłychaną.

Królowna Anna parękroć wyraziła pocichu żal swój nad tem, iż nic widzieć nie będzie mogła, oprócz ostatniego aktu, przybycia na zamek, na którego podwórce ani część nawet pocztów i zbrojnych orszaków dopuszczoną być nie miała. Dosia, która była przy rozbieraniu królownej westchnęła także nad tem.

— Gdybym choć ja, za pozwoleniem miłości waszej, widzieć to wszystko mogła, potrafiłabym opisać najlepiej—odezwiała się.—Niech mi tylko miłość wasza pozwoli.

— Co ci mam pozwolić?—zapytała królowna.

— Proszę o uwolnienie mnie na dzień jutrzejszy—dodała Zagłobianka z uśmiechem—o nic więcej. Zresztą dam już sobie radę.

Zawahała się nieco Anna, lecz ulubienica tak naglić, prosić i po rękach całować zaczęła, że w końcu milczące przyzwolenie otrzymała.

Godzina już była późna, gdy wybiegłszy z sypialni śniła dziewczyna posłała po Talwosza, którego zawsze wiedziała, gdzie szukać miała.

Litwin, chociaż dotknięty tem, iż się Dosia nadto Francuzami zajmowała i dozwalała im stroić zaloty, przybiegł natychmiast.

Dziewczę odezwowało się tonem rozkazującym nim miał czas otworzyć usta.

— Patrz wpan, abyś mi na jutro dodnia ułatwił wszystko. Przebiore się po mężku i muszę od rana widzieć wszystko, abym królownie doniosła jak się odbyło.

— Po mężku! — wykrzyknął Talwosz. — Ależ noc nadchodzi! sukni nie mamy, przygotowanego nic, a o tem nie myśli panna Dorota, że ją choćby z pięknego lica wszyscy poznają.

— To moja rzecz! — odparła Zagłobianka dumnie — czyń wpan co do niego należy, albo chcesz, abym się zwróciła ku komu innemu?

Talwosz się rzucił.

— Zrobię przez noc co będzie można — rzekł — lecz mało powiedzieć: przebiore się po mężku. Musicie sobie strój wybrać i oznaczyć.

Dosia krótko się namyślała.

— Włoski strój mnie przysposóbcie — rzekła.

— A z włosami co będzie.

— Nie potrzebuję nakrycia z głowy zdejmować przed nikim, beret lub kapelusz okryje włosy.

Jakim sposobem potrafił Talwosz nazajutrz rano całe ubranie dostarczyć Dosi, która na koniu, po mężku jechać z nim się ofarowała, nie tłumaczył się z tego. Strój był piękny, choć w oczy nie bijący, a na wierzch jego płaszczyka z futrem nie brakło. Koń spokojny był przysposobiony.

Posłuszny Litwin dostarczył wszystkiego, lecz pomimo to, wielce był niespokojny i wyprawę tę odradzał jeszcze, tylko że z Dosią rozprawiać i przekonać ją, gdy się uparła, było trudno.

W godzinę po dostarczeniu jej stroju Zagłobianka wyszła przebrana, jaśniejąca pięknnością, którą mężki strój podnosił jeszcze, wyglądająca tak uroczo, że wszystkich oczy ściągnąć na siebie musiała. Ubiór ten, którego dotąd nie nosiła nigdy, tak jej dobrze przystawał, tak się umiała do niego w ruchach i postawie zastosować, że Talwosz osłupiał.

— Panno Doroto — zawołał — raz jeszcze pozwól

mi powtórzyć sobie, że ja za ten krok jej nie biorę na siebie odpowiedzialności. Odradzałem i odradzam. Ściągniecie oczy... Francuzi...

Nie dała mu dokończyć. Mężtwem zuchwałem twarz jej pałała.

— Na koń!—zawołała—dość gadania.

Co się z biednym Litwinem działo, on jeden wiedział. Cierpiał okrutnie, bo i obawa o dziewczę i zazdrość go dręczyła, a stało się to co przewidywał, iż Zagłobianka, która się wcale z sobą nie ukrywała, oczy ciekawe zwracała na siebie.

Domyślano się w niej czy nie przebranej kobiety? niewiadomo, ale szlachetna postawa, nadzwyczajna piękność rysów twarzy kazały się domniemywać jakiejś niepospolitej osobistości.

Zagłobianka uparła się szukać sobie takiego miejsca, z któregoby mogła widzieć wszystkich i wszystko. Talwosz jej musiał przebojem często torować drogę, bronić stanowiska aż do miecza się zrywając.

Oddziały pańskie, które wyciągnęły na powitanie Henryka, miały co najmniej każdy po trzystu ludzi, a było ich przeszło trzydzieści, jedne nad drugie okazalszych.

Tak samo jak niegdyś na powitanie Elżbiety rakuskiej sadzili się senatorowie na wspaniałość i wytworność, na przesadzenie jedni drugich fantazyą, którą tylko upodobanie ich i możność ograniczały.

Oddziały niektóre były przystrojone na sposób francuzki, włoski, brunświcki, węgierski, ruski.

Na francuzach największe wrażenie zdawały się czynić poczty węgierskie w hełmach, w koleczugach, z długimi tarczami tak okrywającemi ludzi, iż głowy ich tylko z za nich wystawały, z ogromnemi dzidami malowanemi i złożonemi, okrycia koni skórmi niedźwiedzi i lampartów, przy których poczepiane były dzwonki i skrzydła w złożonych osadach. Stawali wlepiając oczy w te postacie, które się im widziadłami jakimiś wydawały.

Stroje kozackie i ruskie nowemi też dla nich były zarówno z tatarskiemi. Łście polska fantazyja nawet niedźwiedzie żywe w kagańcach posadzała na konie dla popisu. Króla przeciągającego przed oddziałami witały one wystrzałami z organków na wozach stojących, które się obracały i mieściły, gdzie im było potrzeba.

Trąby i kotły wiezione na koniach, huk wystrzałów, okrzyków na cześć przybywającego dosłyszeć nie dawały.

Pierwszy z pocztów, który witał Henryka, był arcybiskupa gnieźnieńskiego, przybrany z węgierska w aksamit czarny ze złotem. Prymas jechał w kolebce szkarłatnej, sześcią końmi ciągnionej, po obu stronach mając biskupów poznańskiego i plockiego. Za nim ciągnął arcybiskup lwowski, kamieniecki, krakowski z ludźmi po włosku ustrojonemi, w futrach kosztownych; dalej inni biskupi i senatorowie.

Na czele ich jechał krakowski pan z oddziałem Tatarów i Węgrów w zbrojach lśniących. Żaden z tych pocztów nie był do drugiego podobny; barwy, szycia, złoto, srebro, futra, zbroje, skrzydła, coraz inaczej się mieniły spojone, coraz dziwniej podobierane.

Wśród tego oślepiającego przepychu odznaczał się Albert Łaski swemi Tatarami i Węgrami, których konie, rynsztunek, uzbrojenie rwały oczy.

Za Polską ciągnęła Litwa z Radziwiłłem na czele i jego ludźmi w szkarłatach, Chodkiewicz i mnoga drużyna, niedająca się bogactwem zaćmić ani liczbą.

Któż policzy idące za niemi poczty senatorów Wapowskiego, Turnowskich, Opalińskich, Zamojskich, Rejów, których skarbcie i odwieczne skrzynie na ten dzień uroczysty się wypróżniły?

Gdy się te szeregi ustawiły na równinie pod miastem samem, widok był, od którego Henrykowi serce po wtóry raz mogło uderzyć, jak gdy go na granie wiytano.

Biskup płocki wystąpił w bramie tryumfalnej z mową, na którą znowu Pibrak tylko odpowiadał.

Naturalnie dopytywano o niego co zaczął być i jak się zwał, a nazwisko z ust do ust sobie ludzie podając, przekreśli na Psibrat i ono mu pozostało.

Spoglądano na króla, wszystkim się wydał cienkim, małym, delikatnym jakimś, a chude nóżki w obcisłym stroju, szlachcie bociana przypominały.

Ona wołałaby była szerokich ramion, pięści silnej, zbudowanego od siekiery żołnierza i wodza, los jej dawał pieszczonemu dzieciaka, laleczkę strojną jak do wertepu. Niektórzy ciekawsi dopatrzyli się u uszów przywieszonych kołczyków i, nawet mówić o tem nie śmiano, tak się to poczwarnem wydało i nie do wiary.

Noc już była, gdy Henryk wjechał do oświetlonego miasta. Tu na wąskich ulicach, ci co bliżej szli, lepiej mu się mogli przyglądać.

Dosia, której zuchwalstwu dziwnie się szczęściło, wybiegła naprzód, aby miejsce zająć takie, z którego by Henrykowi długo i bacznie przypatrywać się mogła.

Ukazał się jej w końcu; pod baldachimem ze złotogłowi, niesionym przez panów radnych stolicy, otoczony halabardnikami, szwajcarskimi i arkubziami gaskońskimi, na pięknym białym koniu, z rzędem wspaniałym, cały czarno, w futrze sobolowem, w toku na głowie opasanym sznurem szmaragdów, z ogromną spinką dyamentową nad czołem.

Dosia stanęła tak, iż się z nim oko w oko spotkać musiała.

Jechał blady i zmęczony, z twarzą, na której nuda mimowolnie się wypiętnowała, dopiero gdy oczy jego błędząc po tłumie trafiły na uroczą twarzyczkę Zagłobianki, która zuchwale wzrok w niego wlepiła, drgnął i dopóki tylko mógł ją oczyma ścigać, nie spuścił ich z tego oblicza, które widocznie go pociągaly pięknością niewieścią ku sobie.

Żaden z wymokłych minionów towarzyszących Henrykowi z tym tajemniczym młodzieńcem równać się nie mógł.

Co sobie oczyma powiedzieli, dumna dziewczyna i zniewieściały Francuz, Talwosz nie umiał odgadnąć, widział tylko, że na twarz Dosi wypłynął krwawy rumieniec.

Zagłobianka ledwie już okiem rzuciwszy na książąt Nevers i Mayenne, na resztę orszakn wiedzionego przez wojewodów i kasztelanów, nie czekając aż powolny pochód przeciągnie przez wrzystkie bramy, któremi droga do zamku była poprzecinana, dała znak Talwoszewi, iż chce uprzedzić na zamek Henryka.

Znowu się więc przedzierać z nią musiał przez zbite tłumy i z niemalą trudnością potrafił ją na Wawel odprowadzić.

Cały dzień przebywszy na mrozie i na koniu, Zagłobianka bynajmniej nie okazując znużenia, dała się zsadzić z siodła i nie podziękowawszy nawet Litwinowi, uciekła się przebrać, aby królownie zdać ze wszystkiego sprawę.

Wkrótce potem dzwony kościelne oznajmiły, iż król się znajdował w katedrze, z której *Te Deum* rozlegało się dziękczynne.

Z okien swoich pokojów widzieć mogła Anna jak go nareszcie już nocą na zamek wprowadzono, gdzie króla i panów, posłów obcych i dostojniejszych gości uczta na dole oczekiwała.

Tak dzień się ten skończył nużący dla wszystkich, a może najtrudniejszy do przebycia dla Anny, która z trwogą coraz rosnącą oczekiwała widzenia człowieka znanego jej dotąd z wizerunków i pochwał, równie jak one upiękniających.

Z okien przemknął się jej tylko szczupły, drobuy, dziecinnie jakoś wyglądający chłopaczek.

Postawiła go w myśli przy sobie i zasmuciła się. Paziem jej... byłby bardzo miłym, na towarzysza ży-

cia poważnej Jagiellonki zdawał się niedoroslým jeszcze.

Westchnęła.

Zjawiającą się Dosię, której twarz od zimna i od doznanych wrażeń pałała, królewna i panie obstały z ciekawością niezmierną.

Widziała wszystko, przypatrzyła się królowi, mogła lepiej niż drudzy opisać go, odgadnąć.

Zawiodły jednak nadzieje, Zagłobianka weszła zmieszana, a znużenie może teraz się dopiero czuć dające, nie dozwalało jej opowiedzieć tego, co widziała.

Król... król wydał się jej pięknym jak wizerunki, które pokazywał karzeł Krassowski, ale Dosia znajdowała, że męskiego w nim nie wiele było, chociaż wdzięk w sobie miał wielki i siłę potężną we wzroku.

Nie opatrzyła się zdradzając, iż ten wzrok spotkać musiała i na sobie go doświadczyć. Dopiero gdy się to z ust wyrwało, usiłowała wytłómaczyć tem, co słyszała od ludzi.

Zagłobianka mówiła jeszcze, gdy nadbiegł Krassowski, który na dole króla do stołu idącego czas miał pochwycić i kilka słów z nim zamienić.

Karzeł ręce na piersiach krzyżując zaręczał, iż Henryk był wszystkiem zachwycony, że Polska przeszła jego oczekiwania, a wspaniałość przyjęcia Francuzów w osłupienie wprawiła.

— Nie nowina dla nich — mówił śpiesząc jak zawsze i sypiąc słowami jakby się lękał, by mu ich nie odjęto — nie nowina dla Francuzów przepych, złoto i srebro, ale takiej fantazyi cudnej, takiego wymysłu i rozmaitości, takiego kunsztu w barbarzyńskiej Polsce nigdy się nie spodziewali.

Krassowski nie mówił może wszystkiego co słyszał, lecz rokował jak najlepiej o przyszłości.

Orzeł, który stał na bramie w rynku, wesolo witając pana nowego skrzydłami trzepotał.

Wśród tysięcy ludzi, żadnego nie zgnieciono, nikt się nie poskarżył, nikt nie zginął.

Anna słuchała smutna trochę i zadumana.

W tym dniu o niej wcale mowy nie było jakby nie istniała. Kiedy przybyły miał ją powitać? nie śmiała pytać nawet.

Nazajutrz, z równym przepychem wedle starego obrzędu odbyć się miała koronacya, lecz noc, która ją poprzedziła, burzę się gotować zdawała. Ci, którzy Henryka wyborowi przeciwni byli, podszeptnęli dyssydentom, iż przy składaniu przysięgi wolność wyznań i sumienia pominęta być miała.

Nie było jej w prastarych formułach, bo wiara żadną reformą zagrożoną nie została, teraz zawarowano sobie w Paryżu dodatkowo przysiężenie dobitne zachowania praw wyznań od katolickiego się różniących.

Artykuł ten stał w wydanych przez króla poręczeniach i paktach, ale duchowieństwo katolickie chciało go pominąć milczeniem.

Kto podszeptnął Firlejowi, iż się to stać mogło i groziło? Kto wieść tę puścił z wieczora pomiędzy wodzów dyssydentów i poburzył nią umysły?

Na zamku już wieczorem przy uczcie różnowiercy się tem obeszali.

Nieprzyjaciele nieprzejednani Firlej i Zborowski, który króla na tron prowadził, zgodni w tem byli, że Henryk swobody dyssydentom poprzysiądz musiał.

Katolickie duchowieństwo wcale o tem nie zdawało się zawczasu uwiadomionem, Arcybiskup naturalnem znajdował trzymać się dawnej formy przysięgi, która mogła przejść niepostrzeżona.

Na przyszłość Henryk miał ręce swobodne, sumienie niezwiązane niczem.

Szeptano już dokoła stołu gotując się na dzień jutrzejszy, gdy król, Francuzi i duchowieństwo nie

miało najmniejszego przeczucia tego, co się gotowało na ostatnią chwilę najuroczystszą.

Kościół był przepelniony od rana, a ci, którym szło o to, aby wystąpić mogli z głosem i protestem, zawczasu sobie miejsce zabezpieczyli.

Król przywiedziony uroczyście do katedry zasiadł na przygotowanym tronie, królowna Anna zajęła ze swym dworem łóż jej przeznaczoną, z której raz pierwszy lepiej przypatrzyć się mogła temu, który dotąd zdawał się dla niej przeznaczonym małżonkiem.

Z obawą zwróciła wzrok ku niemu, patrzyła długo, zbladła i ukląkszy z zakrytą rękami twarzą modlić się zaczęła.

Rozpoczął się powolnie, uroczyście, śpiewami i modlitwami przerywany obrzęd koronacyjny. Cisza panowała w kościele, królowna modliła się ciągle, a krajczyna klęcząc za nią, łez się na jej oczach domyślała.

Nagle przerwano śpiewy. Prymas stał przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwę, król klęczał, oczekując na przysięgę, którą miał złożyć.

Jeszcze chwila i wszystkoby przeszło spokojnie. Wtem wśród momentu milczenia grobowego głos podniósł Firlej i wezwał króla, aby w przysiędze pokój dyssydentom zapewnił.

Duchowieństwo z arcybiskupem stało milczące. Na twarzach biskupów widać było przerażenie, jeden prymas pozostał na oko obojętnym. Niektórzy z pasterzów oczyma się porozumiewszy poczęli szeptać i coraz głośniejszy odzywać, iż stara forma zachowana być powinna. Za nimi głos podniósł Chodkiewicz.

Kościół, o zgrozo! zmienił się jakby w salę obrad łamiętych.

Z pośrodku tłumu wyrywały się coraz krzykliwsze:

— *Pacem inter dissidentes!*

Za Firlejem teraz wstał Mikołaj Radziwill, a nawet wojewoda sandomierski Zborowski.

Królewna w łoży klęcząca, przerażona, osłabła odchyliła się od okna, nie chcąc widzieć, ni słyszeć co się działo.

Dochodziło do niej głucho jakby warczenie z głębi tłumu, który napelniał kościół. Namiętne wykrzyki, spór, kłótnie, odbijały się o sklepienia kościelne.

Ciążba ciekawa cisnęła się ku wielkiemu ołtarzowi i kołysała jak fala burzą podjętą. Ponad nią widać było ręce podnoszące się do góry.

Groźby warczały w powietrzu.

— Przysięgać musil!

Francuzi obecni temu, wcale nieprzygotowani do tej sceny, nie mogąc przewidzieć końca, zgorzeleni wybuchem, stali przerażeni, dopytując; niektórzy z nich widząc w tem spisek i zasadzkę, chwyтали już za szpady.

Obraz był rzadki w dziejach. Sędziwy arcybiskup, klęczący w oczekiwaniu król, duchowieństwo nieposzanowaniem kościoła oburzone, dyssydenci tem zuchwalsi, iż się czuli mniejszością, pobożni strwożeni, bojaźliwi przewidujący skalanie miejsca poświęconego; wszystko to zmieszane razem, w tłumie ścisniętym walki na gorące słowa, ruch przy ciężbie gniotącej słabych, mogło najśmielszych widzów zastraszyć.

Dwukroć biskup chciał przystąpić do króla z dawną formą przysięgi, a krzyki namiętne nie dopuściły go.

Protestowano głośno.

— Nie przysięże pokoju, nie damy korony.

Około wielkiego ołtarza było samo ognisko tego boju. Oczy pałały, drżały ręce, szeptano, naradzano się. Henryk podnosił błagające oczy ku arcybiskupowi, zwracał je ku Zborowskiemu, ale Zborowscy też domagali się zaprzysiężenia pokoju.

Opór był tak gwałtowny, iż uledz mu stawało się koniecznością.

Henryk szeptał do stojących przy sobie, iż gotów

jest na wszystko. Nie podobna było przerwać w sposób tak gorszący rozpoczętego już obrzędu.

Arcybiskup uległ woli jego. Jeszcze w głębi kościoła trwały gorące utarczki między katolikami a dyssydentami, nie uspokoił się tłum, gdy król wyrzekł głośno owe żądanie:

— *Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo.*

Firlej, który stał najbliżej, podniósł się na stopień ołtarza i zawołał głosem donośnym.

— Senatorowie i posłowie! król złożył przysięgę żadaną, chcecie aby był ukoronowany?

— Przysiągł na pokój dyssydentom! — poczęła wołać szlachta niespokojnie.

— Przysiągł — odparł Firlej.

— Niech będzie ukoronowany! *Vivat rex! vivat!*

Arcybiskup włożył mu na skroń koronę Chrobrego, a w kościele długo jeszcze wrzawa się ukołysać całkiem nie dała.

Królownę Annę osłabłą wyprowadzono z łoży na zamek.

Zwycięztwo zostało przy różnowiercach, z wielką goryczą i upokorzeniem katolików.

Na chwilę zażegnane było niebezpieczeństwo, przywrócony pokój pozorny, ale chwilę takiej gorączki zawsze zostawiają po sobie niezagojone blizny.

Ci co się ścierali w kościele, pozostali wrogami; rozejm chwilowo zawarty zapowiadał wojnę długą, a pierwsze odniesione zwycięztwo wcale nie ręczyło za ostateczne następstwa w przyszłości.

W kościele wszyscy pozostali ze zburzonymi umysłami, z krwią zaognioną, z na pół w ustach przeciętymi wyrzuty wzajemnymi, które gdzieindziej wysypać się miały. Nikt nie był uspokojony, a duchowieństwo wrzało niechęcią przeciwko burzycielom powszechnego pokoju, chociaż oni należeli do najwyższych kraju dostojników.

Gdy po zasiądzeniu na tronie i odebraniu przy-

siąg od senatorów, król w stroju swym obrzędowym zasiadł z nimi razem do stołu, na twarzy jego i Francuzów widać było nietajoną już ich niechęć ku Polakom, i nieprzejednany wstręt, który się łączył z obawą.

Chwila ta rozstrzygnęła o dalszych stosunkach między obcym panem i garstką jego dworu a krajem, któremu przybywał panować.

Henryk doskonale udawać umiał uprzejmość, przedjednanie, wdzięczność, lecz w sercu jego była odraza do tych burzliwych poddanych, którym wcale już nie ufał. Francuzi otaczający go szli dalej jeszcze, milczeli z zaciętymi ustami, ale nieprzejednana nienawiść się w nich zrodziła. Spodziewali się tu uległości, znajdowali nieugięty opór. Sądząc się o wiele wyższymi od Polaków, nie mogli im tych wymagań przebaczyć.

Otaczający króla Polacy starali się dnia tego jeszcze zatrzeć wrażenie smutnej sceny koronacyjnej. Katołicy zrzucili całą winę na bezwstydną zuchwalstwo dyssydentów, Zborowscy starali się króla przekonać, iż chciano jego i ich oszukać.

Wśród tych uroczystości, które mało królowi zostawiały czasu dla zbliżenia się do Infantki, zwrócono wreszcie jego uwagę, że powinien był ją powitać. Czas i godzina wyznaczone zostały.

Z bijącym sercem Anna przygotowała się do tego spotkania. Ona i dwór jej musiały wystąpić z przepychem i wykwinnością, do których oddawna były odwykły.

Henryk, który w czasie tym właśnie krwią pisał listy do pozostałych w Paryżu kochanek, dla kobiet zawsze z nawykuienia był niesłychanie grzecznym. Natura i wychowanie czyniły go zalotnym, chciał się podobać i te nawet zdobywać serca, o które nie dbał wcale.

Ubrany jak laleczka, okryty klejnotami, woniejący, strojny, zręczny, mimo zużycia wczesnego ujmumy,

jący wdziękiem młodości, stanął przed poważną królową, starając się widocznie pozyskać ją sobie.

Jakoż ujął ją i oczarował nie tylko słodkimi słowy, jakimi ją przywitał, ale samym dźwiękiem głosu, uśmiechem i obejściem się pełnem pieśczołliwości jakiejś, która zachwyciła Annę.

Całą tę komedję zalotów wzięła ona za szczerą prawdę. Henryk wydał się jej niezrównanie pięknym, niewypowiedzianie łagodnym i miłym. Twarz jej mówiła mu jak wdzięcznie i serdecznie go przyjmowała. Rozmowa toczyła się po włosku, bo Anna mówiła doskonale tym językiem, Francuz zaledwie znośnie, ale umiał się ratować tak zręcznie uśmiechami i gestami, że się mało zdradził z tą niewprawą we włoszczyznę.

W czasie tych pierwszych odwiedzin, które dla zbyt zajętych godzin trwały zaledwie kwadrans, król, który rozmawiał więcej oczyma niż usty z królową, miał nadto czas przebiec niemi fraucymer, który jej towarzyszył, i znalazłszy wśród niego tę samą twarzyczkę cudownie jaśniejącą pięknoscią, która go w męzkim stroju w czasie wjazdu uderzyła mocno, dał poznać Dosi jak wielkie na nim zrobiła wrażenie.

Po wyjściu Francuzów, i Anna i Łaska i inne panie wybuchnęły z pochwałami dla niego, unosząc się nad tą galanterią w Polsce niewidzianą, grzecznością, słodyczą, obejściem, które upoiły wszystkie panie. Nie tała się królowa, że podzielała to ich zdanie o królu, i na chwilę także rozmarzyła się, dała uwieść nadziei.

Zdawało się jej, że i ona musiała na nim toż samo uczynić wrażenie, a towarzyszki potwierdzały to i radość dnia tego była powszechna.

Nazajutrz powtórzone odwiedziny, równie krotkie, w ciągu których król z większą poufałością, żartobliwie, wesoło starał się zabawiać Annę opowiadaniem o tem, jak go nowi dla niego ludzie, obyczaje, stroje zachwycali — potwierdziły i podniosły jeszcze dnia pierwszego uczynione wrażenie.

Anna modliła się dziękując Bogu i prosząc Go tylko, aby ten początek szczęśliwy nie prowadził do smutnego rozczarowania i zawodu.

Nie miała dotąd Henrykowi nic do wyrzucenia, był tak niesłychanie zajęty, umęczony, porywany, iż więcej czasu poświęcić jej nie mógł.

O ożenieniu, które miało być włożone w pakta i poręczone, jakoś dotąd nie mówiono wcale, nie ukazywało się ono nawet na bardzo odległym horyzoncie. Milczeli wszyscy, ale honory oddawane Infantce, znalezienie się króla, zdawały poręczać za nie.

Rzeczywiście zaś nikt dotąd ani słowem o tem nie śmiał napomknąć Henrykowi, a on umiejętnie bardzo uprzejmością, zwłokę starał się osłodzić.

Anna za siebie upomnieć się nie mogła. Bliżsi jej zdawali się pewni szczęśliwego końca. Biskup chełmski, pani Łaska, Chodkiewiczowa i inne przypuszczane do królowej, ciągle zmuszały ją rumienić się, czyniąc alluzye do małżeństwa i domniemywając się, iż Anna bardzo życzliwą była dla przyszłego pana.

Było to powszechnie uznanem i przyjętem; chodziły gadki po dworze całym, że królowna sprzyjała wielce Henrykowi, że on się jej podobał, że była nim zachwyconą.

O nim nie mówiono wcale.

Tymczasem uroczystości, turnieje następowały jedne po drugich... król musiał występować wszędzie. Anna także ukazywała się tam chętnie. Zamieniano ukłony i uśmiechy.

Gdy się zdala spotykali z sobą, a Henryk zobaczył królową, pozdrawiał ją publicznie z największem poszanowaniem i uprzejmością, Anna rumienila się jak młode dziewczę.

Coraz żywiej zajmował ją widocznie, trudno to ukryć było — dwór oczarowany wtórował jej gorąco.

Z najmniejszej drobnostki wyciągano wnioski, tłóaczono słowa, nadawano znaczenie wejrzeniom ru-

chom i starano się w królewnie uczucie rodzące się ożywić.

W ostatni wtorek Anna wraz z królem znajdować się miała na weselu u Zborowskich, którzy opóźniwszy się na wjazd, teraz z całym przepychem pańskim swojego domu występowali sami jedni.

Do dworu Henryka przyplątał się był od dni kilku Włoch, który dowcipem, maszkarami, odegrywanemi małemi scenami, figlami różnemi króla i panów zabawiał. O tym signorze Paolo Magnifico, którego ponfalej zwano Mago, zdania były podzielone.

Jedni mieli go za prostego trefnisia i kuglarza, który za zarobkiem gonił, drudzy podejrzewali, nie bez przyczyny, iż był szpiegiem książąt włoskich (toskańskich), którzy radzi byli wiedzieć, jaki obrót na dworze polskim miały nadać okoliczności stosunkom Henryka i Infantki.

Wszyscy jednogłośnie sławili Włocha jako niesłychanie zręcznego, śmiałego dowcipnisia, który śpiewał doskonale, błaznował, głosy różne udawał, na cytrze grał, tańczył, maski w rozmowy improwizowane wprowadzał i sam z niemi sceny zabawne odegrywał, tak że najsmutniejszych mógł do weselości zmusić.

Śmieli się z niego nawet ci, co go nie rozumieli, tak wiele i dobitnie sama twarz jego mówiła.

Mężczyzna był urody pięknej, gibki, zręczny, mający talent Włochom łatwo przychodzącej mimiki, rozwinięty do wysokiego stopnia, a szczególnie zdumiewający śmiałością i rzutkością słowa.

Półtrefniś Mago korzystając ze swej roli, pozwalał też sobie wiele.

Miano dawać do stołu, królowna otoczona paniami swemi wyszła tylko co na pokoje, gdy jej oznajmiono Włocha Mago, jako posła od króla, a wnet za pażem wpadł signor Paolo z ukłonami do ziemi, ze śmiechem, a potokiem słów, który całe towarzystwo do zapustnej weselości nastroił.

— Miłościwa królewno — zawołał od progu — jestem posłem nie tylko króla ale wesela! Za mną idą w ślad śmiechy i pustota! Są to dni, w których Kościół pozwala figle stroić, nim głowy popiołem posypie, a Najjaśniejszy król polski radby ani jednej posępnej twarzy nie widzieć w całym swym państwie. Przynoszę pozdrowienie od stęsknionego pana, którego senatorowie nudzą, aż go uszy od mów bolą. Sam nie mógł przybyć, niestety...

Królewna przyjęła go uprzejmym uśmiechem.

— Jakże się wam Polska wydała po Włoszech? — spytała.

— Cudownie — rzekł Mago — ale więcej w niej złota niż słońca, i futra, niż gorąca. Naród rycerski, a śmieje się bardzo ładnie!

Króla dziś — dodał — w rynku miasto przyjmuje, gdyby napalić choć kazali. Prawda, że tu w złotych dzbanach płynny ogień leje się obficie.

Misy już na stół podawać zaczęto i panie stanęły przy swych krzesłach, a królewna z Włochem rozmawiając i słuchając dowcipów jego, nie myślała siadać.

Sądziła może, iż go rychło odprawić potrafi. Włoch chciał dłużej pozostać i rachował zapewne na przypuszczenie do stołu.

— Miłościwa pani — odezwał się ciszej — polewka stygnie, a wy nie śpieszycie do niej? Miałoby być powodem tego zadumania, że wczoraj król dotknął jej ręki?

Zarumieniła się niezmiernie Anna, usłyszawszy śmiały ten wykrzyk, ale może nie było jej przykrem, że upatrywano między nią a Henrykiem zawiązujące się bliższe stosunki.

Kazała stolik nakryć przy sobie dla Włocha, który nie przestał prześladować ją Henrykiem, dając do zrozumienia, iż i on zajęty jest Infantką.

Od trefuisia trzeba to było przyjąć bez gniewu. Mago razem jadł, pił za zdrowie króla i ośniewał się

prosić Anny, aby i ona razem to drogie wychyliła zdrowie, czemu się ona wcale nie opierała.

Zmusił potem wszystkie panie, aby i one za pomysłność tak pięknego, młodego i tak dziwnie dobrego króla wychyliły kubki.

Naprzeciw niego w końcu stołu siedziała Dosia, którą Włoch tak jakoś ścigał oczyma napastliwie, jakby do niej też miał szczególne poselstwo. Nie przeszkadzało mu to bawić Infantki, rzęcać dowcipami, odegrywać zarazem rolę starych, młodych, dzieci i pań, których głosy przybierał z kolei.

Ze wszystkich siedzących u stołu, tylko królowna, dwie panie cokolwiek i Zagłobianka rozumiała dobrze po włosku. Parę też razy wnięszala się do rozmowy bardzo zrzęcznie, co Włocha jeszcze więcej ożywiło.

Rzucił jej przez stół parę komplementów, które zapłaciła śmiałością wejrzeniem.

Pod koniec obiadu nadworowawszy przy królownie, coraz coś nowego wymyślając dla zabawy, Mago począł biegać około stołu i z mimiką przedstawiać razem dwu kłócących się z sobą o piękną panią młodzieńców. Zmieniał tak twarz, postawę i głosy, że w istocie zdawało się mogło, iż nie on jeden, ale dwu innych było ludzi. W tej wędrówce około stołu, skończywszy scenę wybornie odegrywaną, za którą królowna podarek kilkadziesiąt skudów wartujący przynieść mu kazała, Mago znalazł sposobność rozmówić się z pięknym dziewczęciem, tak że nikt nie spostrzegł tego.

— Signorina! — rzekł żywo — klękę się na piękne oczy twoje, iż mam do was polecenie, ważniejsze może niż to, które królownie przyniosłem.

— Do mnie? od kogo? — przerwała dumnie Dosia.

— A! nie marszczcie brwi tak groźnie! Cześć wam to przynosi — zawołał Mago. — Król sam rozmiłowany jest w was.

— Czy to żart zapustny? — odparła Zagłobianka.

— Nie, najrzetelniejsza prawda! Gdym odchodził szepnął mi, abym przy podanej zręczności oduił wam westchnienia od niego.

— A was wybrał za posła, was co śmiech nie westchnienia nosić zwykliście?

— Jak gdyby westchnienie w radość i szczęście się zmienić nie mogło? — rzekł Mago śpiesznie. — Mnie zlecono tylko odnieść, że jesteście bosko piękna, czy równie okrutna?

— Zgadliście — rozśmiała się Dosia — mężczyźni nie wierzę żadnemu.

— Ani królowi?

— Mniej niż innym! bo dla nich ludzie zabawkami.

Włoch więcej mówić nie mógł.

Po obiedzie trwała jeszcze rozmowa ożywiona bardzo z godzinę, a królowa z początku dosyć milcząca, powoli tak jakoś dała się Włochowi ożywić, iż z ust jej nśmiejch nie schodził.

Mago, który może nie bez przyczyny przypisywał to częstemu przypominaniu Henryka i zręcznemu prześladowaniu nim królowej, nie przestawał mówić o nim, wynosząc dobroć, słodycz i szczodroblivość jego pod niebiosą.

Niewiadomo jak długoby Mago pozostał tu ujęty łańcuchem, który mu Łaska przyniosła, gdyby dwóch królewskich posłańców nie przybiegło po niego. Czas nadechodził, gdy Henryk wprost z Rynku, na którym przyjmował hołd miasta Krakowa, miał się udać na wesele do Zborowskich.

Królowa być tam miała także.

— Poprzedzę W. Kr. Mość — odezwał się zegnając Włoch — i wiem, że będę dobrze przyjętym, gdy przyniosę wesolą nowinę, iż król widzieć was tam będzie.

Odmłodzona, odżywiona Anna poszła się stroić i, co nigdy nie bywało, troszczyła się o swe ubranie, pytając Łaskiej jak ma włosy utrefić, co włożyć na

głowę i jaka suknia najlepiej przystanie jej, tam gdzie się jako królewna odznaczyć czemś musiała.

Ze skąpo pozostawionych córkom przez Bonę klejnotów, które na odjezdne niechętnie im wydzieliła, musiano dobyć najpiękniejsze, najdroższe, bo Henryk zawsze najwytworniej był przybrany, z niewieścią elegancyą, a kolczyki jego z dużych pereł w jednych podziwienie, u drugich śmiech pobudzały.

Nie lada to było wesele panów Zborowskich, na którem król i królewna znajdować się mieli. Rodzina, która się tem szczyciła, że ona tron polski dała Henrykowi, zawsze ze krwi i ducha była butną i nikomu nad sobą przewodzić nie dała. Powodzenie jakiego doznała czasn elekcji, pokonawszy cesarskich i cesarza, wbijało ją w tem większą dumę.

Zdało się panom Zborowskim, że oni teraz w tem królestwie obok Tarnowskich, Tęczyńskich, Melsztyńskich i najstarszych rodów zając miejsce byli powinni. Jastrzębiec nie wydawał się im gorszym od Topora i Leliwy.

Mniej dotąd na widoku ród panów Zborowskich i w dostatki urósł i w dumę z nich a siły swej niezmierną. Obok niej mieli Zborowscy to co ją podwaja: śmiałość, odwagę, powiedzmy, zuchwalstwo ogromne. Wszyscy ludzie rycerscy, silni, odważni, nieuleknieni, mieli temperamenta warcholów, którzy gdy nie mogą bić się i walczyć, tęskno im, a gotowi szukać powodu, aby dobyć szabli i ująć za toporek.

Tam gdzie kilku Zborowskich głos podniosło, nikogo już więcej słyhać nie było, tak, nawet spokojnemi będąc, wykrzykiwali.

Wszyscy lubili błyszczeć, popisywać się, przodem iść, nikomu przed sobą nie dać wziąć kroku. Mówiono, że na wjazd królewski spóźnili się nie przez winę że się źle obrachowali, ale umyślnie, aby teraz sami występując z rycerstwem nadwornem okrytem stalowymi kolczugami, błyszczącemi jak srebro, popisować się mogli.

Na wesele to, które król i co było naprzędniejszego w królestwie zaczeczycić mieli swą przytomnością, nie żalowano nic. Nietylko gości, ale gawiedź miejską, która kamienicę oblegała, karmiono i pojono kosztem nowożeńca. Stawiono jej beczki po beczkach, aby wiwaty pod oknami wykrzykiwała.

Dwór i służba w szkarłatach od srebra i złota, z królewską mogła iść o lepszą. Wesele to Kraków miał długo pamiętać, bo podobnego mu nie widział oddawna.

Wprost z Rynku, gdzie na majestacie zasiadał, Henryk poszedł do kamienicy Zborowskich, za ledwie strój uroczysty zamieniwszy na nieco lżejszy. Towarzyszyli mu wszyscy jego Francuzi, Pibrak, który był nieodstępny, bo zawsze prawie za króla głos zabierał, książęta i panowie, z podziwieniem ale z niezbyt ukrywaną ironią przypatrujący się polskiemu obyczajom, wydającym się im dziwnymi trochę.

Raził ich jaskrawy przepych polskich pauów, serdeczna otwartość, swoboda i rubaszość słowa, ta szczerość wielka, z jaką tu miłość i nienawiść się wyrażała na nic nie oglądając.

Oni mieli doskonale przymilać się nienawidząc, nśmiechać, gdy gryźć chcieli, kłamać usty, oczyma, słowem i postawą, gdy tu wszystko leżało jak na dłoni. Nie napadano po kryjomu i po ciemku, nie zabijano po kątach, ale codzień i na ulicach i po domach zrywano się do szabel, a potem często ludzie sobie padali w objęcia i przyjaźń poprzysięgali.

Francuzom się to wydawało śmiesznem i zbyt prostodusznem.

Scena w czasie koronacyi w kościele zostawiła po sobie w początku i kwasy i obawy, które się powoli zacierać i łagodzić zaczynały. Francuzi jednak po zostali nieufni, podejrzliwi i niechętni.

Po królu, który lepiej od innych komedję grać umiał, trudno było poznać co się w duszy jego działo. Przed polakami zaręczał, że zapomniał o wiel-

kiej doznanej przykrości, do której powodu nie dał. Dwór jego mileżał grzecznie i unikał o tem wzmianki. Na twarzach, gdy cokolwiek się zapomnieli Francuzi, widać było niepokój i obawy.

Wielu z tych, którzy tu pozostać obiecywali przy królu, zaczynało pod rozmaitemi pozory wybierać się do Francyi.

Stosunki z nią, pomimo dosyć utrudnionych przez Niemcy podróży, były niezmiernie ożywione.

Mówiono, że król wszystkie wolne chwile spędzał na pisaniu listów do matki i kochanek. Codzień przybiegali posłańcy, codzień ztąd wyprawiano za ledwie wypoczętych.

Czuć było, że Henryk całą duszą i sercem był nad brzegami Sekwany i że stokroć go więcej obchodziło to co tam niż co w Polsce i Krakowie się działo.

Gdy listy przywożono, gdziekolwiek się król znajdował, natychmiast mu je przynosić musiano, a gdy dnia którego brak ich było, tęsknił i niepokoił się.

Panowie senatorowie widzieli dobrze, iż Henryk dotąd ze sprawami polskimi wcale się nie obezwał i nie brał ich do serca, ale obiecywali sobie, iż się to z czasem zmienić musiało.

Zabawiano go, rozrywano, czynił każdy co mógł, ażeby król się nie nudził i nie tęsknił po Paryżu.

Do Żyrowskich, oprócz liczego dworu polskiego, wszyscy Francuzi zaproszeni tłumnie się zebrali.

Zdawało się, że od koronacyi dali sobie słowo na chwilę pana swego nie opuszczać i czuwać nad nim, jakby się obawiali Polaków.

O ile sam król był grzecznym i uprzejmym dla wszystkich, towarzyszący mu książęta i dwornia jego butą i lekceważeniem zrażała Polaków. A że się z niemi trudno było porozumieć, bo języka nie rozumieli, a nie wszyscy łacinę znali, nieustanne ztąd wynikały nieporozumienia.

Gdy króla wprowadzono na pokoje, a państwo

młodzi i rodzina ich otoczyła go, zaczęto obnosić wino i słodczyce, odezwała się muzyka, młodzież zabierała się do tańca, ale król oświadczył, że potrzebuje spocząć nieco. Posadzono go więc na przygotowanym tronie w głębi sali i około niego co było przedniejszych osób zbierać się zaczęły.

Henryk udawał ożywionego, wesołego, wszystko niepominiernie wychwalając.

Trochę późno ukazała się ze swoim fraucymerem wybranym, z Zosią Łaską, z Dosią Zagłobianką, z krajczyną i z kilku starszemi paniami, poważna królewna Anna.

Weszła na pokoje wprowadzona przez gospodarzy, zmięszana nieco, a król z uprzedzającą grzecznością natychmiast zbliżył się aby ją powitać.

Z boku stojący mogli wnosić z jego postawy, iż wielce pragnął ująć sobie Infantkę, a na jej też twarzy widać było radość z tego i rozpromienienie.

Pomimo tej dobrej zgody dwojga, jak sądzono powszechnie, przyszłych małżonków, jedno spojrzenie na nich, ogromną różnicę ich wieku dostrzedz dawało.

Świeża jeszcze, ale resztkami tylko młodości kwitująca Jagiellonka, obok Henryka wydawała się starszą, on przy niej wyrostkiem zaledwie. Strój obcisły, elegancki, ale wyszukany po niewieściemu, wstążki, koronki, klejnoty, utrefienie włosów odmładzały go jeszcze.

Ironiczny uśmiech mógł uchodzić za serdeczność i dobroć, Anna się nim łudziła, lecz starsi ludzie patrząc zdala potrzásali głowami.

Rozmowa z Infantką wpośród tłumu ciekawie się jej przypatrującego, bo podsłuchać dla gwaru i muzyki było trudno, zdawała się obrachowana nietylko na ujęcie jej, ale na okazanie wszystkim, iż Henryk myślał o spełnieniu swych zobowiązań—o ożenieniu.

W myśli Henryka i Francuzów było to tylko fortem potrzebnym dla pozyskania czasu. Wiedzieli,

choć z krótkiego doświadczenia, że w Polsce brano wszystko za dobrą monetę.

Odprowadziwszy Annę na miejsce dla niej i pań jej przeznaczone, Henryk z Francuzami w tłum się wmieszał, z przyjemnością widoczną przypatrując pięknym twarzyczkom dziewcząt i pań polskich, których ciekawe oczy ku niemu skierowane były.

Ze wszystkich jednak, Dosia najwięcej Henryka ku sobie pociągała, może tem, że ją naprzód w ulicy widział w męzkim stroju. Dworacy już się dla niego dowiedzieli o jej sieroctwie, charakterze, niepospolitem wykształceniu, umiejętności języków, i Villequier ulubieniec pański, szczególniej sprawami serca i miłostkami króla zajęty, powtarzał, że to była losem dla niego wyznaczona kochanka.

Wcale Francuzów nie zdawało się zrażać, gdy im zaręczono, że panna była dumną i nieprzystępną.

Wśród tańców, przeznaczone dla zabawiania gości na różny sposób maszkarady różne przybywać zaczęły i miesząc się z tłumem, figle, wyprawiać, dowcipnemi słówkami drażnić.

Domyślano się pomiędzy temi maskami Maga i jego towarzyszków, o których król wiedział i życzył sobie, ażeby się tu znajdowali dla rozbawienia towarzystwa, lecz oprócz Włochów, których liczba była wiadomą, masek daleko więcej znalazło się wkrótce.

Pibrak, Bellievre (poseł francuzki), Villequier, Souvray i inni mieli baczność na pana, aby nie każdemu dozwolić się do niego docisnąć, lecz nie mogli od napastujących masek obronić.

Jedna szczególnie, zdająca się młodym chłopakiem, zręczna, gibka, przeciskała się przez najciaśniejsze gromadki, wślizgała między stojących szczelnie, i długo tak przewijając, potrafiła w końcu dostać do Henryka.

Zręczna ta figurka wprzód już musiała na siebie zwrócić jego uwagę i wydać mu się niestraszną, gdyż zbliżającą się zaczął. Król zmuszonym tu był

posługiwać się językiem włoskim, który daleko więcej osób rozumiało niż francuzki. Na zapytanie rzuczone za kim goił i kogo szukał, zagadnięty odparł po francuzku.

— Ciebie, najjaśniejszy panie.

Dźwięk mowy był tak czysty, jakby nie z ust cudzoziemca wychodził.

— Masz co do mnie?—zapytał król.

— Bardzo wiele, gdyby po temu czas i miejsce było!—zawołał zamaskowany.

Henryk popatrzył bacznie, maska wesoło podrygując mówiła dalej.

— Żal mi was, najjaśniejszy panie!

— Mnie?

— A! tak! grozi ci tu więcej niebezpieczeństw, niż twoi przewidują, niż ty sam domyślać się możesz.

Henryk spoważniał.

— Chcesz mnie nastraszyć — rzekł — ale wiedz, że to nielatwo.

— Wiem, że masz mężstwo—poczęła maska—ale nie dosyć odwagi, potrzeba ostrożności.

Widzisz tę kobietę, którą ci, jak na szyderstwo przeznaczają na żonę, gdy ona matkąby ci być mogła. Wiesz, jaką była jej matka i co ona po niej wzięła w spuściznę?

Bona wojowała trucizną i czarami, a to nieodrodną jej córka.

Całemu światu wiadomo, że ona otrula brata, aby po nim skarby odziedziczyć; wszyscy wiedzą, że czarownicą jest, że czaruje niepochwyconemi sposobami.

Henryk pobladł, zwrócił oczy na maskę, ale nie odpowiedział.

— Strzeż się jej, nie zbliżaj! pamiętaj... Usidli cię, opanuje...

Pierwszy to raz do uszu Henryka dochodziły te potwarze i nie dziw, że na nim głębokie uczyniły wrażenie, tak że odpowiedzieć nie umiał, i nim się

zebrał na słowo, maska wśliznęła się szybko, wmięszała w tłum, znikła.

Villequier stał niedaleko, Henryk szepnął mu, aby się starał uchodzącego zatrzymać i dowiedzieć kto był, lecz nim Francuz zdołał się za nim przecisnąć, maski nie było już śladu, dopytywani o nią wszyscy się tem składali, że nieznaną im była.

Henryk nie wziął może bardzo na seryo tych ostrzeżeń, ani im dał wiarę, chociaż powodów i celu takiego oszczerstwa trudno mu było dociec, zawsze jednak śmiała ta potwarz utkwiła w jego pamięci. Rzucił wzrokiem na poważną Annę i myśl ta, że czarownicą trucicielką być może, inaczej mu teraz wyraz twarzy jej tłumaczyła.

Niczego naówczas nie lękano się tak jak czarów i uroków, tych tajemniczych środków pozbywania ludzi, przyciągania ich ku sobie, władania nimi, które znane być miały adeptom czarnego kunsztu.

Musiał jednak król, którego wkrótce otoczyli panowie, przybrać znów wesołe oblicze, i nie dawać poznać po sobie, iż trwogę miał w sercu.

Nie zbliżył się już do Anny, natomiast Villequier wypatrzywszy chwilę, gdy Dosię Zagłobiankę do tańca wzięto, podprowadził tak Henryka, aby mógł z nią zawiązać rozmowę.

Nikogo ona dziwić nie była powinna, bo wiadano, że Dosia jedna prawie z kobiet umiała po francuzku, a to starczyło, aby króla ku sobie pociągnąć mogła.

Zagłobianka widziała, że się ku niej Henryk przybliżał, udawała jednak, iż się tego nie domyśla, i gdy Henryk zagadnął ją tem, że czasu wjazdu widział po mężku przebraną, odparła zarumieniona.

— Wiadomo światu, że kobiety są bardzo ciekawe.

— Cieszę się z tego — odparł król — bom miał sposobność widzieć najpiękniejszą z kobiet, w najlepszej jej służącym stroju.

Dosia spuściła oczy.

— Nie powinnabym się przyznawać do popełnionej winy—rzekła—ale mam nadzieję, że W. K. Mość ani mnie karać, ani wyśmiewać nie zechcesz.

— Ja? — zawołał król — przeciwnie, na wszystkobyhm wam pozwolił, byle łaskę pozyskać.

— Łaskę?—rozmiała się Dosia, kryjąc twarzyczkę wachlarzem, a z ukosa spoglądając na króla.

— Wierście mi—pośpiesznie, korzystając z czasu, dodał Henryk—że mi wielce o to chodzi. Wy tu jesteście jedyną, na którąby po dniach całych patrzeć się chciało.

To mówiąc król, któremu Villequier dawał znaki, aby rozmowy nie przedłużał, pochylił się jeszcze do Dosi, szybko coś szeptać jej zaczął, i oddalił się żywo, bo już oczy na nich się zwracały.

Nie zdziwilo to przecież tak bardzo nikogo, iż król do ładnego dziewczęcia przemówił słów parę, zwłaszcza, że naprawiając to, zwrócił się do kilku innych pań z grzecznościami, aby dane pierwszeństwo jednej nie raziło.

Poza tańczącymi stał nieszczęśliwy Talwosz. Inaczej go teraz nazwać nie było można, istotnie był nieszczęśliwym.

Kochał Dosię całą siłą serca, a nie szło mu nawet o to, aby ją dla siebie pozyskał, trwożył się, ażeby ona nie upadła i w oczach jego nie została zrównaną z temi, ponad które on ją tak wysoko wynosił.

Czuł i przewidywał, że się jej główka zawrócić mogła, a Zaglobiance słowa powiedzieć nie było można, tak siebie pewna szła, nie zważając na nic.

Napróżno chciał sobie tłómaczyć Talwosz jej powolność dla króla tem, że dla Anny u niego pożyteczną być zamierzała. W oczach jej, w wyrazie twarzy czytał jakiś poczynający się szal, jakąś zapowiedź zapomnienia się i rzucenia w przepaść.

Od Francuzów łatwo się było dopytać, jakie życie i obyczaje panowały we Francyi, sami się oni

z tem zdradzali. Talwosz wiedział, że kobiety były płochę, a mężczyźni w stosunkach z niemi zuchwali.

Drżał z obawy o Dosię.

Jak tylko mógł później zbliżyć się do niej, nie strzymał tego, co mu serce przepępniało.

— Panno Doroto — rzekł — winszować czy boleć, nie wiem, ale król widocznie za wami goni... Jemu się nie dziwuję, ale dla was...

Odwróciła się gniewna.

— Cóż dla mnie? — odparła szydersko. — Sądziecie, że zaszkodzić mi to może nawet, gdy kto spojrzy na mnie.

— Jest taki wzrok co zabija, powiadają — odezwał się Talwosz — to wzrok bazyliuszka, ale jest i taki co płami.

Oburzona zmarszczyła się dziewczyna.

— Wstąp wpań do klasztoru, abys miał prawo na weselach prawić kazania! — rzekła śmiejąc się ale gniewnie. — Narzucasz mi się za opiekuna, nie mogąc być czem innem.

— Przyjacielem byłem i będę, choćbyście na mnie kamieniem rzucali — rzekł kłaniając się Litwin — od was przyjmę wszystko, kiedyś poznacie mnie lepiej.

Zagłobianka zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Talwosz milczał i usunął się.

Zabawa nadzwyczaj ochocza, coraz się stawała bardziej ożywioną, ale król pod pozorem znużenia dłużej zabawić tu nie chciał. Poszedł pożegnać królową, chociaż nie zbliżył się już do niej i ukłonem tylko uprzejmym uszanował. Zaraz potem w towarzystwie swoich Francuzów i Tęczyńskiego młodego, przeprowadzony przez Zborowskich wysunął się do oczekującej kolebki.

Wiedzieli już panowie Zborowski, i Tęczyński ten przez króla do osoby jego przywiązany i marszałkiem lub podkomorzym mianowany, co w nich zazdrość obudzało.

Stary ten ród zajmujący znowu stanowisko naj-

bliższe króla był solą w oku Zborowskim, którzy sobie pierwsze prawa rościli do otoczenia Henryka i zawładania nim.

Samuel, który odwiódłszy do kolebki króla, pozostał chwilę z braćmi u drzwi, nasrożył się okrutnie.

— Patrzcie no ich! ledwieśmy parę dni zaspali, już się wcisnąć, przypochlebić i uprzedzić nas potrafili. Lecz, na Boga, mylą się sądząc, że oni nas zepchnąć potrafią poza siebie. Wiemy co nam należy, a nie zechce król czynić co powinien dla nas, damy mu się lepiej we znaki, niż na koronacyi.

Daliśmy mu koronę, to ją zdjąć też potrafimy.

Wrzał pan Samuel, starano się go powściągnąć, bo ludzi wielu słuchało, ale na to on baczenia mieć nie chciał.

— Wszystko to sprawy są katolików — przerwał któryś z dyssydentów — nie o panów Zborowskich chodzi, ale o njarzmienie sumień naszych i o wprowadzenie inkwizycyi, albo o rzeź taką jaką w Paryżu zarządzili! Król przysiągł, ale go z przysięgi papież rozwiąże, byle się pozbyć nienawistnych.

Ani pora, ani miejsce było do podobnej rozprawy, którą dochodząca otwartemi drzwiami wesoła muzyka głośzyła. Nie odpowiedział więc pan Samuel, ale na twarzy jego namiętne widać było poruszenie.

Wszedł z braćmi napowrót do izb przepelnionych jeszcze gośćmi, którzy nie zdawali się zważać na to, iż północ nadchodziła, a z nią post wielki się rozpoczynał. Z pewną ostentacyą chciano tańcami przeciwko surowemu zachowaniu katolickiej powściągliwości protestować.

Na dzień następny w zamku miasto innych zabaw rano był turniej zapowiedziany, a król sam obiecywał wziąć w nim udział, biegając do pierścienia i chcąc w tem zręczność swą okazać.

Samuel Zborowski spodziewał się znaleźć przeciwnika godnego siebie i zetrzeć się z nim w turnieju.

Noc popielcowa, która wesołe krakowskie zamykała zapusty, mało komu zasnąć i spocząć dozwoliła. Jedni potrzeboweli rozprawić się z przeszłością i ocenić to co przeżyli, drudzy obmyśleć co mieli jutro poczynać.

Od pierwszych dni to uważano, że młody król i jego towarzysze Francuzi z niecierpliwością wyglądali zawsze chwili, gdy mogli sami z sobą pozostać.

Jeżeli choćby jeden Polak, nawet tak miły królowi i zaufany jak Jan z Tęczyna, był z nimi, Francuzi wstrzymywali się, miarkowali, na pół przegryzali słowa, spoglądali na siebie i zamykali ostrożnie. Chwalili wszystko.

Dopiero gdy pozostali sami, gdy Henryk miał tylko około siebie swą wierną służbę przywiezioną z Paryża, straż pilnowała drzwi, i w pokojach królewskich rozpoczynały się żwawe rozprawy, śmiechy, swawole, a niekiedy wrzawliwe rozmowy, w których podsłuchujący podedrzwiłami pięknych i ciekawych rzeczy mógł się o Polakach dowiedzieć.

Prawda, że nie lepszych może o Francuzachby się nasłuchał, tam gdzie Polacy sami byli, a obyczaj ich i sprawy przyszło im sądzić.

Król, który już po owej burzliwej koronacji ręczył, że zapomniał o wszystkiem i przebaczył co doznał, w rzeczy zachował na dnie serca żal i pragnienie odwetu. Chwila ta wpoila w niego dla narodu, któremu miał panować, niechęć i odrazę do niego niepokonaną.

Dworacy nietylko mu wtórowali, ale szli daleko dalej od niego. Pomiedzy niemi nie było ani jednego, któryby się starał pojednać, złagodzić, wytłómaczyć, wszyscy obwiniali. Czuli oni i Henryk że długo tu żyć nie potrafią.

Tęsknota za Francją rosła razem z nowinami odbieranemi, które donosiły o złym stanie zdrowia Karola IX, a nie było wątpliwości, że królowa matka

w razie katastrofy, choć oddalonego będzie się starała na tron wprowadzić Henryka.

Błysk tej, choć jeszcze oddalonej nadziei, czynił Polskę i koronę czemś tak mało znaczącem i tymczasowem, że tu na przyszłość wcale pracować nie chciało. Szło tylko o to, żeby przeżyć jako tako, a dworacy króla starali się mu ten czas pokuty uczynić znośnym.

Z Francuzów, kto tylko mógł i znalazł najmniej pozór, wymykał się nazad do Francyi, nie zapominając z sobą zabrać prezentów, jakimi go w Polsce obsypano. Odjeżdżającemu zazdrościli pozostający.

Króla nazywano pocichu męczennikiem. Henryk tęsknił za kochankami opuszczonemi, do których krwią wyklutą z palca pisał listy, wzdychał do porzuconych nad Sekwaną faworytów, wzdrygał się na piwo polskie, które czasem brał do ust dla przypodobania się panom i szlachcie, i był najnieszczęśliwszy.

O zameźciu z Anną ani mowy być nie mogło.

Gdyby mu nawet nie podszeptęto, że była czarownicą i że otrula brata, sam widok niemłodej, smutnej, poważnej kobiety, dla płochego pana był wstrętnym.

Lecz właśnie dlatego, iż się wcale żenić nie myślał, musiał być dla niej niezmiernie uprzejmym, postanowił nadskakiwać, chciał ją tem uspić.

Później spodziewał się z tą garstką panów, która małżeństwo widziała również niepolitycznem, bo chciała ożenienia, któreby dynastycę zapewnić mogło, uwolnić się z więzów przyrzeczenia, a Annie zapewnić był spokojny.

W pierwszej tej chwili nagle nie godziło się wystąpić, Henryk więc wyrachowanie musiał tak się obchodzić z Infantką, jakby w istocie o ożenieniu z nią myślał.

Nie dziwnego, iż się tem nietylko królowna złudzić, ale dwór jej dał zupełnie obalamucić. Panie wszystkie prorokowały ożenienie i szczęście wielkie.

Anna uśmiechała się milcząca.

Czasem ją ostrzegało to co przeżyła, iż ludzi się nie powinna była, ale marzenie zbyt było słodkiem, aby mu się nie poddać.

Donoszono jej skrzętnie o wszystkim, co mogło dowieść, iż Henryk się nią zajmował, krajczyna nie wątpiła, że musi się żenić. Wielu panów senatorów było tego najmocniejszego przekonania. Stał przecie gdzieś ten warunek w podpisanych zobowiązaniach.

Po weselu u Zborowskich król powróciwszy na zamek, pod pozorem wielkiego znużenia, natychmiast panów polskich odprawił, nawet Tęczyńskiego, Francuzi z nim pozostali sami; był to moment dla nich, w którym dopiero się rozpasać i usta śmiało otworzyć. mogli.

O obrzędzie hołdu w Rynku niewiele się dało mówić: był świetny i nużący; zato wesele wcale różne od francuzkich, o wiele rubaszniejsze, dziwiło razem i śmieszyło.

Stroje pań podstarzałych wedle krajowej mody, niektóre czółka wysadzone jeszcze z XV wieku pochodzące, suknie kosztowne nieteraźniejszym krojem, wszystko aż do form tańca i muzyki dla Francuzów dziwaczne i śmieszne się wydawało.

Zborowskich jaskrawy przepych, popis z bogactwy, zuchwałe ich mowy i obejście się, mowa krzykliwa ulegały krytyce.

Villequier nie mógł się wydziwić niezmiernej ilości piwa, jaką Polacy w siebie wlewali i przyprawom potraw, których dla pięknych korzennych sosów w usta wziąć nie mógł.

— Al — zawołał król, który już się nie potrzebował pomiędzy swojami ze zdaniem kryć i wszystko chwalić — powinniście sobie panowie powiedzieć, iż jesteśmy w kraju niedźwiedzi i nie dziwić się już niczemu. W czasie wjazdu widzieliście przecie wśród pacholków, nie wiem którego wojewody niedźwiedzia

na koniu z tarczą w łapach, był to obraz kraju i jego mieszkańców najwierniejszy.

— Ba!—przerwał niemłody już siwiejący, ale żywy i ruchawy doktor królewski Miron.—Bądź co bądź kraj to ciekawy. Z pomiędzy panów mało który nie zna i obcych państw i cudzych języków, wszyscy wiele widzieli i uczyli się, a żadnego z nich to nie przemieniło. Klimat ich chyba takimi czyni.

Król stał zadumany.

— Kobiet pięknych jest dużo—rzekł cicho.

— A!—przerwał Villequier—cóż po tem, wszystko to zimne, nieokrzesane, naiwne, aż do śmieszności, a galanterya, słodkie słowa dla nich stracone. Paryżka mieszcanka więcej ma dowcipu niż te panie najświetniejszych imion.

— Wyjątek musicie uczynić—odezwał się król—dla tej panienci z francymeru Auny, która Paryżanką i księżniczkąby być potrafiła, nie tylko pięknoscią ale dowcipem.

— Tak — zamruczał Villequier — ale zuchwalstwo i odwagę ma czysto polską, a niewieściego mało.

— Dziwnie piękną się wydawała — odparł Henryk—gdy czasu wjazdu po mężku była przebrana.

Souvray, jeden z ulubieńców króla, rozśmiał się.

— Lękam się wielce o tę piękność—rzekł—choć ciąż broni ją to, że do Infantki należy.

Do pokoju króla wszedł w tej chwili młody Jourdain, który się liczył do najmilszej królowi garstki jego towarzyszków.

— Na jutro gotuje się nam bodaj dramatyczny turniej—rzekł złośliwie.—Samuel Zborowski zatknął na placu swoją włócznię i postawił tarczę, ofiarując się na cześć króla z równym sobie stoczyć bój.

— To będzie igraszka—odparł Henryk.—Zmówią się z kimś pewnie, aby sobie zbytniej nie zrzędzili szkody.

— Nie wiem—dodał Jourdain—ale zdaje mi się, że jeśli było co ułożonego, to się nie powiodło. Wie-

czorem prosty słuźalec hrabi z Tęczyzna, jakiś Kroata, wyrwał podobno włócznię i uniósł ją z sobą, wyzywając Zborowskiego.

Mówią, że pan Samuel dowiedziawszy się o tem, wściekły się odgrażał na Tęczyńskiego, utrzymując, że namówiony słuźa afront mu ten uczynił.

Naturalnie z podłym Kroatą bić się nie będzie, ale wyzwie jego pana.

— Miałeby istotnie tę złośliwą intencję Tęczyński? — zapytał król. — Nie spodziewam się. Waśni i tak jest dosyć.

— Nie wiem — mówił Jourdain — sądzą o tem różnie, ale są ludzie, którzy utrzymują, że między Zborowskimi a Tęczyńskimi nienawiść jest stara, i że to ją na nowo rozjätrzy.

— Niepodobna — przerwał król — aby mi tu chcieli uroczystości zawiechrzyć i trudności przymnożyć; potrzeba o tem mówić z Tęczyńskim, jest to człowiek łagodny i spokojny.

— Tak, ale z raz podrażnionym Zborowskim trudniej będzie — rzekł Villequier. — Wszyscy oni ile ich jest, stworzeni się zdają, aby nikomu pokoju nie dali i sami go nie mieli nigdy. Walka jest ich żywiołem.

— Mogą ją na później odłożyć — odparł król. — Proszę was, starajcie się, aby do żadnego wybuchu nie przyszło.

— Zborowskim wiele król winien, to rzecz niezaprzeczona — wtrącił Pibrak, który się dotąd do rozmowy nie miewał — co tylko można, uczynić potrzeba, aby urażonemi nie byli.

— Ale i Tęczyński jest mi miłym — rzekł król zwracając się ku niemu. — Jest to charakter szlachetny, człek rycerski i daleko mi sympatyczniejszy od tych krzykliwych Zborowskich.

— Mówią powszechnie — dodał Pibrak krzywiąc się — że ich dom to istne osie gniazdo. Niema tam nigdy spokoju. Żołnierze dobrzy, odwaga w nich

nieustraszona, ale duma niesłychana i charaktery nieunoszone.

— Pibrak, proszę cię — dorzucił Henryk — ty coś tyle razy umysły zburzone umiał ukołysać i tyle kłamstw ich przekonać zmusiłeś bez zaksztuszenia się, wcz to na siebie.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł przebiegły Francuz — jeżeli tylko nie zapóźno.

Rozmowa zwróciła się znowu na wesele, na ucztę, na nieskończone mowy, któremi króla częstowano, a Pibrak musiał na wszystkie odpowiadać

— Mają straszną łatwość mówienia po łacinie — odezwał się Pibrak — i spotrzebowania dziesięć razy tylu słów, ilu w istocie ograniczyłyby się mogli. Jestto naród Liwinszów.

Villequier począł opisywać panie, nieśmiało ich wejrzenia a osobliwe ukłony i śmieszki. Utrzymywał, że po kątach całowano się serdecznie.

Król byłby może się rozchmurzył i w swawolniejszą dał wciągnąć rozmowę, gdyby mu przestroga maski nie tkwiła w pamięci.

Nie chciał z początku mówić o tem nikomu, wziął potem Pibraka na stronę i przyznał mu się od tego co od maski słyszał.

— Nic nowego dla mnie — odparł Pibrak — Nasluchałem się i ja podobnych baśni o Infantce, ale im nie wierzę. Powabną nie jest, młodą także, po ścisłym obrachunku, choć może nie wygląda na więcej niż lat czterdzieści, zbliża się do pięćdziesięciu. Ludzie pamiętni tego co tu dokazywała jej matka, która była w istocie straszną niewiastą, chcą w niej widzieć charakter Bony. Ci co bliżej ją znają mówią jako o pobożnej, zacnej, życiem nieszczęśliwem znękanej, może dumnej ale szlachetnego charakteru kobiecie.

Nie jest to żona dla W. Kr. Mości — dodał Pibrak — *Pardieu!* spodziewam się, że nam jej nie narzuca, ale trucizny się obawiać nie należy.

— Zkądże to, że struła brata? — zapytał Henryk.

— Obiło mi się o uszy — mówił Pibrak — że przed śmiercią brata była z nim poróżniona o jakąś panienkę, którą dla niego z dworu jej wykradziono. Pojednali się jednak potem i wszystko jej zapisał.

— Wiem — odparł śmiejąc się Henryk — zapisał jej wszystko, a panowie senatorowie nie dać nie chcą.

— Tak, i podobno tak skąpo na potrzeby swej Infantki dostarczają, że ciągle pożyczonemi pieniędzmi żyć musi.

Rozmowa w pokojach króla, nawet gdyż już się rozebrał i w łóżko położył, które faworyci obścapi, przeciągnęła się bardzo długo.

Nie mniej żywo po powrocie z wesela u królewnej wszystko rozbierano cokolwiek się tego wieczoru przytrafiło. Pani krajczyna szczególnie widziała w młodym królu co chwila zdradzający się afekt dla Anny. Gdy nie mógł do niej się zbliżyć, ścigał ją oczyma. Rokowano jak najlepiej na przyszłość, ale król teraz tak niesłychanie był zajęty, godziny jego policzone tak skrzętnie, iż więcej dowodów uczucia wymagać nie było podobna.

— Uroczystości koronacyjne — mówiła — przecież kiedyś się skończyć muszą. Naówczas nieochybnie bliżej się zechce król poznać z Anną, byle te narady sejmowe raz także doszły do końca.

Wiedziano i u królewnej o turnieju nazajutrz, na który Anna z okien swojego mieszkania patrzeć miała i widzieć sobie obiecywała, choćby dlatego, że razem i króla zobaczyć mogła, który w swej łoży miał zasiąść, a potem biegać sam do pierścienia.

Panie wiedziały też, że Henryk, który był niezrównanym tancerzem i miał w Volcie celować, w igrzyskach zręczności, w popisach rycerskich nie ustępował nikomu.

Wszystkim tym pochwałam, jakie mu tu dawano, Anna się przysłuchiwała ciekawie, żadną ich była, ale

rzadko do nich coś dorzuciła od siebie. Wstyd jej było wydać się z tem, co w sercu miała.

Jej także Henryk wydawał się stokroć piękniejszym od innych, a postać jego i wyraz twarzy pełne szlachetności i wdzięku.

Rozpamiętywała w sobie co jej przyniósł Włoch Mago, który był tylko echem tego, co musiało powszechnie być przyjętem. W czasie wesela u Zborowskich i on i wielu innych z panów polskich przynosili jej coś ciągle o Henryku.

Jego krótka rozmowa z Dosią przeszła prawie niepostrzeżoną i nikt na nią nie zwrócił uwagi. Wszystkie jednak starsze Anny towarzyszki uważały to, że Dosia od czasu koronacyi bardzo była zmienioną, zadumaną, roztargnioną i że ona jedna o królu unikała wszelkiej rozmowy.

Miano jej to za złe, nie domniemywając się wcale, iż i ona się zdradzić obawiała.

Dziewczę dotąd nieprzystępne, dumne, dzikie, trochę upojone było kadzidłem, które ku niej spłynęło od króla.

Z tego co czytała o Francyi, a chwytala chciwie co ztamtąd przychodziło, przekonywała się, że królewskie kochanki wysoko się podnieść mogły.

To sieroctwo, które dawniej nie dopuszczało jej narzucać się Talwoszowi, teraz przy nowym zwrocie uczuć i myśli zdawało się jej rękojmią swobody. Nie miała rodziny i imienia, przed któremiby rachunek z życia składać potrzebowała.

Rodziło się w niej jakieś pragnienie świata, używania, zabawy, które ją napełniało niepokojem. Surowo wychowała się sama, nie dopuszczając marzeń do siebie, teraz one tłumnie, gwałtownie rzucały się na nią i odepchnąć ich nie miała siły.

Gdy się to działo na zamku, a u panów Zborowskich weselono się do białego rana, pan Samuel nie położył się nawet spocząć, tak mu już pilno było po-

wetować na Tęczyńskim obelgi, którą przypisywał jemu.

Janasz Kroata, prosty jurgeltnik, wedle niego nigdyby się nie mógł ośmielić wyrwać kopii, przy której tarcza Zborowskich stała, gdyby mu to rozkazaniem nie było.

Z Tęczyńskimi oddawna byli nieprzejednanemi, stare Topory sądzą się czemś daleko lepszem od Jastrzębców, bo wprzód trochę siedli około tronu. Chciano właśnie teraz przed królem upokorzyć Zborowskiego. Tak on mniemał.

Prawdą zaś było, iż Kroata, dzielny szermierz, pijanym pono z zamku na miasto powracał, gdy mu przyszło plac turniejów przejeżdżać i przez zbytniećstwo jakieś pochwycił kopię i zabrał ją z sobą, o czem pan Tęczyński, którego on był sługą, nie wiedział wcale.

Zborowscy w tem spisek widzieli. Gniew przeciwko Tęczyńskiemu pomnażało, że go mianowano już jako przyszłego urzędnika dworu króla, a Zborowscy sądzą, iż najpierwsi prawo mieli otoczyć tego, którego na tronie posadzili.

Przypisywali to sobie.

Król nie zaprzeczał, łaskaw był dla nich, chociaż w sercu za koronacyjny występ żał miał do nich. Połączyli się oni w kościele z dyssydentami i nalegali głośno na przysięgę.

Oprócz tego w sercu Henryka nienawiść dla hugonotów francuzkich w Polsce się przelała na różnawierców. Czynny w czasie rzezi św. Bartłomieja był krwią przelaną, związanym ściślej jeszcze ze sprawą katolików. Zborowscy stawali mu się przeciwnikami.

Zaledwie dzień poczynano, gdy pan Samuel zbroję, konia i cały swój do turnieju, choćby na ostre, rynsztunek już gotował, a towarzyszków sobie dobierał gromadę, któraby tym samym animuszem co on ożywioną była.

W turnieju, wiedział dobrze, mało kto się z nim mógł mierzyć. Miał siłę, zręczność, ale nad wszystko tę furę bojową, która przeciwnikowi tehać i opamiętać się nie daje.

Królowna Anna zrana poszła ze swym dworem na popiół do kościoła, a po mszy wracając zastała tu dawną swą przyjaciółkę i dobrą znajomą, którą pamiętała jeszcze panną Katarzyną Maciejowską, a która dziś nosiła imię Wapowskiej.

Przyszła ona wprost ze mszy pokłonić się Annie i przywiodła jej synaczka swego. Dwu takich miała.

Piękną i dziwnie spokojną a łagodną twarzą odznaczała się pani Wapowska. Dziewczęciem słynęła ona z pobożności tak, iż posądzano ją o zamiar wstąpienia do klasztoru. Później wydana za Wapowskiego Andrzeja, który jej był godzien, szczęśliwa z nim, nie zapominała o Bogu. Słynęła i teraz z wielkiej gorliwości religijnej, z przykładu jaki dawała spełnianiem obowiązków.

Mile widzianą na dworze Anny była ta pani, i królowna ją powitała serdecznym okrzykiem, bo dawno nie widziały się z sobą.

Wapowscy ze swych Radochonic dopiero na koronację przybyli.

Wapowska przed królowną chciała się synaczkiem pochwalić. Był on właśnie tego wieku co syn Katarzyny królowej szwedzkiej, Zygmunt, dla którego Anna wielką miłość miała — przypomniawszy jej szwedzkiego królewicza.

Schylila się ku niemu królowna całując go i błogosławiąc, a mimowolne wspomnienie Zysia poruszyło ją mocno.

Często, często już przychodziło jej na myśl, że umierając bezdzietną, tego siostrzana sobie za własne dziecko przybierze i jemu po sobie zostawi spuściznę.

Nadzieje teraz płocze, sama je sobie wyrzucała, zatarły nieco Zygmunia, a oto los jakby przynosił jej

przestrożkę i wskazówkę, gdzie serce swe zawrócić miała, ażeby nie doznało zawodu.

Schylona nad główką malego Wapowskiego, sama nie wiedziała czemu, jak zrosiła ją łzami.

Pani Wapowska tymczasem o swem szczęściu mówiła, o mężu, o dzieciach, o życiu jakie spokojnie wiodła na wsi.

— Mężowi — mówiła do Infantki — towarzyszyć musiałam, bo mu się należy posłuszeństwo a mieć mnie chciał z sobą, ale jakże mnie ta wrzawa i ten zgiełk ludzi i te obce twarze przerażają niemal.

Z radością do Rodochonic powrócę.

— A ja — rzekła smutnie królowna — widzisz moja Kasiu, wśród tej wrzawy i zgielku żyć muszę.

— Brat mój Bernard mawiał — odezwała się Wapowska — że Bóg każdemu stanowi szczególne daje łaski. Wy, miłościwa królowo moja (Anna się zarumieniła), przeznaczeni jesteście żyć w tem ogniu i Bóg wam da wytrwałość salamandry.

— Kasiu moja — westchnęła Anna — wierząc mi, i ja się nie czuję stworzoną do tego życia. Cięży mi ono.

— Dopóki się szczęśliwie nie uwieńczy małżeństwem i koroną — przerwała pani Wapowska. — Wszyscy widzą, że się to inaczej skończyć nie powinno i nie może.

Anna spuściła oczy, wargi jej zadrżały, nie odpowiedziała nic.

Zdała tylko widziała pani Wapowska króla, ale go chwalić zaczęła, na co zapewne wpływała przyjaźń męża z Tęczyńskimi, którzy na dworze byli dobrze widzianymi, co Zborowskich tak gniewało.

Po odwiedzinach pani kasztelanowej nastąpiły inne, przyszedł biskup chełmski, zjawił się Solikowski, a potem wierny sługa Ryłski. Każdy z gości przynosił wiadomość jakąś o królu, oznajmując co robił, gdzie był i jaki program dnia tego został ułożony.

Na zamku dnia tego dla pilnych spraw była narada panów senatorów, której Henryk musiał być niemy i znudzonym świadkiem. Obowiązek ten dla płochego młodzika należał do najcięższych.

Nie wszyscy senatorowie mogli i chcieli mówić po łacinie, a i tego języka Henryk nie był wielce świadomym; rozprawy żywsze toczyły się po polsku, a tych mu treść ktoś po włosku lub francuzku szeptać musiał.

Pomimo wysiłku aby okazać że to go niesłychanie zajmowało, król siedział zadumany, znużony, niemal drzemający a widocznie tak kwaśny i chmurny, że się tego nawet ukryć nie starał, bo to przechodziło siły jego.

Spoglądano ku tronowi, a mniej dobrze usposobieni dla Francuza uśmiechali się z tej męczarni, która była zarazem i smutną i pocieszną. Bądź co bądź jednak król siedzieć musiał i dosiadywać do końca.

W izbie senatorskiej tymczasem wśród najpoważniejszych narad nad stanem kraju i bieżącymi sprawami nie dawało się ukryć poruszenie jakieś, które nie miało żadnego z niemi związku.

Przyczyną jego był burzliwy pan Samuel Zborowski, który nie chciał czekać obrad końca i wyzywał Tęczyńskiego gwałtem, aby się z nim stawiał w szranki.

Uwiadomiony o tem pan z Tęczyna wybiegł z izby natychmiast otoczony przyjaciółmi, którzy się lękali napaści ze strony Zborowskiego.

Ten cały już uzbrojony, gotów do walki, wrzący z gniewu, nie hamując głosu biegł po antykamerze, wywołując Tęczyńskiego i sromocąc go obelżywymi wyrazami, iż się przed nim jako tchórz ukrywał.

Wybiegł Tęczyński wprost z izby senatorów ku niemu, w towarzystwie Wapowskiego i kilku innych przyjaciół.

Zaledwie zobaczywszy go rzucił się krzycząc Samuel.

— Znieważyleś mnie, nasyłając twego służalca Janusza, aby kopię moją wyrwał, ja ci tego nie mogę darować,

— Świadczę się wszystkimi, co od wczoraj są ze mną — odparł spokojnie pan Jan z Tęczyzna — żem ani myślał wyzywać, ani chciał znieważać. Głupi opilec uczynił to z własnego zuchwalstwa.

— Ludzie widzieli! człowiek twój! to dosyć! — wrzeszczał Zborowski nie dając się pohamować. — Krwią twoją muszę zmyć obelgę.

— Panie Samuelu — przerwał Wapowski — nie zapominaj, żeśmy na zamku, pod bokiem króla i że tu nie miejsce do walki i kłótni.

— Ja czekać nie mogę! ja odkładać nie chcę! Ani na czas, ani na miejsce zważać nie myślę. Należy się zadośćuczynienie — wołał coraz się rozpalając Zborowski.

Drudzy go próżno hamować chcieli, szalał.

— Skoro tak jest — zawołał spokojnie Tęczyński — chcesz się bić ze mną, zgoda! Nikomum nie odmaawiał, ani tobie też ustąpię. Daj mi broję wdziać i druha do boju poszukać.

Potrzebuję tyle czasu, abym na Podwale do domu się dostał, broję na siebie wdział. Jesteś uzbrojony, ja nie.

Zborowski rwał się ciągle i kilka razy za miecz chwycił, którego zdobycia na zamku pod bytność króla śmiercią karało prawo. Ledwie go przyjaciele mogli pohamować.

— Daj mi się uzbroić! staję! — wołał Tęczyński, któremu drzwi zastępowano.

Ledwie nieledwie zmuszono Zborowskiego, aby niechętnie podawszy Tęczyńskiemu rękę, puścił go do domu.

— Śpiesz, bo mnie gniew i złość spali — wołał za odchodzącym.

Zdawała się rzecz całą ubita i na dobrą wprowadzona drogę, szło tylko o to, aby Zborowskiego strzy-

mać, ukoić do czasu i nie dać mu wrzeszczeć, bo wołanie jego aż do izby senatorskiej dochodziło.

Zaledwie go posadzono, zrywał się, klął, wściekał i łajał; na ławie usiedzieć nie mogąc, biegał po izbie, w której go trzymano, ażby Tęczyński z domu dosyć oddalonego na Podwalu powrócić.

Każda chwila upływająca na oczekiwaniu coraz go na nowo rozjątrzała. Zdawało mu się, że Tęczyński wymknął się, aby uniknąć walki, że nie miał i nie chciał powrócić.

Napróżno go starano się do rozumu przyprowadzić.

W końcu przyjaciele, aby mu się czas nie tak długim wydawał, umyślili Moszczyńskiego, sługę Zborowskich, który się miał potykać z tym nieszczęsnym Janaszem Kroatą, wyprawić w szranki i choć tym bojem pragnienie zemsty pana Samuela zażegnać.

Dano znać, że Moszczyński stał gotowy na placu, a i Kroata był także, czekali tylko, aby im znak dano.

Porządek wymagał tego, aby król dał znak do turniejów, a ten siedział jeszcze w senacie.

Zborowski już i na niego zważać nie chciał, tak mu pilno było, gdy na wschodach ukazał się Henryk i przyskakującemu do siebie jednemu z dworzan odparł obojętnie, iż przeciwnicy zmierzyć się mogą z sobą.

Pan Samuel pobiegł z tem sam i siadł też na konia, a z nim ci co mu towarzyszyli. Zbliżył się do Moszczyńskiego, który kopię układał właśnie i krzyknął mu.

— A pamiętaj mi, abys go rozumu nauczył, bo ci nie daruję.

Moszczyński głową tylko potrząśł.

Spojrawszy na nich obu, choć Polak ów Zborowskich sługa krzepki się wydawał i zręczny, można mu było przepowiedzieć, że Kroacie ogromnem

jak dąb, nadzwyczajnej siły i zaprawionemu do gonitw podobnych, nie dostoi.

Sam Moszczyński pono, dopiero na placu zobaczywszy przeciwnika, którego nie znał wprzód trochę się zawahał, ale się cofnąć wstyd było. Oczu zbyt wiele patrzyło, król sam zatrzymał się ze wschodów zszedłszy. Podwórce dokoła, wały, krużganki, galerye, okna napelnione były tłumem ciekawym.

Moszczyński ufając w siłę niepospolitą, kopię tak ułożył, aby tarczę Kroaty rozbić, bo mu się lekka wydala.

Z wielkim rozpędem koni uderzyli się i zwarli. W istocie kopia Moszczyńskiego na wylot przeszła tarczę, ale Kroata z siodła chcąc wysadzić przeciwnika nagle swoją włócznię pochylił i siodło rozdarłszy, w lędźwie go zranił, a nie tracąc czasu, już z pod kolana koncerz dobywszy zamierzył się ciąć okrutnie Moszczyńskiego i byłby go okaleczył, gdyby ogromny krzyk tuż stojących Węgrów, powtórzony przez tłumy, nie zmieszał go i nie powstrzymał.

Rzucili się niektórzy do Kroaty, który posłuszny miecz oddał i odjechał cały, gdy Moszczyńskiego ranego musiano z siodła zsadzać.

Zborowski klął i lajał na cały głos i sam chciał biedz na Kroatę, rwąc się tak, iż go musiano gwałtem hamować. Czekan porwawszy już się nad głową jego zamierzył, wydobywszy się z rąk przyjaciół, gdy drudzy przypadli i odciągnęli go precz.

Trwała tu jeszcze wrzawa, gdy od króla strwożonego tym zgiełkiem i krzykami nadbiegł marszałek z rozkazem, aby natychmiast się wszyscy z zamku wynosili.

Zborowski albo nie słyszał rozkazu lub wściekły nie chciał nań zważać i gonił za Kroatą, aż go marszałek zamkowym ludziom porwać i uprowadzić kazał.

Otrąbiono, aby wszyscy podwórza oczyszczali i wychodzili; tłum powoli począł wyciągać a straż

zamkowa pędziła pozostałych, ale do Zborowskiego, który ze złości szalał przystąpić nikt nie śmiał.

Chciał do króla, ale drzwi były pozamykane, wołał że na Tęczyńskiego czekać musi—nie ustępował.

Tak prawie do wieczora napróżno go łagodzano, namawiano, przychodziły posły jedne po drugich — nie ustępował.

Zmuszono go nieco ustąpić ku wrotom, gdy zaledwie się to stało, wybuch nowy jakiś zawracał go na plac gonitw ku zamkowi.

Lżył ciągle Tęczyńskiego, obwołując go tchórzem i bezczelnym, lajał Kroatę, kłał Moszczyńskiego, dostawiało się wreszcie i królowi, którego zwał lalką i babą.

Ledwie nieledwie, gdy już zmierzchało, a pan Samuel prawie pod wrotami był, zatętniało.

W czwał śpiesząc nadbiegł uzbrojony Jan z Tęczyna i wpadł na samą tę wściekłość przeciwnika, który pohamować się nie dając, wprost bez żadnego przygotowania do miecza się rwąc, lajał i lżył Tęczyńskiego i jego towarzyszków.

Zaczęto z obu stron wielkimi głosami wołać: na plac! na plac!

Zakipiała krew w Tęczyńskim, Samuel był jak bezprzytomny.

Nim przybyli na miejsce wyznaczone, Zborowski chciał się rzucić na Jana. W tem z boku stojący Wapowski, także zbrojny i lamparcią skórę na ramieniu mający, widząc że mieczów dobywano, uląkł się i skoczył pomiędzy nich.

Żadna już siła Zborowskiego nie mogła powstrzymać, nie słyszał nic, nic nie wiedział, a może Wapowskiego ujrzawszy, którego wrogiem był, jeszcze bardziej zajadły, czekan podniósł i z sił całych dwa razy nim ciał go w głowę, tak że krew mu natychmiast twarz zalała.

Wszyscy naówczas pamięć stracili, ci co żyli z Tęczyńskim i ci co towarzyszyli Zborowskiemu, chwy-

cili co kto miał pod ręką, krzyk, zamieszanie i gwałt powstał straszliwy...

Piechota, którą za sobą Tęczyński prowadził, dała ognia z kilku rusznic. Wszystko się zmieszało, zbiło w jedną kupkę.

Dopiero teraz przyjaciółom Samuela udało się człowieka oszalałego, którego kula nogę zadrasnęła, pochwycić i kupą z nim popędzić do wrót, do których tłum z miasta nadbiegający szturmował.

Ale rozkazy były dane, aby nikogo nie wpuszczać na zamek.

Król Henryk, a bardziej jeszcze Francuzi z nim będący zlekli się tego tumultu i strzałów, że całą sprawę wzięli za spisek przeciwko nim wymierzony.

Gdy w podwórzu odgrywała się ta krwawa scena, na zamku co żyło Francuzów, zwołało się, zbroiło i w niezmiernej trwodze, przeklinając Polskę, zabierało się do rozpaczliwej obrony. Wprawdzie Pibrak i kilku roztropniejszych wszystko to składali na swarliwość i butę Polaków, ale strach ma wielkie oczy.

Henryk blady, zamknięty w najdalszej komnacie, otoczony sprowadzoną gwardyą, czekał następstw wypadków, a każdy szmer i krzyk wystraszonych jego ludzi miotał ku drzwiom i na obronę przeciw domniemanej napaści.

Można sobie wystawić, co się u Infantki działo, która, dopóki się nie ściemniło, z okien swojego mieszkanka wszystko widzieć mogła, nie wiedząc co było przyczyną zamieszania na zamku.

Kobiety klęczały i modliły się; służba zbiegała po wiadomość i nie powracała.

Po wyjściu Zborowskiego za wrota, pozostały Tęczyński zajął się ranionym przyjacielem, który wprawdzie przytomności nie stracił, ale chwiał się na nogach i co prędzej potrzeba było ratować go.

Kasztelan Wojnicki czując, że i na niego spadnie wino tego boju, którego nie poczynął, ale się musiał bronić od napaści i miecza dobyć tam, gdzie go

obnażać nie było wolno; chciał koniecznie z rozbitą głową Wapowskiego stawić przed królem. On też sam żądał tego.

Pociągnęli wszyscy prowadząc z sobą kasztelana, którego skóra lamparcia cała krwią była zlaną, ku drzwiom zamkowym.

Wszystko były pozamykane. Musiano bić i kołatać, a bałas ten Francuzów utwierdził w przekonaniu, że na nich napaść chciano.

Wiele więc czasu upłynęło i Wapowski osłabł znacznie, nim nareszcie Francuzi się ośmielili, po parlamentowaniu nudnem, otworzyć Tęczyńskiemu.

Wprowadzono rannego do sali, a tu znowu nie-rychło król blady i pomieszany, otoczony całym swoim dworem ukazał się, nie mogąc słowa przemówić.

Tęczyński przypadł do niego, domagając się sprawiedliwości, kary, pomsty nad warcholem, który nie nie poszanował, nawet majestatu królewskiego.

Sam Wapowski mógł jeszcze przemówić, żaląc się, bezbronnego Samuel jak zbójca raził.

Henryk cichym głosem przyrzekał sprawiedliwość, rzucając błędnemi oczyma dokoła. Pibrak pobiegł po Mirona, lekarza królewskiego, aby ranę tymczasem opatrzył i obwiązał.

Wszyscy razem Francuzom jęli opowiadać co i jak się stało. Dopiero teraz ochłonęli oni nieco z przestachu.

Miron posadziwszy kasztelana na ławie, obmył zaledwie i przewiązał głowę, nie powiedział nic, tylko że opatrzenia lepszego w domu potrzebowała.

Na zapytanie ciche króla, szepnął mu.

— Czaszka haniebnie strzaskana... mózg odkryty... życie ocalić będzie trudno.

Z zamku już na noszach do nieszczęśliwej żony musiano prowadzić kasztelana, który padł ofiarą swej przyjaźni dla Tęczyńskich i nienawiści Zborowskiego.

Ledwie się to stało na zamku, a z wrót potem wyniesiono Wapowskiego i po mieście rozeszła się

wiadomość o tej walce, zawrzało i wzburzyło się wszystko w niewypowiedziany sposób.

Wina Samuela Zborowskiego była tak jawna i wielka, że go nawet przyjaciele nie mogli bronić. starali się tylko zmniejszyć ją tem, iż Kroata go znieważył. Ale ci co byli świadkiem starcia, szłaś Samuela, niczem w świecie usprawiedliwić nie dozwolali.

Znano zresztą cały ten ród niepohamowany w namiętnościach i nie mogący nigdy wytrwać w pokoju. Tego rodu Samuel był najstraszniejszym z dzieci, i sami bracia się go lękali, tak w gniewie zmysły tracił.

Gdy go jeszcze się miotającego i szarpiącego odprowadzono do kamienicy, w której wczoraj obchodzono wesele, wszyscy nań padli z wyrzutami, iż sobie i familii nieszczęście ściągnął, a gardło dać będzie musiał.

Ale co takiemu człowiekowi popędliwemu znaczyło w tej godzinie namiętnego porywu życie stracić i drugich o śmierć i zgubę przyprawić. Rwałby był, kasał i siekł, nie patrząc kogo, i sam się dał posiekać na kawaly, byle zadość namiętności uczynić.

Krew, która go zboczyła, zdawała się jeszcze nienasycone zemsty wzmaczać pragnienie. Drżał cały i śmiał się dziko.

Starsi ze Zborowskich chcieli natychmiast biedz na zamek do króla, ale nie było najmniejszej nadziei, aby ich tam wpuszczono.

Dziwnym zwrotem w tym wypadku było, iż w mieście winę jego składano już na króla. Wszystkiemu byli winni Francuzi. Jak? tego nikt nie umiał wytłómaczyć; lecz, jak na zamku narzekano tej nocy na Polaków i większa część wylekłych Francuzów uznawała pobyt tu niemożliwym, tak w mieście króla obwoływano niezdarnym, niewieściuchem, slabizną.

Niechęć wzajemna zrodziła się tak, prawie bez powodu, bo wprzód przygotowaną była wielką różnicą obyczajów i usposobień.

Nie takiego z pewnością króla w tej chwili potrzebowała Polska.

Po ulicach, po browarach i piwnicach przybiegali z zamku i pobliża, niby lepiej uwiadomieni, opowiadając androny, tłómacząc zajście tem, że król Zborowskim dlatego, że mu do korony pomagali pobił, i wszystko pozwalał.

— Gdyby kto inny królewski zamek zakrwawił, ścietoby go pod Dorotką, a jemu nie będzie nic.

Niechęć ku Zborowskiemu, żal do nich były powszechne.

Jeżeli takie rzeczy poczynają panowanie, a miały uchodzić bezkarnie, czegoż się było na przyszłość spodziewać.

Pomiędzy posłami i senatorami też niepokój był ogromny... i noc upłynęła na naradach burzliwych..

Zborowscy i ich przyjaciele łatwo się przekonać mogli, iż większość przeciwko nim była. Domagano się kary śmierci na gwałciciela pokoju pod bokiem króla.

Królowna Anna modliła się i płakała.

Przecucie jakieś wskazywało jej, że przyszłość tak się zwiastująca groźnie, szczęśliwą być nie mogła.

Losy Henryka ciągnęły za sobą jej dołą niefortunną.

Gdy popłoch pierwszy przebiegł zamek, a z niewiadomości o królowej będących żadna się nie ośmieliła za drzwi wychylić dla powzięcia wiadomości, jedna Zagłobianka nie wahała się iść wprost do dworzaków króla, ale zastała ich w takiej trwodze, tak rozpierzbłych i wylękłych, że nieledwie odwagi im dawać musiała.

Krzyczeli i wołali jedno, iż spisek uknuty być musiał przeciw nim i królowi i rozpaczliwie biegali, ścigając broń, którejby nawet użyć w tej chwili nie potrafili.

Zagłobianka zdołała wyszukać Talwosza aż gdzieś na dole, od niego się dowiedziała o wszystkim

i pierwsza przyniosła królownie smutną prawdę. Zdawało się jednak, że biedny Wapowski, który przed królem jeszcze mówić mógł przytomnie, był tylko ciężko rannym, a życiu jego żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Oplakiwano i człowieka powszechnie szanowanego i losy rodziny Zborowskich, która za Samuela pokutować miała. Anna wprawdzie nie miłowała ich bardzo, lecz im winna będąc wybór Henryka, co się starali niustannie przypominać, klęskę Zborowskich skłonna była uważać za porażkę króla, do którego obozu oni się liczyli.

Jak dzień wysłała Dosia swojego podwładnego do pani Wapowskiej, aby się o zdrowiu kasztelana dowiedzieć. Talwosz, który się ledwie mógł docisnąć tam, zwiastował smutnie, że ranny żył wprawdzie, ale lekarze, którzy głowę opatrywali i kości potrząskane czekaniem wyjmowali z niej, rozpaczali, aby go uratować mogli.

W dniu tym, życie całe jakby zahamowane zostało zburzeniem umysłów, które wypadek wczorajszy obudzał. Zbierano się tłumnie, radzono... Senatorowie szli na zamek, posłowie gromadzili się gdzie mogli na narady. Zborowscy obsyłali swoich niespokojni.

Trafili naprzód do Pibraka.

Byli z nim najlepiej i najbliżej, mieli innych przyjaciół u boku króla. Henryk milczał, z drugiej strony Tęczyńscy i za nimi ogromna większość wołała przykładnej kary i sprawiedliwości.

Król okazał się niepewnym, wahającym i przybitym, aż do zupełnego obezwładnienia. Dawał mówić jednemu i drugiemu, oskarżającemu i obrońcom, potakiwał jednemu i drugiemu. Ani on, ani rozumny i przebiegły Pibrak nie wiedzieli, na którą się przechylić stronę.

Jawnem już było jednak pierwszego dnia, że całkowicie bezkarnie ująć przestępstwo nie może.

Zależało wiele na tem, czy Wapowski żyć miał lub umierać.

O tem nikt wyrokować nie umiał, poczynawszy od Mirona, a kończąc na najuczeńszych lekarzach krakowskich.

Jedni spodziewali się go ocalić, drudzy widzieli niemożność utrzymania go przy życiu. Wapowski stracił przytomność. Siły się wyczerpywały.

U łóża klęczała modląc się splakana żona z dwojgiem dzieci; po wszystkich kościołach odbywały się nabożeństwa nroczyse.

W ulicy stał tłum patrząc na zapuszczone okna, podsłuchując pod ścianami, chwytając wychodzących, którzy zapytania milcząc smutnie zbywali.

Na zamku też niepewność ta czy Wapowski żyć będzie, sprawę w zawieszeniu trzymała. Szóstego dnia wreszcie nadzieja była straconą, poczęło się powolne konanie...

Z mężstwem, które tylko wiara głęboka, jaką miała Wapowska, dać może, odmawiała ona modlitwy za konających u łóża męża, którego powieki już się prawie nie podnosiły. Dawno stracił był przytomność; wyrazy, które mu się z ust wyrывały, były albo ułamkami modlitw, lub jakimiś marzeniami i snami o niebiesicb.

Przebaczył wszystkim—ale mężna niewiasta, która klęczała przy nim, mówiła w duszy, iż pomsty za krew niewinnie przelaną szukać będzie... Morderca niech da głowę!!

Siódmego dnia otwarto okiennice. Wapowski leżał na katafalku, otoczony światłem, z obnażoną głową strzaskaną, na której żółtej skórze krew zaschła czarna. Wapowska w czerni z dziećmi w nogach płakała na ziemi.

Gdy we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne, wiedziano w Krakowie, kto życie skończył, a gawiedź uliczna pod domem Zborowskich wołała.

- Samuelowi na śmierć dzwonią.
 - Zborowski stał w oknie i mruczał.
 - Niedoczekanieli!
 - Śmierć, jemu? który króla na tronie posadził?
-

Nazajutrz ze dworu Wapowskich wyciągnął kondukt żałobny. W czerni, w kirach seciny ludzi, panowie i służba, wozy czarne, konie w kapach, zakonnicy z pochodniami, księża śpiewający psalmy przodem. Za trumną w czarnej sukni i zasłonie, z synaczkim starszym przy sobie, Wapowska blada, z suchymi oczyma, widmo domagające się krwi za krew.

Przy niej Maciejowscy, Wapowscy, Tęczyńscy, rodzina, przyjaciele, powinowaci, wszyscy wrogowie Zborowskich.

Kondukt nie idzie ani do kościoła ani na cmentarz—na zamek, na Wawel, do króla domagać się sprawiedliwości wobec zwłok mordowanego.

Kto powziął tę myśl zuchwałą i przerażającą? kto ją poddał? Nikt. Wapowska wstała od trumny i ona głosem śmiałym wskazała.

— Na zamek, przed króla z jego zwłokami, i nie odejdziemy, aż nam sprawiedliwość wymierzona zostanie.

Rozkaz dreszczem przejął wszystkich, ale jak ogień zapłonął potem w sercach przyjaciół.

— Na zamek ze zwłokami! na zamek!—Oczy polyskiwały od łez i od ognia... spoglądano na siebie.

Orszak przy śpiewie powolnym psalmów ciągnął noga za nogą, aby lud widział zamordowanego, aby trup obudził zemstę a wdowa politowanie.

I zbiegły się tłumy i szły jak kto stał za pochodem aż do wrót zamkowych, a kto się mógł wcisnąć wewnątrz na podwórze.

Król jak piorunem został rażony, widząc ten długi

szereg ludu w czerni, uroczyście podciągający pod krużganki, z tą wdową i sierotą.

Henryk zbladł, Francuzi zmieszali się przestraszeni, Tęczyński wdowę wiódł do króla, służba wzięła na ramiona trumnę, chcąc ją nieść do sali, gdy szmer się zrobił i król pośpieszył wyjść cały drżący jeszcze, z odkrytą głową, smutny a w duszy gniewny.

Czyniono go wobec narodu winnym. Trup ten oskarżał o nieudolność, o opóźnienie wymiaru sprawiedliwości. Zborowski chodził dotąd wolny i urągał się tem swej ofierze.

Wystąpił przed zwłoki Stanisław Maciejowski z mową bolesną, żalościwą, poruszającą. Jęk i płacze słyszeć się dały.

Zabrała głos wdowa; do nóg przypadając panu i błagając o pomstę za tę ofiarę niewinną. Mówił potem Tęczyński.

Król zmieszany kładł rękę na sercu, bełkotał coś niezrozumiałego, przyrzekał. Twarz mu to bladła, to czerwieniała, nogi pod nim dygotały. Widok tego złotego trupa przejmował go zgrozą, nie śmiał spojrzeć nań.

Z dzieciną przy sobie, zaledwie król się wymknął, poszła kasztelanowa do Anny. Królowna naprzeciw niej już wystąpiła i na ramionach wdowy położywszy ręce, zachodziła się od płaczu.

Serce jej mówiło, że może z Wapowskim i własne szczęścia nadzieje pogrzebać miała.

Stały tak długo milcząc i łkając, aż Tęczyński z Maciejowskim ujęli pod ręce osłabłą i nazad przeprowadzili do kolebek, których siedem towarzyszyło wdowie na zamek.

Po chwili w milczeniu trup i pochód zawrócił od krużganków nazad.

Tęczyński chciał kondukt skierować do kościoła, w którym czekał na zwłoki przygotowany katafalk.

— Nie — odczuwała się Wapowska — do domu.

Niech zwłoki leżą niepogrzebione, aż król sprawiedliwość wymierzy.

Rozbolałej niewieście nikt się nie śmiał sprzeciwiać. Dano rozkazy, pochód nazad sunął się ulicami do dworu Wapowskich i trumna stanęła na marach w dolnej sali, a duchowieństwo rozpoczęło na nowo śpiewać psalmy nad zwłokami.

Na zamku u króla przerażenie było ogromne, radzono nie mogąc postanowić. Do Henryka, który nie wiedział co ma uczynić, do Pibraka, który nie śmiał powiedzieć co myślał, przybiegali po kolei Zborowscy, domagając się zuchwale prawie wypłaty długu za elekcyę, a więc bezkarności, i Tęczyńscy a Wapowscy żądający sprawiedliwości.

— Tęczyński też miecza dobył na zamku — wołali Zborowscy — niech więc i on ukarany zostanie.

Król milczał — dnie schodziły.

Dowiedział się kasztelan wojnicki, że go obwiniano.

— Dam więc i ja gardło! Gotówem — zawołał poszedłszy do króla — ale niech ze mną morderca ukarany zostanie. Pójdę sam do więzienia, położę głowę na pieńkul

Król zimny — ani Tęczyńskiego stracić, ani Zborowskich sobie narażać nie chciał — milczał.

Dokoła niego wiły się jak nici niewidzialnej pajęczyny intrygi, na jedną i drugą usiłujące go pociągnąć stronę.

Szlachta tymczasem warczała groźnie, zbierała się tłumnie, wołała senatorom:

— Czyńcie powinność waszą.

Posłano referendarza Czarukowskiego do senatu z domaganiem się, aby on króla skłonił do wyroku.

Wyrok się ociągał.

Dwa dni upłynęły, w mieście najróżniejsze chodziły wieści, sama zwłoka dowodziła, że Zborowscy mieli na dworze obrońców... oburzenie wzrastało.

Wapowska, która dnie i noce klęczała modląc się u zwłok męża, wstała.

Nie mówiła nic, głos zasechł jej w ustach, wskazała ręką. Pochód żałobny ciągnął na zamek raz wtóry.

— Na zamek?

— Tak, do króla.

Ale tu już go poprzeczyla wieść o drngiem wystąpieniu. Pibrak był gniewem przejęty, Henryk zacinał usta. Chciano zamknąć bramy.

Gdy Wapowska zbliżyła się do krużganków, wyszedł z głową odkrytą, ale na twarzy jego tym razem więcej było zniecierpliwienia i gniewu niż litości i postrachu.

Poszeptał i oddalił się szybko,

Wdowa jak pierwszym razem szła z sierotą do królewnej.

Padła jej do nóg, składając ręce i zawołała tylko.

— Sprawiedliwość!

Anna z nią płakała. Zapomniała się chwilę przejęta tą żałobą i rozpaczą.

— Sprawiedliwość! — odezwiała się głosem złamanym. — Kasiu moja! ale gdzież sprawiedliwość jest na tym świecie! Tobie ją ociągają, ja jej dla siebie doprosić się nie mogę...

Sprawiedliwość tam!

I podniosła rękę ku niebu.

Po raz wtóry odciągnęły zwłoki od zamku. Sądzono, że teraz już pogrzeb nastąpi. Wapowska odprowadziła je do dworu i złożyła na katafalku, przy którym uklękała.

W mieście zburzenie rosło.

Zborowscy chodzili porażeni i wściekli; ten trup wędrujący i domagający pomsty na nich, mężnych nawet i zuchwałych przejmował trwogą.

Z trupem razem naród cały zaczynał naciskać na króla i naglić o przykładno ukaranie.

A pan Samuel naumyślnie wychodził z kamienicy

w Rynek i stawał jakby urągając się z twarzą swą zuchwałą, szyderską, mówiąc wbrew tłumom.

— Oto mnie macie! Nie będziecie śmieli uczynić mi nic.

Dwa dni naradzano się na zamku i wyrok król zatrzymał. Nie chciał nikogo sobie narazić, a obojga stron zaspokoić nie mógł.

Większość Francuzów za Zborowskiemi głosowała. Pibrak ich bronił, król w sercu gotów był przebaczyć. Cóż go obchodził zabity Wapowski? Tęczyńskiego za to chciał zrobić podkomorzym swym i przywiązać do swej osoby.

Niepokonana w swej żalości Wapowska po raz trzeci przyciągnęła na zamek ze zwłokami.

Król nie ukazał się już. Szła do królewnej ze łzami i z tem jednym zawsze wołaniem.

— Sprawiedliwości!

Potem płakały obie i kondukt raz jeszcze odciągnął do dworu, a zwłoki stanęły na katafalku, a modlitwy i śpiewy brzmiały znówu we dnie i w nocy.

Król nie śmiał ogłosić wyroku.

Ścierały się ciągle wpływy i rano jedne, wieczorem drugie górę brały. Pibrak dowodził, że Zborowscy odepchnięci, ukarani w osobie Samuela, pół kraju odejmą królowi. Senatorowie byli za sądem surowym i bezwzględnym. Firleje i nieprzyjaciele Zborowskich wołali o karę śmierci.

Tęczyński dla pomsty nad Samucem swoją głowę ofiarował.

Tak panowanie rozpoczęte zuchwałym wykrzykiem Firleja:

— *Si non jurabis, non regnabis!* miało się otworzyć krwawym wyrokiem i toporem kata; pierwsze słowo młodego króla miało być: śmierć temu, kto muje do tronu podnosił.

Raz czwarty jeszcze nadaremnie Wapowska do wrót zamkniętych zamku przyszła ze zwłokami męża.

Niewpuszczona do króla, przywlokła się do Anny z narzekaniem.

Plakały razem.

Naostatek te zwłoki, które się nie mogły doczekać spoczynku, obudziły litość w biednej żonie. Mąż snił się jej, domagający, aby go pochowano.

— Bóg za mnie sprawiedliwość domierzy — mówił do żony we śnie — morderca zginie z ręki katal!

Nazajutrz po tym śnie oblanym nowemi łzami, Wapowska zakrytą trumnę odprowadziła do kościoła.

Nieprzeliczone tłumy jej towarzyszyły, tysiące otaczały świątynię, napelniały cmentarz. Płacz i łkanie rozlegały się wszędzie, a gdy wymowny Dominikanin przemówił słowem natchnionem z kazalnicy, nie było oka suchego i piersi, któraby nie poruszyła żalność straszna.

I z kazalnicy znowu ozwał się ten sam głos, Sprawiedliwości — ale kaznodzieja w Bogu wskazywał wielkiego Sędziego nad sędzie, który karze nawet to co ludzkie sądy bezkarnem uznają.

Nazajutrz po pogrzebie spodziewano się wyroku, ale na zamku, w senacie, wszędzie aż do sypialni królewskiej sprzeczano się dotąd, nie mogąc postanowić nic.

Król na karę śmierci wprost nie chciał się zgodzić, powiedział to wyraźnie.

Zborowskiemu mało było tego, oni żądali zupełnego oczyszczenia, w ich przekonaniu Tęczyński winien był tylko, bo jego Kroata włóczęgą Zborowskiego wyrwawszy, zelżył dumnego panka.

Uniewinnienie całkowite Samuela jednakże nawet przyjacielowi ich Pibrakowi wydawało się niemożliwe. Głos ludu znaczył coś, a ten się domagał kary.

Rozprawiano, a tymczasem oburzenie przeciwko królowi i jego doradcom rosło.

Pomiędzy Francuzami a Polakami ta krew Wapowskiego jakby przepaść jakąś wyłobiliła. Zamiast się zbliżać i jednać, stanęli przeciwko sobie w bojo-

wym szyku. Polacy jawnie, Francuzi ze swą garstką milczący, upokorzeni i tem wścieklejsi, że się słabemi czuli.

Z więcej wystraszonych, który mógł tylko gońcem się wypraszał do Paryża, zabierając z sobą podarki, któremi króla obsypywano, a te szły zaraz wyprawiane na Sekwanę. Tak przynajmniej utrzymywano w mieście, gdzie niechęć do króla, do Psibrata, do wszystkich tych wymuskanych lalek z cienkimi nóżkami rosła z każdą godziną.

Francuzi już sami z trudnością się mogli pokazać na miasto, rzadko zchodzili z Wawelu, a gdy chcieli spocząć gdzieś w rynku i zabawić się, musieli wymykać się nocą i szukać sobie osobnego kąta, gdzieby ich palcami nie wytykano i nie wyśmiewano.

Nie wesoło było u królowej Anny. Tu zdało się, jakby wieczór w kamienicy Zborowskich spędzony razem z Henrykiem był ostatnim błyskiem nadziei, a początkiem rozczarowania.

Anna widziała jeszcze tego, którego za narzeczonego uważała, uśmiechającego się jej uprzejmie i słodko, obracającego się wesoło wśród ludzi, którzy mu miłość i poszanowanie okazywali.

Nazajutrz razem z popiołem na czoła spadł smutek, niechęci, właśnie i zawikłania, którym nie było końca.

Henryk znękany zaledwie się ukazywał królownie. Została na stronie zaniedbaną, zapomnianą.

Sprawa spadku po bracie leżała odłogiem, nikt jej podnosić nie chciał, nikt bronić nie śmiał. Anna musiała pożyczać pieniądze na utrzymanie siebie i dworu, a jej wołanie przez Czarnkowskiego, przez Ryłskiego, rozbijało się i tonęło we wrzawie sprawy Zborowskich.

Dwa razy na krótko król przychodził powitać królową, która sama mu o sobie i swem położeniu mówić nie śmiała. Zamieniali kilka słów chłodnych, ceremonialnych, Henryk skarżył się że nie miał czasu,

i uciekał zaledwie się pokłoniwszy. Wejrzenie jego nawet zdawało się ostygłym, bojaźliwym, niepewnym, bez wyrazu.

Anna się ludzi już nie mogła, ale wszystko zamykała w sobie.

Na cóż się zdało skarżyć?

Łaska i inne panie widziały zawsze jeszcze wielkie nadzieje, były pewne, że się to weselem skończyć musi. Potajemnie pauny królownej dostały rysunki herbów francuzkich i lilie szyły na sukniach przeznaczonych w ich mniemaniu na wyprawę królownej.

Tymczasem o weselu głucho było i żaden żywy człowiek na dworze o niem nie myślał. Francuzi śmiali się między sobą, gdy który z nich o tem jak o poczwarnej groźbie napomknął.

Nie dziw, że skłonna zawsze do smutku i łez królowna, nie sprzecząc się z Łaską, gdy ta jej swoje marzenia powtarzała zawsze jedne, słuchała ich roz-targniona, nie odpowiadając ani słowa.

Znowu teraz częściej dobywała królowna listy swej siostry królowej szwedzkiej i odczytywała w nich wiadomości o małym Zygmuncie, który po polsku mówił dobrze, przy ks. Warszawickim modlił się w tym języku i bardzo był pobożnym.

Serce biednej Anny zwracało się ku niemu, przysposabiając go sobie.

Do wielu innych zawodów, które spotykały królowną, dodać było potrzeba i zmianę, jaka zaszła w jej ulubienicy Zagłobiance.

Służyła ona z równą na pozór gordliwością ukochanej pani, miewała dla niej wybuchy czułości i po dawnemu przypadała do nóg całując je a czasem oblewając łzami; ale nie była to już dawna Desia, żyjąca tylko swą panią.

Talwosz pozółkł i wybladł śledząc jej kroki, nie śmiejąc czynić wymówek, niedowierzając oczom własnym, codzień mocniej przekonany, iż ktoś z Francuzów głowę biednej dziewczynie zawrócił.

Zręczna bardzo, niedająca się nigdy złapać na uczynku, a pochwycona na czemś dwuznacznem, umiejac się zawsze uniewinnić, Dosia wymykała się często, niknęła z oczów Talwoszowi i Żalińskiej, powracała zarumieniona, pomieszana.

Żalińska, która ją dla syna mieć chciała, bo ten zawsze szalał za nią, doszła, że jakieś podarki kosztowne znajdowały się pomiędzy rzeczami Zagłobianki. Zkąd one pochodzić mogły?

Talwosz nie miał prawa o nie zapytać, ani wy mówek czynić. Nickiedy jakby ogólnie o Francuzach się wyrażając malował ich płochosć i niestałość i zwracał na to uwagę, jak mało im zawierzać było można. Naówczas Zagłobianka z wielkim zapalem brała ich w obronę i dowodziła mu, że nie znał wcale tych, których sądził.

Ona widziała w nich wszystko dobre a dla króla była z niewypowiedzianem uwielbieniem. Z rozmaitych poszlak domyslać się musiał Talwosz, iż Dosia przestrzegała o wielu rzeczach Francuzów i donosiła im o tem co się na dworze Anny działo i mówiło.

Dawniej Zagłobianka z niezmierną gwałtownością sobie właściwą dowodziła, że Henryk musiał i nieochybnie miał się żenić z królowną.

Talwosz teraz na próbę umyślnie wznowił o tem rozmowę z Dosią. Spojrzała na niego bystro i długo zagryzwszy usta milczała.

— Juściż — rzekła w końcu — miał się żenić i przyrzekł, to pewna, ale kto kocha królownę naszą, nie wiem czy tego dla niej życzyć powinien.

— Panna Dorota więc chyba teraz inaczej przejrzał! — rzekł szydersko Talwosz.

— Ani się tego myślę zapierać — odparła dumna dziewczyna. — Głupi tylko ludzie widzieć nie chcą i gdy się omylili do błędu przyznać nie mogą. Królowna ma właśnie dwoje tyle lat co on. Za kilka lat ona będzie zupełnie starą, a on ledwie zmężnieje.

— Więc lepiej, żeby się nie żenił? — zapytał Talwosz.

— Co to do mnie należy? — szorstko przerwało dziewczę. — Dlaczego wpan mnie pytasz o to? Mnie się zdaje, że sama pani nasza tego nie zechce, gdy się rozmyśli.

Litwin począł głową potrząsać, dziewczę się zarumieniło mocno i pogniewało.

— Kto królewnę kocha jak ja — dodała gorąco — kto jej dobra pragnie, ten nie powinien życzyć, aby się to małżeństwo skleіło.

— Zapewne — wtrącił Talwosz szydersko — jeżeli jak teraz z Francyi ma sobie dziewczęta sprowadzać.

Dosia wybuchnęła zapalczywie.

— Kto to wpanu powiedział? — zawołała — to fałsz!

— A dla kogóż to tę pannę przywieziono co ją u karła Sederyna w Rynku, w Starej Mynicy trzymają — odezwał się Talwosz pewien swego — i do kogo ona wieczorami ztamtąd na zamek przybywa?

Zagłobiance paliła się twarzyczka.

— Kłamstwo! potwarz! poczęła wołać. — Mało Francuzów jest na zamku przy królu, żeby to na jego składać rachunek? Dosyć tu ich przecie, co do żadnej z naszych kobiet przemówić nie mogą, bo z nich żadna po francuzku nie umie.

— Oprócz panny Doroty! — dorzucił złośliwie Talwosz.

Na moment zamilkła zmieszana Dosia, lecz wnet zuchwale przystąpiła z wyzywającym, gniewnym wzrokiem do Talwosza.

— Ja to od niejakięgo czasu już widzę — wykrzyknęła — że waszmość sobie pozwalasz śledzić wszystkie moje kroki. Nie masz do tego prawa i bardzo proszę, abys przestał się mną opiekować.

Zbity tak Litwin smutnie spuścił głowę, podniósł głos nie już oburzony i gniewny, ale pełen żałości.

— A! panno Doroto — rzekł — gdybyś wiedziała jak dobrem i braterskiem sercem ja to czynię, za co się gniewasz tak na mnie! Wierz mi, nie dla siebie, nie przez urojenie, że mnie mogłabyś pokochać i miłością moją pocziwają nie gardzić, ale przez szczerą przyjaźń dla was, prawda... śledzę kroki wasze i smucę się.

Dosia spuściła oczy; wyraz z jakim to mówił dotknął ją, uczuła się poruszoną.

— Dość tego — rzekła ciszej i nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy — jestem wpanu wdzięczna, ale (tu wzrok łzawy podniosła) ale co komu przeznaczone, tego nie uniknąć nigdy.

— Ja w kolebce może na zatracenie byłam poświęcona. Nie chciał mnie nikt, wyparli się swoi.

— A królewna? — przerwał Talwosz.

— Nie sądz, abym była niewdzięczną — przerwała Zagłobianka — Bóg widzi, dla niejby życie dać gotowa, ale gdybym je dała nawet, to jej nie przyczynię tego, co dla niej też... nieprzeznaczone, czego ona nigdy mieć nie będzie.

— Czego? — zapytał Talwosz.

— Takiego człowieka, żeby ją pokochać umiał i ocenić jak ona warta, nie znajdzie — zapóźnie! — westchnęła Dosia — zapóźnie.

I przestała mówić nagle. Talwosz dał jej milczeć chwilę zatopionej w sobie.

— Mówmy lepiej o pannie Dorocie — dodał korzystając z tego, iż zdawała się złagodzoną. — Prawdą jest, że ja pannę śledzę, bo się boję.

Panna wierzy Francuzom, a to są ludzie bez czei i wiary, gdy o kobiety chodzi. Oni sobie z ich łez nie czynią!

— Gdzieżeś to ich tak poznał? — szydersko przerwała Zagłobianka.

— A no, dosyć było patrzeć od czasu jak tu są — rzekł Talwosz.

Spojrzała na niego z góry dziewczyna.

— Wy ani ich języka nie rozumiecie, ani obyczaj — rzekła — nie wiecie jak oni miłować umieją. U was wszystko od siekiery, nawet miłość.

— Tak, panno Doroto — rzekł Talwosz — ale od siekiery wyciosany trwa cały żywot, a ich piórka wiatr zdmucha.

Zagłobianka nic nie odpowiedziała.

Ta rozmowa i kilka podobnych wcale nie wpłynęły na sposób jej postępowania. Zdawała się lekceważyć Talwosza szpiegowanie, pewną będąc, że on jej nie zdradzi. Umiała się nim nawet posługiwać, gdy było potrzeba, a nieszczęśliwa ofiara szła posłuszna, choć serce pękało.

Żalińska wzięła na siebie szepnąć o tem Annie, iż lęka się, aby który z Francuzów Dosi nie bałamucił.

Królewna się mocno oburzyła na to przypuszczenie.

— Ale co ci w głowie! moja Zalińsiu — zawołała. — Dosiał on! to nie może być! Ja się nią posługuję, gdy mi potrzeba co od Francuzów się dowiedzieć, ale to dziewczyna stateczna! a głowa się jej tak łatwo nie zawróci!

Miała dosyć chłopców co się koło niej kręcili, nie chciała żadnego.

— Ale ona strasznie często biega do nich i po kątach szepty a schadzki ma ciągle — dodała Żalińska.

— To ja wiem — odparła królewna. — Może być, że niepotrzebnie ją narażam, będąc na to miała baczność.

— Aby nie było zapóźno — szepnęła Żalińska.

Na tem się skończyło, bo gdy Anna wieczorem coś o tem szepnęła Dosi, ta jej do nóg upadła, poczęła ścisnąć za kolana, tłómaczyć się, płakać i nazajutrz tak biegała jak przedtem.

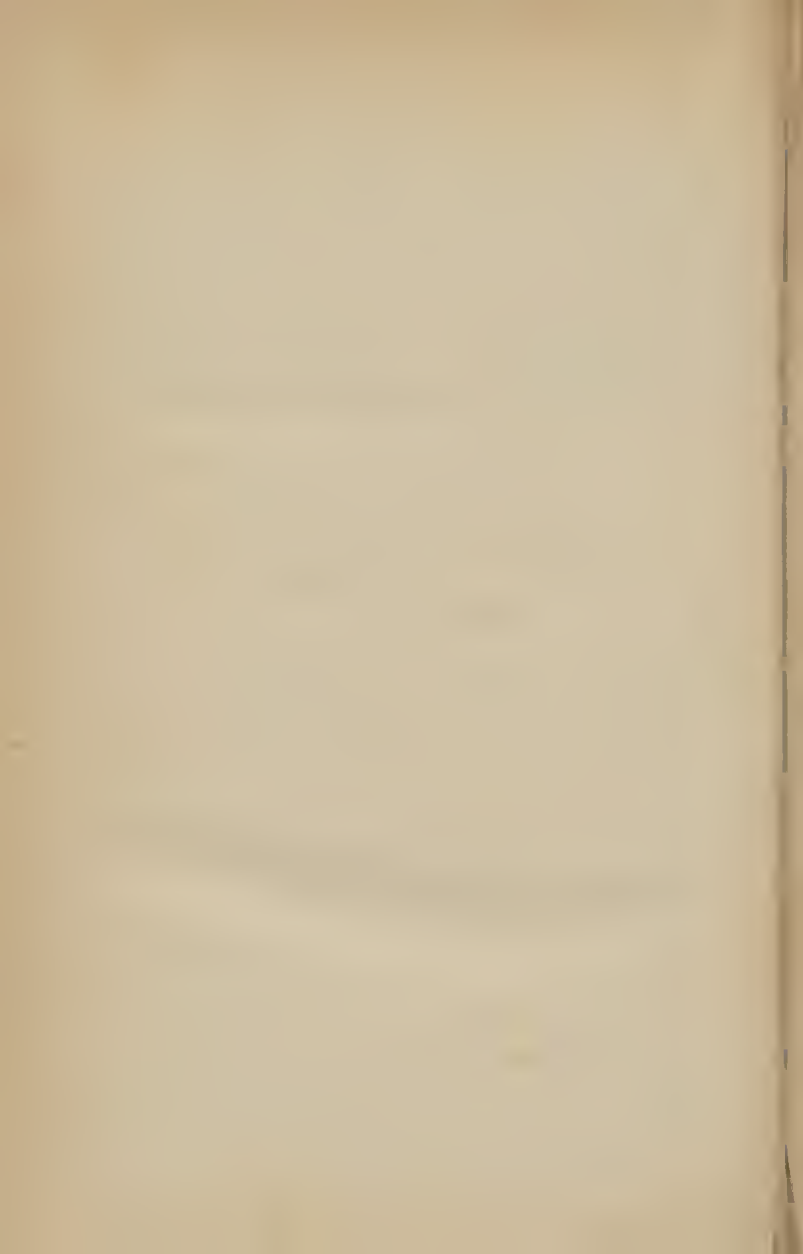
Żalińską tylko posądziwszy o doniesienie gniew-

nie odprawiła gdy się zbliżyła do niej, a pana Matyasza gorzej jeszcze.

Pomimo całej swej przebiegłości w kunszcie podpatrywania i podsłuchiwania, w którym Talwosz zdawna był mistrzem, nie udało mu się dosłedzić, z kim właściwie Dosia ze dworu Henryka była w najbliższych stosunkach. Znali ją tu wszyscy kłaniali się jej i witali ręką kładnęc na sercu, bawili ją dowcipami, usługiwali ochoczo, ale ona żadnemu nie zdawała się dawać pierwszeństwa i wszystkich zbywała dumnie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 572



JK0572